

J E R Z Y

EDIGEY



WYCIECZKA
ZE SZTOKHOLMU

Jerzy Edigey

Wycieczka ze Sztokholmu

Saga

Wycieczka ze Sztokholmu

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1987, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049716

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział I

Tragedia na dansingu

Rozdział II

Mówią Polacy

Rozdział III

Mówią Szwedzi

Rozdział IV

Pomoc z Warszawy

Rozdział V

Pomoc ze Szwecji

Rozdział VI

Opowiadanie Franka Karate

Rozdział VII

Złota bransoletka i papierowe dolary

Rozdział VIII

Wyprawa na Halę Stoły

Rozdział IX

Rozwód po szwedzku

Rozdział X

Rolf Persson żąda adwokata

Rozdział XI

Ciekawe obyczaje mrówek faraona

Rozdział XII

Rolf Persson przyszedł pierwszy

Rozdział XIII

Dobry sekretarz widzi wszystko

Rozdział XIV

Jedna mała mrówka faraona

Rozdział XV

Który kończy historię wycieczki ze Sztokholmu

o książce Wycieczka ze Sztokholmu

Rozdział I

Tragedia na dansingu

Orkiestra przestała grać. Nie pomogły gorące brawa i okrzyki „mało, jeszcze”. Muzykanci demonstracyjnie składali instrumenty i podnosili się ze swoich miejsc. Wiadomo, dla orkiestry najważniejszym momentem w jej występie jest kolacja. A właśnie przed chwilą, kiedy artyści kończyli grać starego walczyka, kelner, pan Miecio, dał im znak ręką, że już przygotował dla nich jedzenie na stoliku znajdującym się w głębi sali. Nic też dziwnego, że muzykanci wcale nie zamierzali nadal się „męczyć”. Przecież „góralskie tańce” zaczynają się dopiero po godzinie dwunastej w nocy. Teraz dochodziła dziesiąta.

Zresztą na „górala” a właściwie na „Kościuszkę”, bo pięćsetzłotówki z „góralem” zostały przed kilkunastu laty wymienione na nowe banknoty z portretem Tadeusza Kościuszki — nie było co w dzisiejszy wieczór liczyć. Towarzystwo przedstawia się nie nadzwyczajnie. Saksofonista i zarazem dyrygent orkiestry tanecznej miał pod tym względem dobre, zawodowe oko. Dzisiaj przyszli sami wczasowicze, bo akurat w środy w „Harnasiu” nie ma muzyki i dansingu. A wiadomo, taki wczasowicz z „Polany” czy „Sienkiewiczówki” długo się będzie namyślał, zanim wyciągnie z portfela te marne pięć stówek, aby swojej dziewczynie zafundować ekstra taniec i to z wymienieniem dla kogo i kto płaci.

Niestety, nie w sezonie wszystkich „lepszyc gości” zagarnia „Kasprowy”. Dla „Nosala” pozostają jedynie pospolici wczasowicze i wycieczkowicze prócz Szwedów, którzy od przeszło tygodnia nie opuszczają ani jednego dnia w „Nosalu”. Kierownik orkiestry nie mógł tego zrozumieć. Mają forsę jak lodu. Co wieczór zostawiają w restauracji po kilka tysięcy. Nie kosztuje ich to tak drogo, bo saksofonista widział nieraz, jak przy tym wysokim, grubym Szwedzisku kręcił się Franek Karate. Na pewno więc cudzoziemcy nie wymieniali wszystkich swoich dolarów czy też szwedzkich koron w kasie walutowej „Orbisu”, lecz właśnie u Franka po trzy razy lepszym kursie. Ten Franek musiał zdrowo zarobić na Szwedach. A swoją drogą dziwni ludzie. Mają pieniądze, nie żałują ich przy wydawaniu, mieszkają w „Kasprowym” i co wieczór zjeżdżają na dół do „Nosala”. A „Kasprowy”, sam kierownik szczerze przyznaje, to zupełnie inna klasa niż stary „Nosal”.

Ale... Cała orkiestra dobrze widziała, że przy tej wysokiej przystojnej blondynce, żonie tego grubego, mocno się kręcił Jędrzek Szaflar,

przewodnik z Domu Nauczyciela. Cały czas tańczył wyłącznie z nią, chociaż w tym szwedzkim towarzystwie były jeszcze dwie inne panie, może nawet bardziej warte grzechu. Bo co tu gadać, ta babka z imponującą złotą bransoletką na prawej ręce, na upartego mogłaby być mamusią Jędrka. No, może nie mamusią, ale o jakieś piętnaście lat starszą siostrą. Zaś tamte dwie nie miały jeszcze trzydziestki. Mąż tej Szwedki ciągle się uśmiechał, patrząc na zaloty młodzika. Nic, a nic nie był zazdrosny. Przeciwnie, chyba wyraźnie się cieszył, kiedy widział tę parę na parkiecie. A że przed okiem bystrego muzykanta nic się na dansingu nie ukryje, saksofonista widział, jak tymczasem ten gruby dyrektor holował do barku tę młodą, rudą. A raczej zrobioną na rudą.

Jeden ze Szwedów dobrze mówił po polsku. On też zawsze regulował rachunki. Naturalnie nie z własnej kieszeni, lecz z pieniędzy swojego dyrektora. On także zamawiał taksówki, żeby całe towarzystwo mogło około północy wrócić do „Kasprowego”. Ten młody, wołali na niego Marek, czasami, ale bardzo rzadko, tańczył z „rudą”. Zwykle jednak bawił trzecią ze szwedzkich pań. Miłą szatynkę o sympatycznym uśmiechu. Tę, która przed trzema dniami przysłała orkiestrze butelkę francuskiego koniaku za to, że zagrali stare tango „Bolero”. Saksofonista uważa, że to był piękny i bardzo rzadko już w „Nosalu” spotykany gest. Tak piękny, że orkiestra nie odesłała tego koniaku bufetowej, pani Marii, lecz wypila go tego wieczora do ostatniej kropli, co naturalnie było ze strony muzykantów objawem skrajnej lekkomyślności. Bufetowa dałaby im za ten koniak najmniej tysiąc złotych i jeszcze by drugie tyle na nim zarobiła. Oczywiście „na lewo”.

Pary taneczne ciasno zbite na malutkim kwadracie parkietu widząc zdecydowaną postawę orkiestry wreszcie zrezygnowały z bicia brawa i powoli zaczęły się przepychać wąskimi przejściami w stronę swoich stolików. Dwie panie skierowały się w stronę schodów.

Sala restauracyjna hotelu „Nosal” mieści się na piętrze. Stąd szerokimi schodami można zejść na półpiętro. Tutaj, na wprost tych schodów, znajduje się kawiarnia wyłożona czarną boazerią z porcelanowymi lampami z daleka do złudzenia przypominającymi czaszki ludzkie. Kto nie zna tej kawiarni i pierwszy raz się w niej znajdzie, ma wrażenie, że wszedł do domu przedpogrzebowego.

Schody skręcają pod kątem prostym i prowadzą do obszernego holu, gdzie w dużej niszy znajduje się szatnia. Za nią na wprost drzwi wejściowych, jest jeszcze trzecia, mniejsza salka. Nosi ona nazwę: „Zbójcka Piwnica”. Tutaj także jest dansing, ale nie codziennie i w bardziej kameralnym nastroju. Po prawej stronie szatni wąskie schody prowadzą do suterenu, gdzie się znajdują toalety.

Tam właśnie skierowały się dwie panie, które przed chwilą opuściły

restaurację. Zeszły schodami na dół i za chwilę szatniarz, pan Józef, usłyszał przeraźliwy krzyk jednej z kobiet. Szatniarz wiedział, że tego dnia babka klozetowa, czyli jak ją bardziej elegancko tutaj nazywali „pisuardessa”, już o dziewiątej poszła do domu skarżąc się na ból głowy. Pan Józef, domyślając się, że zdarzył się jakiś wypadek, szybko pośpieszył na dół.

Obie panie blade jak trup stały w drzwiach prowadzących do damskiej części toalety. Drzwi do niej były otwarte, a na kafelkowej posadzce, pomiędzy umywalniami i kabinami, leżała w dziwnie skurczonej pozycji jakaś kobieta.

Szatniarz poznał ją natychmiast. To była jedna z tych Szwedek. Te nieliczne „dewizówki”, które jeszcze się nie przeniosły do „Kasprowego”, przezwały ją „bransoleta”.

Pan Józef nachylił się nad leżącą. Wziął ją za rękę. Stary szatniarz nie był lekarzem i mało się znał na medycynie, jednakże w okresie wojny i okupacji, już nie mówiąc o dwóch latach spędzonych w partyzantce, widział niejednego zabitego. Teraz nie miał najmniejszych wątpliwości. Ta kobieta nie żyła. Nie można jej było już pomóc.

Są w pracy szatniarza godziny, a w lecie całe dni, kiedy nie ma prawie żadnej roboty. Od czasu do czasu ktoś podejdzie, żeby kupić paczkę papierosów lub też pudełko zapalek. Nikt nie nosi płaszcza i nikt go nie oddaje szatniarzowi. Wtedy pan Józef przeglądał tygodniki i dzienniki. Chętnie zwłaszcza studiował sprawozdania sądowe. A gdy udało mu się kupić spod lady jakiś kryminał, to czas dyżuru w szatni przebiegał znacznie szybciej.

Pan Józef wiedział dobrze, co ma zrobić. Grzecznie, ale energicznie wyprowadził obie przerażone niewiasty na górę. Wejście do toalet zostało zastawione dwoma masywnymi fotelami stojącymi w głębi holu. Szatniarz nie zadzwonił do komendy miejskiej MO, lecz wywołał ze „Zbójeckiej Piwnicy” Kazia, młodego kelnera, i polecił mu:

— Biegnij szybko na milicję. W szatni zamordowano kobietę. Szwedkę.

— Co pan mówi? — chłopak w pierwszej chwili pomyślał, że stary szatniarz żartuje z niego.

— Natychmiast po milicję!

Szatniarz nie jest żadną władzą dla kelnera, jednak w głosie pana Józefa brzmiała taka stanowczość, że Kazio bez słowa, jak stał, w białym kitlu, wybiegł na dwór.

Nie miał daleko. Komenda milicji znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Prawie naprzeciwko hotelu „Nosal”. Kelner wpadł do gmachu milicji jak bomba, zręcznie ominął dyżurującego przy drzwiach milicjanta i nie usprawiedliwiając się ani słowem, od razu wbiegł do pokoju dyżurnego oficera. Kelner doskonale znał rozkład pokojów

komendy milicji. Nieraz przyszło mu odwiedzać ten gmach.

Tak się zdarza w każdym lokalu gastronomicznym, że trzeba prosić milicję o interwencję w sprawie awanturującego się gościa lub takiego, który dobrze sobie zjadł i popił, a ani myśli o uregulowaniu rachunku.

Tej nocy dyżur w komendzie pełnił porucznik Stanisław Motyka, góral z dziada pradziada, który swoją trzecią gwiazdką cieszył się dopiero od lipcowego święta.

— Zabili Szwedkę — zdyszczanym głosem powiedział kelner.

— Kogo? Jaka Szwedkę? Gdzie? Co ty pleciesz, Kaziu? — porucznik znał młodszego kelnera od szczeniaka.

— Nie wiem. Pan Józef kazał mi tu przybiec i powiedzieć, że zamordowali.

— Jaki pan Józef?

— No, Józef. Nasz szatniarz.

Oficer milicji nie żądał dalszych wyjaśnień. Natychmiast zarządził alarm. Z dwoma milicjantami udał się do „Nosala”, gdzie też miała się zjawić ekipa śledcza oraz lekarz. Ale lekarza trzeba było ściągnąć z miasta. Tym miał się zająć sierżant Workucki, zaś porucznik wraz z milicjantami i kelnerem szybko przebyli krótką drogę do hotelu.

Tutaj, w holu, było już pełno ludzi. Wieść o wypadku cudem od razu rozeszła się po całym gmachu. Przy schodach prowadzących do toalet szatniarz bronił do nich wstępu. Z westchnieniem ulgi powitał zjawienie się grupki milicjantów.

— Proszę się rozstąpić — rozkazał porucznik.

Tłumek dość niechętnie przepuścił przedstawicieli władzy.

— Gdzie ta zabita?

— Na dole. W damskiej toalecie — informował szatniarz.

— Markowski — polecił Motyka — stańcie tutaj i nikogo nie puszczajcie na dół. A pan — oficer zwrócił się do szatniarza — zaraz zamknij wszystkie zewnętrzne drzwi. Nikogo nie wypuszczajcie. Wpuść tylko pana doktora Świątka i moich ludzi.

— Tak jest — szatniarzowi przypomniały się lata spędzone w wojsku.

— Proszę państwa — porucznik zaapelował do ludzi stłoczonych w holu — niech państwo będą łaskawi wrócić na swoje miejsca i przede wszystkim uregulować rachunki. Zostaniecie przesłuchani. Bardzo proszę nie przeszkadzać nam w naszej pracy.

— Przepraszam, poruczniku — młody, niski ciemny szatyn przepchał się do oficera i przeszkodził mu w zejściu na dół.

— Czego pan chce? — zdenerwował się oficer.

— Nazywam się Marek Daniec — przedstawił się szatyn — jestem obywatelem szwedzkim. Jestem sekretarzem przemysłowca, pana

Rolfa Perssona — to mówiąc młody człowiek wskazał na stojącego tuż za nim wysokiego i dość tęgiego człowieka o jasnych jak len włosach tak zaczesanych, aby ukryć widoczną już łysinę.

— A więc?

— Obawiam się — ciągnął dalej Marek Daniec — że tą rzekomo zabitą panią jest żona dyrektora Rolfa Perssona. Chcieliśmy przyjść jej z pomocą, ale szatniarz nie chciał nas puścić. Nikomu nie pozwolił zejść na dół. A ona, być może, tam kona! Potrzebuje natychmiastowej pomocy.

— Lekarz jest wezwany. Za chwilę tu będzie — odpowiedział porucznik — Proszę, niech panowie zejdą z nami. Ale tylko wy dwaj.

W czwórkę szybko zeszli na dół. Oficer otworzył drzwi toalety damskiej. Szatniarz nie kłamał. Na podłodze, głową prawie dotykając ściany, leżała jakaś kobieta. Nogi obute w pantofelki na bajecznie wysokich obcasach miała dziwnie podkurczone. Obie ręce rozrzucone szeroko. Ani kropli krwi zarówno na zmarłej, jak i na podłodze. Jedynie z boku twarzy, tuż przy puszystych blond włosach, widać było niewielkie zaczerwienienie.

Porucznik zbliżył się do leżącej. On także nie miał żadnych wątpliwości, że tej kobiecie już nic nie pomoże. Obaj Szwedzi stali jak skamieniali przy drzwiach.

— To ta pani? — porucznik zwrócił się do niższego Szweda.

— Tak. To pani Gunhild Persson — potwierdził Daniec — żona pana Perssona.

— Lekarz zaraz tu będzie — powtórzył oficer milicji. — Obawiam się jednak, że ona nie żyje.

Marek Daniec przetłumaczył te słowa swojemu zwierzchnikowi. Pan Persson jednak i bez tego doskonale rozumiał, że jego żona nie żyje. Nie zareagował ani słowem, tylko spuścił głowę. Dopiero po chwili wymienił ze swoim sekretarzem parę zdań.

— Pan Persson — tłumaczył Marek Daniec — przypuszcza, że jego żona została zamordowana. Przeszłocin zrabował zabitej cenną, złotą bransoletkę, wysadzaną brylantami. Ta bransoletka kosztowała przeszło czterdzieści tysięcy koron. To w przeliczeniu na dolary prawie dziesięć tysięcy dolarów.

W tej chwili do małego pomieszczenia wszedł wysoki siwawy człowiek z małą walizką w ręku. Nie witając się nawet z oficerem milicji, doktor Świątek pochylił się nad leżącą. Wziął ją za rękę i zbadał puls, następnie zajrzał pod powieki i uważnie zbadał zasinienie na skroni. Podniósł się i stwierdził:

— Nie żyje. Zgon nastąpił nie dalej jak przed godziną, ale najpewniej gdzieś przed czterdziestu minutami. Silne uderzenie zadane

w samą skroń. Śmierć natychmiastowa. Przypuszczam, że ten cios zadano kantem dłoni. Ten co ją zabił, dobrze zna anatomię człowieka i zapewne uprawia karate. To typowe uderzenie karate.

Marek Daniec te słowa, chociaż skierowane nie do Szwedów, a do porucznika, skwapliwie przetłumaczył dyrektorowi Perssonowi.

— Naturalnie — zastrzegł się lekarz — to powierzchowne oględziny i pierwsza, niczym nie poparta opinia. Będę mógł wydać oficjalne orzeczenie dopiero po przeprowadzeniu sekcji zwłok. Kto to jest?

— Szwedka. Żona tego pana — Motyka wskazał na stojącego obok Perssona, a następnie zwrócił się do Dańca. — Bardzo mi przykro i bardzo współczuję panu Perssonowi, ale obecnie mamy wiele czynności śledczych do przeprowadzenia. Najlepiej byłoby, żeby pan i jego szef udali się teraz na górę do swojego stolika. Sami panowie widzą, że pani Persson wszelka pomoc jest zbędna. Pozostaje jedynie śledztwo i ujęcie mordercy.

Młody człowiek znowu przetłumaczył jego słowa. Rolf Persson zawrócił i w milczeniu udał się na górę. Jego sekretarz podążył za nim. Tymczasem przybyła ekipa śledcza i rozpoczęły się zwykle w takich razach czynności. Fotografowanie zwłok, zbieranie ewentualnych odcisków palców.

— Bogata babka — zauważył jeden z milicjantów. — To cacko na lewym ręku, to platynowy zegarek. A brylanciki, które na nim lśnią, na pewno prawdziwe. Trochę się znam na tym, bo mój szwagier pracuje w „Jubilerze”. Ten zegareczek wart jest conajmniej trzy fiaty. I to nie maluchy. Za te pierścionki zaś, które ona ma na palcach obu rąk, trzymam zakład, że wszyscy moglibyśmy pojechać do domów własnymi mercedesami.

— Mąż zabitej stwierdził — wyjaśnił porucznik — że z ręki tej kobiety zdjęto bransoletkę wartą prawie dziesięć tysięcy dolarów.

— Obłowił się drań — mruknął milicyjny fotograf.

— To był frajer — wtrącił szwagier jubilera — bransoletka to pestka w porównaniu z resztą biżuterii. Te świecidełka warte są przynajmniej trzy razy tyle.

Ponieważ fotograf skończył swoją robotę, porucznik sięgnął po leżącą pod umywalką elegancką torebkę z krokodylej skórki. Otworzył ją i przejrzał pobieżnie jej zawartość. Poza różnymi kobiecymi drobiazgami, złotą papierośnicą i złotą zapalniczką, znalazł tam paszport wystawiony na nazwisko Gunhild Persson z domu Eriksson, obywatelki szwedzkiej lat czterdzieści dwa oraz pokaźny zwitek zielonych banknotów z portretami prezydentów Stanów Zjednoczonych. Przeważnie mister Franklina, który jak wiadomo patronuje studolarówce.

— Chodźmy na górę — polecił oficer milicji — tam ludzie denerwują

się siedząc przy stolikach.

— Szczególnie ten, który tak zręcznie stuknął tę bidulę — dorzucił sierżant.

— Tego dawno tutaj nie ma.

— Sądzę jednak, że jest — odpowiedział porucznik — raczej wolał ukryć się wśród restauracyjnych gości, niż wychodzić. Szatniarz musiałby go wtedy zauważyć.

— Co z tego — upierał się milicyjny mistrz obiektywu — facet wyszedł stąd przed przeszło godziną i jeżeli od razu poszedł na dworzec autobusowy, już jest gdzieś pod Krakowem. A jeśli udał się do swojego domu czy pensjonatu, spokojnie śpi z bransoletką pod poduszką.

— Idziemy — porucznik Motyka przerwał te rozważania — proszę spisać personalia obecnych na sali. Wynotowani mogą iść do domu. Byle tylko bez naszej wiedzy nie opuścili Zakopanego. Z tymi Szwedami sam porozmawiam. Jutro rano przesłucha się ich w komendzie, a także kierownika sali, kelnerów, muzykantów i szatniarza. Wszystkich mężczyzn przy wychodzeniu z lokalu rewidować, kobietom sprawdzać torebki.

Stolik, przy którym siedziało pięcioro Szwedów znajdował się w części sali tworzącej tutaj sporą niszę. Właściwie były to dwa zestawione ze sobą stoliki. Sprytny kelner czy też kierownik sali, chcąc przypodobać tak dobrym gościom, umieścił na białym obrusie flagę z żółtym krzyżem, a także duży bukiet kwiatów. Teraz całe towarzystwo smętnie siedziało nad na wpół wypitymi kieliszkami koniaku. Porucznik jednak odniósł wrażenie, że nie są aż tak bardzo przybici nieszczęściem. Zwłaszcza pan Rolf Persson nie miał wyglądu wdowca zdruzgotanego ciosem, który go przed dwoma godzinami dotknął.

— Muszę spisać wasze personalia. Proszę, aby jutro rano wszyscy stawili się w komendzie milicji na przesłuchanie — z tym poleceniem porucznik zwrócił się do jedynego Szweda, który władał polskim.

— A teraz?

— Teraz jest już późna noc. Minęła dwunasta. Możecie wrócić do „Kasprowego”.

Marek Daniec tłumaczył. Dwie siedzące przy stole kobiety uśmiechnęły się smutnie. Rolf Persson coś gwałtownie powiedział.

— Pan Persson mówi, że morderca i złodziej bransoletki na pewno jest na sali. Jeżeli mu się pozwoli stąd wyjść, nigdy go nie złapiecie — wyjaśnił Marek porucznikowi.

— Adresy obecnych i ich personalia są teraz spisywane — odpowiedział porucznik. — Przesłuchiwanie tych ludzi w tej chwili nic by nie dało.

— A bransoletka?

— Wychodzących z sali mężczyzn rewidujemy. Paniom sprawdzamy torebki. W tej sytuacji złodziej nie zaryzykuje wyniesienia klejnotu. Później cały lokal zostanie bardzo szczegółowo zrewidowany. Proszę uspokoić pana Perssona. Życia jego żonie naturalnie nie potrafimy przywrócić, ale mordercę i bransoletkę na pewno odnajdziemy.

Marek Daniec znowu musiał tłumaczyć.

— Proszę o wasze paszporty.

Najpierw do kieszeni sięgnął Rolf Persson. Jak wynikało z podanego dokumentu, miał czterdzieści sześć lat i stale mieszkał w Sztokholmie. Także ze Sztokholmu pochodzili małżonkowie: Inga i Ragnar Osterman. On liczył sobie pięćdziesiąt jeden lat. Jego żona była młodsza od niego prawie dwadzieścia lat. Marek Daniec skończył zaledwie dwadzieścia osiem lat. Najmłodszą okazała się ruda Szwedka Margareta Andersson. Ta liczyła sobie zaledwie dwadzieścia cztery wiosny. Podczas kiedy oficer milicji zapisywał dane w swoim notatniku, Szwedzi o czymś gwałtownie rozmawiali. Marek Daniec najwidoczniej wykonując polecenia swoich towarzyszy zapytał:

— Kiedy będziemy mogli wrócić do Szwecji?

— Na razie wasza obecność w Zakopanem jest konieczna. Postaramy się jednak, aby to trwało jak najkrócej.

— Pan sam chyba rozumie, że po tym ciosie, pan Persson wolałby się znaleźć u siebie, wśród rodziny i przyjaciół.

— Doskonale sobie z tego zdaję sprawę. Mam nadzieję, że wasza przymusowa obecność pod Giewontem potrwa kilka dni. Kiedy zamierzaliście wyjechać?

— Planowaliśmy, że zabawimy w Zakopanem co najmniej dwa tygodnie. Ale teraz wszystko się zmieniło.

— Bardzo mi przykro.

— A co z pogrzebem?

— Jutro, a właściwie już dzisiaj lekarz milicyjny dokona sekcji zwłok. Z kolei prokurator prowadzący śledztwo musi polecić wydanie ciała rodzinie. W tym przypadku — objaśniał porucznik — to prosta formalność. Potrwa najwyżej dwa dni.

— Wyjeżdżając z Zakopanego chcielibyśmy zabrać ze sobą trumnę ze zwłokami. Pan Persson pragnie pochować żonę w grobie rodzinnym w Sztokholmie.

— Z naszej strony nie będzie żadnych przeszkód — zapewniał oficer milicji.

— O której mamy się stawić na przesłuchanie?

— Najlepiej będzie, jeżeli państwo przyjdą o jedenastej przed południem — porucznik już przed tym polecił personelowi hotelu stawić się o godzinie dziewiątej.

— Obaj panowie — wyjaśniał jeszcze Marek — władają angielskim i niemieckim. Panie mówią po angielsku. Ewentualnie mogą służyć za tłumacza, jeśli w milicji nie macie nikogo władającego szwedzkim i tymi językami.

Porucznik lekko się uśmiechnął.

— Mam nadzieję — odpowiedział — że jakoś sobie poradzimy. W każdym razie dziękuję panu za dobre chęci przyjscia nam z pomocą.

— Nam zależy — poważnie stwierdził Marek Daniec — na jak najszybszym ujęciu mordercy. Dlatego zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc polskim władzom. Kiedy czekaliśmy na pana porucznika, pan Persson wspomniał coś o ustanowieniu nagrody za wykrycie przestępcy.

— Dziękujemy — sucho odpowiedział oficer milicji — obejdziemy się bez tego.

— Proszę się nie obrażać — Marek Daniec spostrzegł się, że popełnił gafę — w Szwecji jest to powszechnie przyjęte.

— Ale nie w Polsce — krótko uciał porucznik, wstając zaakcentował tym koniec rozmowy. — Przypominam, jutro o jedenastej.

Szwedzi także podnieśli się ze swoich miejsc i udali do holu. Marek Daniec wybiegł, aby sprowadzić taksówki. Tymczasem milicja kończyła spisywanie obecnych i lokal szybko się wyludniał. Kiedy ostatni goście opuścili „Nosal”, milicjanci jeszcze przez przeszło dwie godziny przeprowadzali dokładne przeszukanie restauracyjnych pomieszczeń. Morderca raczej nie ryzykował wyniesienia bransoletki, lecz ją tu gdzieś ukrył licząc zapewne, że będzie mógł wrócić po nią w bardziej odpowiedniej chwili.

Pomimo starań milicji, której ochotniczo pomagali kelnerzy, personel orkiestry i kierownik restauracji, drogocennego klejnotu nie odnaleziono. Natomiast kelnerzy bardzo dokładnie opisali porucznikowi, jak ta bransoletka wygląda. Była to dość gruba plecionka ze złotych nitek z szerokim zapięciem wysadzonym dwoma dużymi brylantami w otoczeniu kilku mniejszych rubinów. Szwedka nosiła ją na prawej ręce, na lewej znajdował się nie mniej wartościowy, platynowy zegareczek.

W czasie, kiedy przeprowadzano poszukiwanie złotego skarbu, pod hotel podjechała karetka. Dwaj noszowi wnieśli do niej zwłoki. Biedna pani Gunhild Persson, wesoło bawiąca się jeszcze przed paru godzinami, w tak tragiczny sposób opuszczała „Nosal”.

Rozdział II

Mówią Polacy

Tej nocy porucznik Stanisław Motyka na sen mógłwygospodarować zaledwie trzy godziny. O ósmej był już z powrotem w gmachu komendy miejskiej MO. Musiał przygotować prokuraturze szczegółowy piśmienny raport z wydarzenia w restauracji hotelu „Nosal” i z dotychczasowych ustaleń milicji oraz pierwszych kroków śledztwa. Poza tą „papierkową robotą”, zdał też dokładne sprawozdanie komendantowi.

— Paskudna sprawa — stwierdził zwierzchnik — morderstwo cudzoziemki. Musimy jak najszybciej znaleźć przestępcę. Trzeba zawiadomić komendę wojewódzką MO.

— Przygotowałem tekst teleksu.

— Sam zadzwonię do pułkownika. Pewnie zechcą przejąć śledztwo. A na razie prowadźcie je dalej. Najlepiej znacie całą sprawę i nie ma powodów, aby miał ją przejmować ktoś inny.

— Nigdy nie miałem tak poważnej sprawy — porucznik z jednej strony bardzo by chciał poprowadzić takie śledztwo, w którym można się „wykazać”, z drugiej zaś nie krył swojego braku doświadczenia.

— Zawsze trzeba kiedyś zacząć — uśmiechnął się komendant — nie sądzę, żebyście długo prowadzili tę sprawę. Na pewno przyślą kogoś z wojewódzkiej, a może nawet z Warszawy. Kim była ta Szwedka?

— Żona bogatego przemysłowca. Podobno bardzo bogatego. Obwieszona była biżuterią wartą dobrych kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

— I z tym całym bogactwem nie miała się gdzie wybrać tylko na dancing do „Nosala”. Nic dziwnego, że jakiś łobuz zauważył tę biżuterię. Zszedł za babką do toalety, sprawdził, że tam nikogo prócz niej nie ma i wystarczyło jedno uderzenie.

— Ale dziwię się, że zabrał jedynie bransoletkę.

— Najłatwiej było ją zerwać z ręki.

— Równie łatwo zdjąć zegarek. A platynowy, wysadzany brylantami zegareczek nie nosi najmniejszych śladów wskazujących na to, że usiłowano go zerwać z ręki zabitej.

— Morderca bał się, że w każdej chwili ktoś może zejść z góry. I tak, trzeba mu to przyznać, był cholernym ryzykantem. Przecież gdyby ta kobieta zdążyła krzyknąć...

— Doktor Świątek twierdzi, że zgon nastąpił natychmiast. Cios

karate błyskawicznie wymierzony w skroń.

— Karate?

— Tak twierdzi lekarz. A przecież zna się trochę na tym. Opiekuje się miejscową sekcją judo i sam także nieco ćwiczył.

— Czy taki cios wymaga specjalnej siły?

— Lekarz twierdzi, że tylko umiejętności. Mogła go zadać także i kobieta.

— Należy szukać przestępcy w kołach ludzi, którzy uprawiają lub uprawiali karate. Nie zapomnijcie o Franku Karate. O nim przede wszystkim.

— Poleciałem pracownikom restauracji „Nosala” stawić się tutaj o dziewiątej. Przesłuchując ich ustale, kto się kręcił koło tych Szwedów. Franka Karate nie ma na mojej liście gości, którzy byli tego dnia w „Nosalu”.

— Mógł wyjść natychmiast po zabójstwie. Zanim podniesiono alarm.

— Mógł — przyznał porucznik — ale to jeszcze dodatkowe ryzyko, że szatniarz go zauważy.

— Już i tak dużo ryzykował — komendant spojrzał na zegarek. — Dochodzi dziewiąta. Na pewno niektórzy z wezwanych przez was są już na miejscu. Bierzcie się więc do roboty. Gdybyście ustalili coś nowego, natychmiast mnie zawiadomić. Jeżeli będzie wam potrzebna pomoc, zrobimy co w naszej mocy. Powtarzam, tego przestępcę musimy znaleźć jak najprędzej.

Za chwilę przed porucznikiem zasiadł szatniarz, Józef Malinowski.

— Jak usłyszałem z dołu krzyk — rozpoczął szatniarz swoje zeznania — natychmiast zbiegłem na dół. W drzwiach damskiej toalety stały dwie panie. Jedna z nich krzyczała. A tam na kafelkach leżała ta Szwedka. Nachyliłem się nad nią i wziąłem za rękę. Chciałem ratować. Ale od razu zrozumiałem, że to na nic. Ona już nie żyła. Wtedy wyprowadziłem te panie na górę, schody zastawiłem dwoma fotelami, żeby nikt nie mógł wejść i kazałem Kazikowi biec na komendę. Starłem się, aby nikt nie zatarł śladów.

— Bardzo dobrze — pochwalił porucznik. — A czy w toalecie męskiej nie było nikogo?

— Na pewno nie było. Dobrze pilnowałem. Nikt tam po mnie nie wszedł ani też nie wyszedł. Z tymi Szwedami to omal się nie pobiliem. Całe szczęście, że pan porucznik w porę przyszedł.

— A kto wyszedł z lokalu po tym wypadku?

— Nikt nie wyszedł.

— Przecież drzwi nie były zamknięte.

— Drzwi nie zamykałem, to prawda — odpowiedział pan Józef — ale

widziałem dobrze, że nikt nie wychodził.

— A przed tym, przed krzykiem tej pani?

— Przed dziesiątą ruch był dość duży, bo kawiarnię opuszczali ostatni goście. Ale potem, przez jakieś pięć czy dziesięć minut, w holu było zupełnie pusto.

— Franek Karate też wtedy wyszedł?

— On chyba wyszedł wcześniej. Tak zaraz po dziewiątej.

— Ale był tego wieczora w „Nosalu”?

— Przecież on tam jest codziennie. Choć na parę minut musi wpaść. On i tacy jak on. Pilnują swoich interesów.

— Czy widzieliście, kiedy ta Szwedka zeszła na dół?

— Nie.

— Przecież schody do toalet są tuż przy szatni.

— To musiało być wtedy, kiedy właśnie goście wychodzili z kawiarni. Przy szatni zrobił się tłok. Nie miałem czasu na rozglądanie się. Każdy chce jak najprędzej dostać swoje okrycie. Gość może w kawiarni nad pół czarnej przesiedzieć ze trzy, cztery godziny, ale w szatni nie chce czekać ani minutki.

— W ogóle zauważył pan tego wieczora tę Szwedkę?

— Pewnie, że widziałem. Oni przychodzili do nas co wieczór.

— Franek Karate kręcił się koło nich?

— On zawsze się kręci koło zagraniczników. Przecież z tego żyje. Widziałem jak z tym młodym Szwedem, co mówi po naszemu, pili wódkę w barku. Jak tam poszedłem, aby wziąć od pani Marii butelkę coli.

— To było wczoraj?

— Nie. Jakies trzy dni przedtem.

— O której Szwedzi przyszli do „Nosala”?

— Jak zwykle, gdzieś między ósmą a dziewiątą. Na zegarek nie patrzyłem, ale tak musiało być.

— A potem już tej zamordowanej, nazywa się Gunhild Persson, pan nie widział?

— Widziałem. Zeszli do holu i dość długo spacerowali rozmawiając.

— Jak to: zeszli?

— Ta Szwedka i Jędrrek Szaflar. Przewodnik z Domu Nauczyciela. W ogóle zauważyłem, że on się przy niej stale kręcił. Przed tym u nas bywał bardzo rzadko. Przewodnika nie stać na chodzenie do takich lokali jak „Nosal”. Chyba, żeby go ktoś zaprosił. A tymczasem jak tylko ci Szwedzi pojawili się u nas, Jędrrek nie opuścił ani jednego wieczoru.

— Oni go zapraszali?

— Nie wiem. Ale chyba nie, bo nie przychodził z nimi i też sam

wychodził. Czy siedział z nimi przy stoliku, to już kelnerzy będą wiedzieli.

— A ta rozmowa w holu, o której się odbyła?

— Chyba około wpół do dziesiątej.

— O czym rozmawiali? Słyszał pan?

— Mówili po niemiecku, bo Jędrak, znam go przecież od wielu lat, dobrze włada tym językiem. Był przecież przedtem przewodnikiem w pensjonatach „Orbisu”. Musiał więc znać niemiecki i wprawił się w rozmowach z cudzoziemcami.

— Klócili się? To chyba można poznać bez znajomości języka.

— Nie. Mówili po cichu. Głównie mówiła ona. Wyglądało na to, że go o coś prosi, a on nie chce się zgodzić. Potem go pocałowała, a on wyszedł na dwór.

— Wróciła na górę do sali restauracyjnej?

— Nie. Usiadła na fotelu w holu. Jakby na kogoś czekała. Może na niego?

— A potem?

— Potem to do szatni wchodzili goście z kawiarni i już jej nie widziałem. Dopiero tam na dole, na posadzce.

— Zauważył pan, kiedy wrócił Szaflar?

— Nie. Jędrka nie widziałem więcej. Nikogo nie widziałem. W szatni było urwanie głowy, bo na dobitkę wszystkiego jakiejś pani zginął szalik. Musiałem go szukać między paltami. A on po prostu zaczął się o wieszak. Jak się w końcu przeredziło i w holu zrobiło się pusto, to nikt ani nie wchodził, ani nie wychodził. Kawiarnia opustoszała, a na górze, w restauracji, grała orkiestra. Oni zawsze przed kolacją dłużej grają, aby zmęczyć gości. A później muzyka się skończyła, z góry zeszły te dwie panie i poszły do toalety. Od tej chwili do „Nosala” ani nikt nie wszedł, ani nikt nie wyszedł. Za to mogę dać głowę.

Widząc, że stary szatniarz niczego więcej nie wniesie do sprawy, porucznik podziękował za zeznania, a przede wszystkim za tak przytomne zachowanie się w czasie wypadku i jako następnego zaprosił do swojego pokoju kierownika restauracji.

Zygmunt Jabrzemski, siwawy mężczyzna o twarzy ogorzałej od słońca i wiatrów halnych, ongiś znakomity narciarz, krótko określił sytuację:

— Paskudna sprawa — powiedział — bardzo paskudna sprawa dla mojego lokalu. Zabójstwo to straszna rzecz, a morderstwo w restauracji to wprost potworność. Współczuję panu Perssonowi, tej bieduli, ale i nam trzeba współczuć.

— Reklamę wam zrobił.

— Dziękuję za taką reklamę. Taka wiadomość, że w „Nosalu”

mordują cudzoziemców latami będzie się za nami snuła i płoszyła nam co lepszych gości. I tak sytuacja jest ciężka. Dawniej byliśmy pierwsi w całym Zakopanem. Teraz „Kasprowy” odebrał nam najlepszą klientelę. Bezstronnie przyznaję, że lokal lepszy, bardziej nowoczesny i znacznie większy.

— A jednak ci Szwedzi, chociaż mieszkali w „Kasprowym”, woleli „Nosal”.

— Może im tam coś nie odpowiadało? Swoją drogą nawet się wszyscy dziwiliśmy, że oni tak co wieczór do nas przychodzą. Przecież w Zakopanem lokali nie brakuje. Jeżeli nie „Kasprowy”, to jest jeszcze „Giewont” albo „Jędrus”, nie mówiąc o „Ermitażu” czy „Watrze” i „Wierchach”.

— Dużo zamawiali? Chodzi mi o alkohol.

— Szwedzi to na ogół naród trunkowy, więc i ci za kołnierz nie wylewali. Ale nigdy nie przekroczyli miary. Za to zamawiali tylko najdroższe potrawy i alkohole. Z pieniędzmi się nie liczyli. Wiadomo, jak się dolary wymienia na czarno, to Polska jest najtańszym krajem na świecie.

— Franuś Karate?

— Może on, może inni — dyplomatycznie odpowiedział kierownik — ja na to nie patrzę, pilnuję jedynie aby na sali był porządek i goście zadowoleni.

— Tych Szwedów jednak specjalnie pan obserwował. Takich dobrych gości.

— Przyznaję. Staralem się, żeby byli zadowoleni. Nawet w kuchni sprawdzałem, ich zamówienie musiało być zrobione ekstra. Żadnej tam fuchy. Stolik także mieli zawsze ten sam. Na nim codziennie świeże kwiaty i szwedzka flaga. To są drobiazgi, ale tym się gościa kupuje. Najwidoczniej to nam się udało, bo codziennie u nas się bawili.

— Z „dewizówkami” także?

— Mieli swoje panie. Zresztą mężczyźni prawie że nie tańczyli.

— A kobiety?

— Te nie odmawiały, jak jakiś obcy poprosił.

— Na przykład Andrzej Szaflar?

Pan Zygmunt uśmiechnął się.

— Milicja wie wszystko. Szaflar jest przystojnym młodym człowiekiem i, trzeba mu przyznać, znakomitym tancerzem. Takim kobiety rzadko odmawiają.

— A pani Persson?

— Ona także doskonale tańczyła. Przyjemność była patrzeć.

— Tańczyła z Szaflarem?

— Ta para mogła występować na konkursach.

— A Szaflar kręcił się przy bogatej Szwedce?

— Nie wiem, jak tam było między nimi. Ale wyglądało, że to raczej ona leci na przystojnego mężczyznę. Znam Szaflara, ten chłopak nie poluje na pieniądze. Ale ta Szwedka była bardzo przystojna i nie jednemu mogła w głowie zawrócić. Szaflarowi także.

— Pan dawno zna Szaflara? — zapytał porucznik — bo ja go prawie nie znam. Nie przypominam go sobie ani ze szkoły, ani z żadnych zawodów sportowych. On pochodzi z Zakopanego czy z Szaflar?

— Z Poznania.

— Z takim góralskim nazwiskiem?

— Pewnie jego rodzice czy też dziadkowie wywedrowali z Podhala.

— A potomek wrócił w góry?

— Tak się właśnie stało. Zjawił się tutaj jako osiemnastoletni chłopak. Z wycieczką szkolną. I od razu zakochał się w Tatrach. Zaraz po maturze zamieszkał w Zakopanem. Chwytał się najrozmaitszych zajęć, aby z czegoś żyć i cały wolny czas spędzał na włóczędce po Tatrach. Poznał je lepiej niż niejeden z nas. Niełatwo ceprowi zostać przewodnikiem tatrzańskim, ale jednak Szaflarowi udało się ta sztuka. Bodaj jako czwartemu w ogóle człowiekowi z nizin.

— A kto był pierwszym?

— Chyba Kazio Dziób. Pamiętam, jak zdawał i jak go miejscowi chcieli zagiąć. Nawet kazali mu wyliczyć, ile jest krzyży w Dolinie Kościeliskiej.

— Ja, chociaż z górali — roześmiał się porucznik — nie potrafiłbym na to odpowiedzieć. Ile?

— Razem cztery.

— Ile lat ma Szaflar?

— On tylko tak młodo wygląda. Już dobija do trzydziestu pięciu.

— To starszy ode mnie. Nigdy bym nie przypuszczał. Czy jest żonaty?

— Był. Ale małżeństwo się rozleciało. Podobno nie z winy Szaflara. Ale niełatwo być żoną przewodnika tatrzańskiego i członka Góralskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

— To prawda — przyznał Motyka — ale wracajmy do naszych przykrych spraw. Nie zauważył pan, kto się przy tych Szwedach kręcił?

— Pani Persson lubiła tańczyć z Szaflarem. Ona mu chyba także wpadła w oko, bo odwiedzał nas codziennie.

— Mąż na to nie reagował?

— Nie. Parę razy widziałem Jędrka i pana Perssona, jak siedzieli w barku i przyjacielsko ze sobą rozmawiali. A za te koniaki, które tam wypili, płacił Szwed.

— A inni?

— Panie tańczyły z różnymi przygodnymi gośćmi. Ale to zawsze kończyło się na jednym czy kilku tańcach. Ten młody Szwed, Marek, obtańcowywał tę drugą mężatkę.

— A ruda?

— Czasem tańczyła z panem Perssonem lub z tym drugim starszym Szwedem. Najrzadziej z Polakami.

— Z Szaflarem?

— Może raz ich widziałem na parkiecie. Częściej chodziła z panem Perssonem do barku. Ale to raczej on pił, a nie ona.

— Przecież mieli alkohol na stole.

— Zamawiali polskie wódki i francuskie koniaki. W barku pan Persson najczęściej pił whisky. Ona sok pomarańczowy.

— Panią Persson przezywano „bransoleta”?

— Słyszałem o tym. Tak ją podobno nazwała Czarna Lola i to się przyjęło. Ta bransoletka rzucała się w oczy. Nie bardzo zresztą pasowała do osoby właścicielki.

— Dlaczego?

— Pani Persson była bardzo elegancką kobietą. Prawdziwą damą. A ta bransoletka raczej by pasowała jakiejś nowobogackiej.

— Inną biżuterię pani Persson miała również kosztowną?

— Ale nie tak demonstracyjnie rzucającą się w oczy.

— Niewiele mi pan powiedział, panie kierowniku.

— Niestety, nie mogę panu pomóc, choć bardzo chcę. Kiedy się uważa na całość, łatwo pominąć pewne drobiazgi.

— Może pan chociaż zapamiętał ostatnie momenty przed tym, nim się pan dowiedział o zbrodni.

— Orkiestra poszła na kolację, goście siedzieli przy stolikach.

— A kiedy orkiestra jeszcze grała? Czy pani Persson tańczyła z Szaflarem albo z kimś innym?

— Widziałem, że tańczyli. Ale czy to było wtedy, gdy orkiestra grała te ostatnie kawałki, tego nie mogę powiedzieć. Na pewno nie siedziała przy stoliku.

— A reszta Szwedów?

— Chyba tak.

— Chyba czy na pewno?

— Nie jestem pewien. Nie mógłbym przysiąc.

— Czy pan zna sportowców uprawiających karate albo takich, którzy w przeszłości uprawiali tę dyscyplinę?

— Trochę ich znam. Ale w Zakopanem to nie jest zbyt popularne.

— A tacy byli wtedy w restauracji?

— Mignął mi Franciszek Bujak. Jego nawet nazywają „Karate”. Jednakże zaraz po ósmej wyszedł, bo już go więcej nie widziałem. Może siedział w kawiarni? Albo w „Zbójeckiej Piwnicy”?

— Lekarz twierdzi, że śmiertelny cios, jaki pani Persson otrzymała, może pochodzić z ręki człowieka biegłego w sztuce karate.

— Doktor Świątek na tym się zna — przyznał kierownik — sam przecież trochę uprawia judo. Wczoraj na sali nie było prawie miejscowych gości. Jedynie ci Szwedzi i różni wczasowicze. Mógł być wśród nich i karatowiec. Franka nie posądzam o taki skok. Przecież i tak dobrze zarabia.

— Ta bransoletka warta jest około dziesięciu tysięcy dolarów.

— To dużo. Ale chyba za mało, żeby skusić Franka.

— A kogo?

— Nie wiem — przyznał kierownik — powiedziałem już wszystko, co tylko wiedziałem. I bardzo bym chciał, żebyście tego drania jak najszybciej złapali.

Saksofonista orkiestry jazzowej, grającej od miesiąca w „Nosalu”, nie miał żadnych wątpliwości.

— Panie poruczniku — tłumaczył — jak się gra, to dużo rzeczy można zauważyć. Widziałem, że ta Szwedka, kiedy tylko pierwszy raz się zjawiała w „Nosalu”, od razu zagięła parol na tego chłopaka z odznaką tatrzańskiego przewodnika. W tańcu kleiła się do niego. Ciągnęła do barku na drinka.

— A Szaflar?

— Tańczy znakomicie, ale zachowywał się bardzo poprawnie. Żadnych tam pocałunków czy przyciskań. W barku nie pozwalał jej płacić, chociaż dla niego to był na pewno większy wydatek niż dla niej. Przecież taki przewodnik groszem nie śmierdzi.

— Z innymi pani Persson także tańczyła?

— Nie. Nigdy. Wyłącznie z Szaflarem. Za to nie opuszczali ani jednego tańca.

— A co mąż na to?

— Ci Szwedzi są widocznie inni niż Polacy. On wyraźnie był zadowolony, że ma pomocnika.

— W tańcu?

Saksofonista roześmiał się.

— Nie wiem czy tylko w tańcu, czy też i gdzie indziej. Facet był jednak wyraźnie zadowolony widząc, że jego żona durzy się w Polaku.

— Zbrodnia została popełniona prawdopodobnie w tym czasie, kiedy orkiestra grała ostatni kawałek przed pójściem na kolację. Czy widział pan wtedy panią Persson?

Saksofonista chwilę się zastanawiał.

— Nie. Wtedy nie tańczyli. Pamiętam, że kiedy skończyliśmy grać przedostatni kawałek przed kolacją, to Szwedka i Szaflar zeszli schodami na dół. Już ich później nie widziałem.

— A Franka Karate?

— Tego widziałem przez chwilę zaraz na początku, kiedy zaczynaliśmy grać. Później stał koło schodów. Rozmawiał z tym najmłodszym Szwedem. Tym, który mówi po polsku. Coś tam poszeptali i Franek pożegnał się z nim.

— Kiedy to mniej więcej było?

— Gdzieś przed dziewiątą. Potem go nie widziałem.

— A reszta Szwedów? Tańczyli?

— Marek chyba ze dwa razy z tą drugą mężatką. Ja także widziałem, jak tańczyła z jakimś wczasowiczem.

— A mężczyźni i ta trzecia? Młoda, ruda.

— Z rudą pan Persson raz zatańczył, a potem poszli do barku. Więcej ich nie widziałem na parkiecie.

— Siedzieli przy stoliku?

— Jak orkiestra gra i publiczność tańczy, to tamtego stolika w głębi sali nie mogę zobaczyć.

Zeznający kelnerzy również pamiętali, że Gunhild Persson tańczyła tego wieczoru wyłącznie z Andrzejem Szaflarem. Pytani o to, czy w czasie, gdy orkiestra grała ostatni kawałek, Szwedka była na parkiecie, nie umieli dać jednoznacznej odpowiedzi. Co do reszty zagranicznego towarzystwa, to jeden z kelnerów uważał, że cała piątka znajdowała się wtedy przy stoliku, drugi zaś twierdził, że siedziało tam dwie, a najwyżej trzy osoby. Ale kogo nie było, tego kelner nie umiał ustalić.

Bufetowa, pani Maria Lisowska, zeznała, że z całego szwedzkiego towarzystwa tego wieczoru barek odwiedzili tylko pan Persson i pani Margareta Andersson. Wypili po jednej whisky. To było chyba jakieś piętnaście minut przed tym, nim orkiestra udała się na kolację. Może nawet wcześniej. Przy bufecie byli niedługo. Do barku przyszli po tańcu, bo pan Persson był dość zmęczony.

— A pani Persson?

— Tego wieczoru do barku nie przyszła. Owszem, czasami tu przychodziła z Andrzejem Szaflarem. Ona zawsze chciała płacić, ale on nie pozwalał. Pieniądze brałam od niego. Rozmawiali po niemiecku. Znam dobrze niemiecki, ale nie podsłuchiwałam.

— Przypadkowo mogła pani coś usłyszyć.

— Musiało to nie być nic ważnego, bo nie pamiętam. Ona wyraźnie była zainteresowana Szaflarem. On na początku sprawiał takie samo wrażenie, potem jednak jakby nieco ochłódł i starał się być bardziej oficjalny. To dla mnie jako dla kobiety było zupełnie jasne. Po prostu

lubił z nią tańczyć, ale nie chciał się posunąć za daleko.

— A Franek Karate?

— Raz czy dwa razy popijał u mnie z tym Markiem. Nawet mówili sobie po imieniu. Przy mnie Franek wręczał jakieś pieniądze Szwedowi. Musiało tego być dobre kilkadziesiąt tysięcy. Ci Szwedzi, to bardzo bogaci ludzie. Kiedyś, z pięć dni temu, przyszła do barku ta druga pani, żona tego młodszego. Kupiła najdroższy francuski koniak i całą butelkę zaniósła orkiestrze.

Przesłuchania innych pracowników hotelu „Nosal” nie wniosły do sprawy niczego nowego. Tyle, że kelnerki z kawiarni widziały tam Franka Karate. Przyszedł około godziny siódmej wieczorem. Siedział przy stoliku z kolegami. Parę razy wychodził z sali i wracał po dziesięciu lub piętnastu minutach. Około godziny dziewiętej zapłacił i wyszedł.

Porucznik po przesłuchaniu tych wszystkich osób wykreślił numer Domu Nauczyciela i poprosił do telefonu Andrzeja Szaflara. Portier, który odebrał telefon, poinformował oficera milicji, że dzisiaj przewodnik w ogóle nie stawiał się do pracy, chociaż umówiona była wycieczka na Czerwone Wierchy. Dotychczas nie usprawiedliwił także swojej nieobecności.

Stanisław Motyka posłał też jednego z milicjantów po Franciszka Bujaka, który czasami mieszkał u swoich rodziców, oraz do domu Franka Karate. Gdyby milicjant go zastał, miał go od razu przyprowadzić do komendy. Jeśli nie, to zostawić zawiadomienie o stawienie się w dniu jutrzejszym o godzinie dziewiętej rano.

Oficer milicji także telefonował do hotelu „Giewont”, do kawiarni „Europejskiej” i innych lokali, w których konkurent kas walutowych najczęściej „urzędował”. Ale nigdzie tam Franuś Karate od rana się nie pojawił.

Porucznik spojrzął na zegarek. Przesłuchania personelu „Nosala” zajęły mu sporo czasu. Dochodziło południe. A przecież piątka Szwedów była zamówiona na jedenastą.

Oficer milicji wyszedł więc do poczekalni, gdzie zastał wezwanych w komplecie. Przeprosił ich za zwłokę i jako pierwszego zaprosił do swojego pokoju Marka Dańca.

Rozdział III

Mówią Szwedzi

Przy sprawdzaniu personaliów przesłuchiwanego padło pytanie:

— Wykształcenie?

— Inżynier mechanik — odpowiedział Marek Daniec — skończyłem uczelnię w Lund.

— Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, w tych tragicznych okolicznościach w holu hotelu „Nosal”, przedstawił się pan jako sekretarz osobisty Rolfa Perssona.

— Bo naprawdę pełnię taką funkcję.

— Inżynier mechanik?

Marek Daniec uśmiechnął się gorzko:

— Pan ciągle rozumuje polskimi kategoriami. W Szwecji młody człowiek z dyplomem, jeżeli nie chce być bezrobotnym, musi brać taką pracę, jaką uda mu się znaleźć. Zresztą posada u pana Perssona jest znacznie lepsza niż gdzie indziej i daje perspektywę, że z czasem otrzymam u niego stanowisko odpowiadające mojemu wykształceniu. Na razie trzeba czekać.

— Kim właściwie jest Rolf Persson?

— Generalnym dyrektorem „Szwedzkich Zakładów Łożysk Kulkowych”. To wielki koncern dzisiaj nie ograniczający się już tylko do łożysk tocznych, ale między innymi produkujący silniki elektryczne, a nawet podzespoły do układów scalonych. Łożyska pozostały jedynie dość niewielką częścią całej produkcji i słowem w nazwie firmy. Zakłady są spółką akcyjną, ale wszystkie akcje znajdują się w ręku rodziny. Jednej z tych trzydziestu rodzin, które rządzą Szwecją. I muszę stwierdzić, że w tym stwierdzeniu niewiele jest przesady.

— Skąd pan tak dobrze włada polskim? Nazwisko także ma pan bardziej słowiańskie niż skandynawskie.

— Moi rodzice byli więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Pod koniec wojny prezesowi Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, zresztą bratankowi ówczesnego króla szwedzkiego Gustawa V, udało się namówić Himmlera do wyrażenia zgody na ewakuację do Szwecji około dwudziestu tysięcy więźniów. Wśród tych więźniów byli właśnie moi rodzice. Poznali się i pobrali w Szwecji i tam też pozostali przyjmując obywatelstwo szwedzkie. Właśnie fakt, że znam język polski, zadecydował o otrzymaniu pracy u pana Perssona, którego z Polską łączą różne kontakty handlowe.

— A pan Osterman?

— To także poważny szwedzki przemysłowiec. Właściciel stalowni. Wytwarza się tam różne gatunki stali szlachetnej. Co najmniej połowę produkowanych na świecie żyletek wyrabia się właśnie z jego stali. Między innymi chyba i polskie polsilvery. Nasz koncern jest bardzo ściśle związany ze stalowniami Ostermana.

— A pani Margareta Andersson?

Marek pozwolił sobie na uśmiech:

— Jest sekretarką Ostermana i panną do towarzystwa Ingi Osterman. Naturalnie tylko tutaj, w Zakopanem.

— Bardzo przystojna dziewczyna.

— Nie w moim guście. A także, zapewniam pana, nie w guście Ostermana.

— Wracajmy jednak do wypadków tamtej nocy. Proszę mi szczególnie opowiedzieć cały przebieg waszego pobytu w „Nosalu”.

— Jak zwykle przyjechaliśmy do „Nosala” gdzieś po godzinie ósmej wieczorem...

— Od dawna — przerwał porucznik — odwiedzaliście ten lokal?

— Do Zakopanego przyjechaliśmy przed dziewięciu dniami. Zaraz na drugi dzień jedliśmy kolację w „Nosalu”. To ja zaproponowałem, by nie spożywać wszystkich posiłków w „Kasprowym”, ale także odwiedzać i inne zakopiańskie lokale. I tak już przyjęło się, że pozostaliśmy przy „Nosalu”.

— Dlaczego?

— Pani Gunhild Persson bardzo ten lokal przypadł do gustu.

— Lokal czy Jędrak Szaflar?

— Nie wiem — wykręcił się Daniec.

— Czy Szaflar przysiadł się do waszego stolika?

— Raz czy dwa razy na zaproszenie pana Perssona. Ale raczej tego unikał.

— Dlaczego! Czy dlatego, że flirtował z jego żoną?

— Pan Szaflar jest bardzo ambitnym człowiekiem. Krępował się jeść i pić za cudze pieniądze. A jego samego przecież nie stać by było na regulowanie takich rachunków. Co zaś do tego, jak pan to mówi „flirtu”, pan się myli. To właśnie pan Persson, który sam rzadko tańczy, a wiedział, jaką amatorką tańca jest jego małżonka, zawsze namawiał Szaflara i panią Gunhild do wyjścia na parkiet. Zawsze też zapraszał pana Andrzeja na następny wieczór w „Nosalu”. Zresztą i we dnie widywaliśmy się z panem Szaflarem, który oprowadzał nas po Tatrach. Po prostu przyłączaliśmy się do wycieczek jego grupy.

— Wszyscy?

— Pan Persson nie był zwolennikiem zbyt „stromych” spacerów. Ale

pani Gunhild i Ostermanowie chętnie uczestniczyli w tych wyprawach. Ja także, jeżeli nie miałem jakichś spraw do załatwienia, z wielką przyjemnością wędrowałem po górach. Wprawdzie już parokrotnie byłem w Zakopanem, ale dopiero teraz pod kierunkiem tak wytrawnego przewodnika poznawałem piękno Tatr.

— A Margareta Andersson?

— Jej, niestety, serce nie pozwalało brać udziału w tych wycieczkach.

— Wracajmy do tamtego wieczoru.

— Jak już powiedziałem, przybyliśmy do „Nosala” około ósmej. Stolik na nas czekał. Zaraz zjawił się kierownik sali, który nas poinformował, jakie to smakowitości kucharz specjalnie dla nas przygotował. Całe towarzystwo miało dobry nastrój. Trochę się piło, jedzenie było naprawdę doskonale. Panie trochę tańczyły. Nawet panowie Osterman i Persson puścili się w tany.

— A pani Gunhild?

— Jeden raz zatańczyła z Ostermanem. Później, kiedy zjawił się pan Szaflar, tańczyła jedynie z nim.

— Czy Szaflar przysiadł się do was?

— Kiedy pewnego razu odprowadzał na miejsce panią Gunhild, pan Persson prawie siłą usadził go na wolnym krześle, zmusił do wypicia kieliszka koniaku i zjedzenia jakiejś przekąski. Szaflar zawsze siedział w kawiarni i jedynie, kiedy orkiestra zaczynała grać, przechodził do restauracji. Więc i teraz po wypiciu tego drinka wymówił się od dalszego asystowania nam, tłumacząc, że w kawiarni czekają na niego przyjaciele. Zrozumiałem to jako wybieg. W kawiarni można spędzić wieczór przy pół czarnej. Nie to, co w restauracji.

— Tak więc tańczyliście i ucztowaliście. Wreszcie nadeszła pora, kiedy orkiestra grała ostatni raz przed kolacją. Co się wtedy działo przy waszym stoliku?

— Siedzieliśmy w piątce. Nie było pani Gunhild.

— Czy tańczyła?

— O ile sobie przypominam, to pani Persson w ogóle w czasie poprzedniej przerwy nie wróciła do stolika. Tańczyła z panem Szaflarem.

— A ten taniec... widział ją pan wtedy na parkiecie?

— Chyba nie, ale nie jestem pewien.

— W czasie tego wieczoru odwiedzaliście barek?

— Ja tam nie byłem. Ostermanowie chyba także nie. Natomiast pan Persson po zatańczeniu z Margaretą wstąpił do barku na jedną whisky.

— Kiedy to było?

— Licząc tańcami, to poprosił dziewczynę wtedy, kiedy orkiestra grała trzeci kawałek przed udaniem się na kolację.

— A wrócili?

— Chyba w czasie ostatniej przerwy przed kolacją muzyków.

— Wtedy, kiedy pani Persson była nieobecna?

— Tak.

— Co było dalej?

— Kiedy orkiestra skończyła grać i odłożyła instrumenty, patrzyłem na pary wracające z parkietu. Ale nigdzie nie dostrzegłem pani Gunhild ani jej tancerza. Tanieobecność nie wywołała żadnego zaniepokojenia w naszym towarzystwie. Zaraz potem na salę weszła jakaś pani i powiedziała, że na dole leży zamordowana kobieta. To już naszaniepokoiło. Zeszedłem na dół itam usłyszałem, że „zabito Szwedkę”. Natychmiast wywołałem pana Perssona iusiłowaliśmy zejść na dół schodami prowadzącymi do toalety. Ale szatniarz nas nie puszczal. Wtedy nadeszła milicja.

— Czy pani Persson miała tego dnia na ręku złotą bransoletkę?

— Na pewno miała. Pamiętam bardzo dobrze. Zresztą pani Persson w ogóle nie rozstawiała się z tym klejnotem.

— Miała inną elegancką biżuterię.

— Czego nie można powiedzieć o tej bransoletce. Była bardzo droga, ale brzydka. To podobno pamiątka po matce, która umarła młodo i ten klejnot kupiła wtedy, kiedy nagle przyszło bogactwo. Zakłady były dawniej małą fabryczką. Dwie wojny światowe, podczas których Szwecji udało się zachować neutralność, zamieniły je w wielki koncern przemysłowy. Do bogactwa trzeba się także przyzwyczaić i umieć nie demonstrować go. Bransoletka pochodziła z okresu, kiedy bogactwo już było, ale tej drugiej cechy jeszcze brakowało.

— Państwo Persson mają dzieci?

— Syna. Chłopak ma czternaście lat.

— Czy zna pan Franciszka Bujaka nazywanego Karate?

— Znam.

— Pan załatwiał z nim jakieś interesy?

— Zdaje mi się, że polskie prawo pozwala uchylić się od odpowiedzi, jeśli to mogło zaszkodzić odpowiadającemu.

— Dobrze pan zna polskie przepisy. Ale ja prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i nie obchodzą mnie jakieś czarnogieldowe machlojki.

— Tu machlojek nie było żadnych. Po prostu w kasie „Pewexu” wymieniałem dolary na bony. Bony dawałem do sprzedaży panu Bujakowi. Nie będę przecież sprzedawał bonów stojąc na ulicy.

Porucznik uśmiechnął się.

— Powiedzmy, że pan zeznał prawdę. To i tak z tymi bonami nie jest w porządku. Cudzoziemcy nie wymieniają swoich walut na bony.

— Na kasach „Pewexu” nie ma żadnej informacji, że cudzoziemiec nie może dokonać takiej wymiany.

Oficer milicji machnął ręką.

— Nie chodzi mi o to. Czy wczoraj miał pan jakieś kontakty z Frankiem Karate?

— Rozmawiałem z nim jedynie przez chwilę. Powiedziałem mu, że nic dla niego nie mam i pożegnaliśmy się.

— Kiedy to było? Czy on podszedł do waszego stolika?

— Nie. Wszedł na salę i z daleka kiwnął na mnie. Rozmawialiśmy na schodach. To trwało najwyżej dwie, trzy minuty. Pożegnaliśmy się i on zszedł na dół.

— Czy orkiestra wtedy grała?

— Tak.

— Pani Persson tańczyła?

— Tak. Tańczyła. Przypominam sobie to wyraźnie, bo przechodząc koło nich powiedziałem jej zwykły komplement. Pochwaliłem, że są najlepiej tańczącą parą na parkiecie. To zresztą było szczerą prawdą, bo ona i Szaflar mogliby brać udział w konkursach.

— A potem?

— Potem już pana Bujaka nie widziałem.

Marek Daniec w dalszym ciągu ofiarowywał porucznikowi swoje usługi jako tłumacz, ale oficer milicji podziękował.

— Dam sobie jakoś radę — powiedział i jednocześnie w duchu dziękował nauczycielom, którzy byli nieubłagani przy nauce angielskiego. W tym więc języku rozmawiał z panem Rolfem Perssonem.

Szwed był spokojny, ale stanowczy.

— Domagam się — tak zaczął rozmowę — jak najszybszego ujęcia przestępcy. Poza tym nie możemy siedzieć w Zakopanem do końca świata. Sprawy przecież jest jasna. Wiadomo, jaki był powód zbrodni i pan chyba także nie ma żadnych wątpliwości, w jakich kręgach należy szukać mordercy.

— Przecież państwo i tak mieli być w Zakopanem co najmniej dwa tygodnie.

— Mieliśmy takie zamiary. Ale, niestety, wobec ciosu, jaki mnie spotkał, dalszy pobyt tutaj uważam za bezcelowy. Muszę wracać do Sztokholmu. Zająć się pogrzebem. Poza tym pilne interesy firmy także zrywają mnie do powrotu.

— Doskonale pana rozumiem. Zrobimy co w naszej mocy, aby wasz pobyt tu trwał jak najkrócej. Powiedział pan, że pan wie, w jakich

kręgach należy szukać mordercy. Co, czy kogo pan miał na myśli?

— Żona stale tańczyła z pewnym młodym człowiekiem. Przewodnik górski. Dla takiego bransoletka stanowiła prawdziwą fortunę.

— Pan oskarża Andrzeja Szaflara o zabójstwo pańskiej żony?

Szwed zmieszał się.

— Nikogo nie oskarżam — odpowiedział — ale sugeruję władzom, że tę sprawę należy wyjaśnić.

— Na pewno to wyjaśnimy. Ale nie możemy się ograniczać do tego jednego tropu. Mogą być i inni podejrzani.

— Jacy?

— Mówię to tylko przykładowo. Zdarza się na przykład, że mąż woli zbrodnię zamiast rozwodu.

Cios był celny. Szwed w pierwszej chwili otworzył usta i nie mógł wydobyć z nich słowa Wreszcie odzyskał równowagę.

— Pan mnie oskarża o zabicie żony i o rabunek bransoletki?

— Nikogo nie oskarżam. Dałem panu jedynie przykład, że sprawa może mieć różne aspekty. To samo dotyczy bransoletki. A może w ogóle nie została zrabowana?

— Jak to?

— To proste. Pani Persson mogła jej tego dnia nie włożyć. Mogła ją zgubić albo podarować komuś.

— Za parę dni tańca zapłata w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów?

— Zna pan chyba powiedzenie, że kobiety są nieobliczalne. Ale nie spotkaliśmy się tutaj, aby prowadzić akademickie dyskusje. Proszę, niech pan mi opowie przebieg tego ostatniego wieczoru w „Nosalu”.

Szwed dziwnie się uspokoił, a nawet spokorniał.

— Przyjechaliśmy jak zwykle około godziny ósmej wieczorem. Zamówiliśmy kolację. Wypiliśmy jakiś koktajl. Muzyka była przyjemna. Panie lubią tańczyć. Ja również tańczyłem, chociaż poruszam się na parkiecie jak niedźwiedź w cyrku. Żona bardzo lubiła tańczyć i znalazła doskonałego partnera w tym przewodniku. Ja byłem zadowolony, że Gunhild dobrze się bawi.

— Ile razy pan tańczył?

— Dwa razy. Raz z Iną i raz z Margaretą.

— Odwiedzał pan barek?

— Tak. Kiedy poprosiłem do tańca Margaretę, orkiestra zagrała jakąś diabelską melodię. Po paru minutach tchu nie mogłem złapać. Poszliśmy do barku trochę się ochłodzić. Potem wróciliśmy do stolika i już się stamtąd nie ruszaliśmy, aż do momentu, kiedy Marek przyszedł nam powiedzieć o nieszczęściu.

— Do toalety pan nie wychodził?

— Nie.

— A pozostali?

— Marek chyba wychodził do tego waluciarza, który nam dostarczał polskich pieniędzy. To zupełnie legalna transakcja. Cała waluta wpływa do banku. U was są różne kursy i to można wykorzystać.

Oficer milicji nie uczynił żadnej uwagi.

— Chyba Inga raz poszła do toalety. No i jak wiemy Gunhild. Na swoje nieszczęście. Teraz rozumiem, dlaczego panie lubią tam zawsze chodzić we dwie.

— Pan pamięta ostatni zestaw melodii granych przez orkiestrę, zanim poszli na kolację?

— Melodii nie pamiętam, ale wiem, że wtedy w piątkę siedzieliśmy przy stoliku. Nie było Gunhild.

— Tańczyła?

— Nie widziałem jej na parkiecie. Ani Szaflara.

— A Franciszek Bujak. Ten od walut?

— Jego także nie widziałem. Tylko jak rozmawiał z Markiem. Ale to było dużo wcześniej. Gdzieś zaraz po naszym przybyciu do lokalu.

— Dlaczego stale bywaliście w „Nosalu”?

— To Gunhild tak się ten lokal podobał. Zresztą, przyznaję, jest zupełnie niezły.

— Czy poza Szaflarem pana żona nie zawarła jakichś innych znajomości?

— Nie. Gunhild uwielbiała taniec. Kiedy więc znalazła równego sobie partnera, z żadnym innym nie tańczyła.

Kończąc rozmowę z panem Perssonem, oficer milicji uprzedził go, że wszyscy wezwani dzisiaj będą jeszcze oficjalnie przesłuchani. Gdyby Pan Persson przypomniał sobie jakieś istotne szczegóły z przebiegu ubiegłego wieczoru, nadarza się okazja poinformowania o tym milicji. Natomiast szwedzki przemysłowiec ponownie nalegał, aby całe towarzystwo mogło jak najprędzej opuścić Zakopane. W formie nieco zawołowanej groźby mówił nawet, że poprosi swoją ambasadę o interwencję w tej sprawie.

Inga Osterman niewiele miała do powiedzenia. Przyznała, że tańczyła trzy razy. Ze swoim mężem zaraz na początku, a później z jakimś Polakiem. Raz także udała się do toalety, aby poprawić urodę. Nie spotkała tam nikogo. Widziała panią Gunhild, jak tańczyła z przewodnikiem. Zresztą pan Szaflar siedział przez pewien czas przy ich stoliku. Pomysł przyjazdu do Zakopanego wyszedł od niej, bo dużo słyszała o urokach Tatr od znajomych Polaków. Z Perssonami są od lat zaprzyjaźnieni i bardzo często wybierają się razem za granicę. To zupełnie naturalne, że przemysłowcy, ludzie ogromnie zajęci, zabierają

ze sobą swoich sekretarzy, bo nawet na urlopie trzeba czuwać nad interesami. Mogą oczywiście powstać podejrzenia, że mąż i taka ładna sekretarka... Ale to nieprawda. Margareta jest korekt pod tym względem. W ogóle to miła dziewczyna.

— Do barku pani nie chodziła?

— Nie. Raz tam byłam, aby kupić dla orkiestry butelkę koniaku. Zagrali bowiem melodię, z którą łączą mnie piękne wspomnienia. Więcej tam nie byłam.

— Chodziła pani na wycieczki z Szaflarem?

— Tak, chodziłam. Było bardzo przyjemnie.

— W tych wycieczkach brali także udział Polacy?

— Tak. Z tego pensjonatu, gdzie pracuje pan Szaflar?

— Poznała pani tych ludzi?

— Jak to na wycieczce. Z niewielu z nich mogłam się swobodnie porozumiewać. Znam tylko angielski, który w Polsce nie jest najbardziej popularny. Mężowi i Gunhild było łatwiej, bo władają także niemieckim. Szczególnie Gunhild dobrze znała ten język.

— Czy kogoś z tamtych wycieczkowiczów widziała pani wczoraj w „Nosalu”?

— Jedynie pana Szaflara.

— A teraz dyskretne pytanie. Czy pani Persson była zakochana w Szaflarze i on w niej? Przed kobietą takie sprawy przecież się nie ukryją.

— Niewątpliwie Szaflar bardzo się podobał Gunhild. Ona jemu chyba także. To może było trochę więcej niż flirt. Ale na pewno Gunhild nie posunęła się za daleko. Szwedki przed ślubem prowadzą bardzo swobodne życie. Mamy nieco inną moralność niż narody żyjące na południe od Skandynawii. Natomiast w małżeństwie zdrada kobieca jest raczej rzadkością. Poza tym taki krok Gunhild ogromnie by skomplikował stosunki finansowe tego małżeństwa. To dla Gunhild byłoby zbyt wielkie ryzyko. No, a co się tyczy pana Szaflara... Gunhild była efektowną, a nawet można powiedzieć piękną kobietą. Przy tym była inteligentna, wesoła, doskonale tańczyła. Miała wszystkie atuty, aby mu się też podobać. Ale on doskonale rozumiał sytuację i także nie chciał się bardziej angażować. Wiedział, że to kilkudniowa, przelotna znajomość. Urwie się bezpowrotnie wraz z naszym wyjazdem stąd.

— Czy w czasie, kiedy orkiestra grała ostatnie melodie przed udaniem się na kolację, pani tańczyła?

— Nie.

— A inni z waszego towarzystwa?

— Siedzieliśmy całą piątką przy stoliku. Tylko Gunhild nie było, ale nie widziałam, żeby wtedy tańczyła.

Pan Osterman był jowialnym, wesołym mężczyzną. Niezbyt się przejął tragedią rodziny Perssonów i nawet się z tym specjalnie nie krył. Wcale nie nalegał, aby jak najprędzej wrócić do Sztokholmu. Przeciwnie, otwarcie powiedział, że nie miałby nic przeciwko temu, aby pod Giewontem pobycić dłużej niż zaplanowane dwa tygodnie. Interesy są wprawdzie interesami, ale co to za interesy przy tych podatkach, jakie nakłada rząd bez względu czy wywiesza socjalistyczną czy też liberalną flagę. Życie w Szwecji jest ciężkie i staje się coraz cięższe. Natomiast w Zakopanem żyje się przyjemnie. Gazet szwedzkich tu nie ma, co jest dużym urokiem tego miasta. A jakie piękne dziewczyny! Widział jedną w „Nosalu”, cóż, kiedy żona... Musi tutaj kiedyś przyjechać sam. Rolf Perssona zna od wielu lat. Przyjaźnią się. Kierownicy dwóch współpracujących ze sobą przedsiębiorstw powinni się ze sobą przyjaźnić. Persson jest solidnym człowiekiem. Doskonałym menadżerem. Gunhild była przemiłą kobietą. Trochę flirtowała z tym przewodnikiem, ale to Rolfowi nie przeszkadzało. Po piętnastu latach małżeństwa trzeba umieć być wyrozumiałym dla pewnych słabości drugiej strony. Tym bardziej, jeśli prócz miłości jest się związanym wspólnymi interesami. Przecież akcje koncernu, którego Persson jest generalnym dyrektorem, należą do jego żony i do rodziny żony. On, Ragnar Osterman, tego wieczoru raz tańczył. Ze swoją żoną. Potem jacyś Polacy prosili ją do tańca. To dobrze, bo Inga także lubi tańczyć, a jego po wycieczce do Czarnego Stawu trochę bolały nogi. Kobieta nigdy się tak nie zmęczy, żeby nie chciała tańczyć. W piątkę siedzieli przy stoliku, kiedy orkiestra grała, a później poszła na kolację. Zaraz potem Marek przetłumaczył im, że jakaś kobieta powiedziała, iż w toalecie leży zabita Szwedka. Marek i Rolf wybiegli z sali.

— Czy pani Persson miała tego dnia w „Nosalu” tę bransoletkę?

— Ona ją zawsze nosiła. Szkaradna bransoletka. Brzydszej trudno sobie wyobrazić. Ale ona była dziwnie przywiązana do tego paskudztwa. Przecież mogła sobie zafundować i ładniejszą, i znacznie droższą. Stać ją było na to. Mówiła, że nosi ją dlatego, żeby zawsze pamiętać kim jest i z jakiej rodziny pochodzi. Bo jej rodzina wywodzi się od zwykłych kowali wiejskich. Nawet nie chłopów, a takich bez ziemi, co imali się różnych zajęć, aby przeżyć. Dopiero jej dziadek rozbudował swoją kuźnię w małą fabryczkę, gdzie zaczął produkować początkowo niezbyt udane łożyska kulkowe. Pierwsza wojna pozwoliła mu stanąć na nogi. Jego syn dalej rozwijał rodzinny zakład i po drugiej wojnie światowej zamienił go w potężny koncern. Tę bransoletkę kupiła matka Gunhild, kiedy dorobili się pierwszego miliona.

— Franciszka Bujaka nazywanego Karate pan zna?

— Wesoły młody człowiek. Bardzo obrotny.

— Korzystał pan z jego usług?

— Wszelkie sprawy finansowe załatwił nam Marek Daniec. On się lepiej orientuje w waszych zawilosciach gospodarczych. Poza tym włada waszym językiem.

— Kiedy tak siedzieliście w piątkę przy stoliku, widział pan Franka Karate?

— Widziałem. Przeszedł szybko przez salę, podszedł do bufetowej urzędującej w barku, która coś mu podała. Mogła to być jakaś butelka. On zaraz odszedł i skierował się do drzwi, które łączą recepcję hotelu z restauracją. Znikł za tymi drzwiami. Potem orkiestra przestała grać.

— Jest pan tego pewien?

— Absolutnie.

— O to samo pytałem pozostałych państwa. Ani Marek, ani pan Persson, ani też pańska żona tego nie zauważyli.

— Bo oni siedzieli bokiem do barku, a ja na wprost barku i tej ściany, gdzie są drzwi do recepcji hotelowej.

Poza tym nadzwyczaj ważnym dla śledztwa szczegółem, zeznania pana Ostermana niczego nowego nie wniosły do sprawy, więc z kolei jego miejsce zajęła ostatnia ze Szwedek, panna Margareta Andersson.

Sekretarka pana Ostermana miała najmniej do powiedzenia w tej sprawie. Potwierdziła, że tańczyła jeden raz z panem Perssonem i razem z nim poszła do barku. Tam nie bawili zbyt długo. Wrócili do stolika. Z Polakami nie tańczyła, chociaż kilku z nich zapraszało ją do tańca. Uważała, że nie wypada tańczyć, jeżeli dwaj mężczyźni z jej towarzystwa siedzą przy stoliku. Tym brdziej, że jeden z nich jest szefem, który tę wycieczkę jej zafundował, a drugi poważnym przemysłowcem, z którym lepiej dobrze żyć. Przez ostatnie pół godziny przed tragedią cała piątka szwedzka siedziała przy stoliku. Właśnie kelner podał melbę i wszyscy się delektowali tymi lodami.

— Co pani może powiedzieć o pani Persson?

— Ja jej prawie nie znałam. Może ze dwa razy spotkałam ją u państwa Ostermanów na jakimś przyjęciu. Zawsze w takich sytuacjach pomagałam pani Osterman w przygotowaniach. Poza tym zetknęłam się z nią tutaj. To była elegancka, miła pani. Nic dziwnego, że tak się podobała temu młodemu przewodnikowi.

— On jest o dziesięć lat starszy od pani.

— Niemożliwe? Wygląda o wiele młodziej. Bardzo dobrze tańczy i bardzo sympatyczny chłopak. Szkoda, że zajął się nie mną, lecz panią Gunhild. No, ale ja nie mam ani tak bogatego męża, ani takiej biżuterii.

Porucznik zrozumiał aluzję, ale nie podjął na ten temat dyskusji. Podziękował panie Andersson za rozmowę i uprzedził, że będzie

jeszcze oficjalnie przesłuchiwana.

Rozdział IV

Pomoc z Warszawy

Zaraz po wyjściu ostatniej przesłuchiwanej Szwedki, porucznik Stanisław Motyka polecił jednemu z posterunkowych, aby przespacerował się do hotelu „Nosał” i stamtąd wrócił z bufetową, panią Marią Lisowską.

Za parę minut do pokoju bufetowa nie weszła, ale wpadła jak bomba aż czerwona ze złości.

— Co pan mi takiego wstydu narobił — niemal krzyczała — milicjant w mundurze przychodzi na salę restauracyjną i zabiera mnie do komendy jak jaką zbrodniarkę! Dobrze jeszcze, że mi kajdanków na ręce nie założył. Może to ja zabiłam tę Szwedkę?

— Pewnie jej pani nie zabiła — spokojnie odpowiedział porucznik — ale nie jestem taki pewien, czy nie jest pani współniczką przestępcy.

— Ja? Coście sobie ubrdali?

— Tylko to, że składa pani fałszywe zeznania. Usiłuje pani wprowadzić w błąd milicję. Za fałszywe zeznania grozi surowa kara. A jak się komuś robi fałszywe alibi, to być może jest się jego współnikiem.

— Zeznawałam prawdę. Mogę na to przysiąc.

Porucznik sięgnął do teczki i wyjął stamtąd protokół zeznań Lisowskiej.

— Zeznała tutaj pani i podpisała to zeznanie, że Franek Karate raz czy dwa razy popijał w barku z tym Szwedem, który mówi po polsku, Markiem Dańcem. Ale ani słówkiem pani nie wspomniała, że na kilka minut przed wykryciem zbrodni Franek zjawiał się w restauracji i podszedł do barku. Pani mu dała jakąś paczkę. Następnie Bujak nie zszedł na dół, tylko wewnętrznymi drzwiami udał się do recepcji hotelowej. Tak było, czy pani nadal zaprzecza?

Bufetowa przed chwilą czerwona i zadzierzysta, teraz zbladła i ucichła. Milczała i niespokojnie wpatrywała się w oficera milicji.

— Wszystkich wypytywałem, czy Franciszek Bujak był w krytycznym czasie w budynku hotelowym. Wszyscy zaprzeczyli. Twierdzili, że Karate wyszedł z „Nosała” przed dziewiątą. Być może Franek nie ma z tym morderstwem nie wspólnego. Jego obecność w tym czasie w restauracji mogła być przypadkowa. Ale dlaczego pani go osłania?

— Ja... ja... — jąkała się bufetowa — zupełnie o tym zapomniałam.

To naprawdę był moment. Wyszedł tymi drzwiami od recepcji, podszedł do mnie i zaraz wrócił tam do hotelu. Wyleciało mi to zupełnie z głowy.

— Czego chciał? Co mu pani dała?

— Przyszedł z prośbą, abym mu pożyczyła butelkę winiaku.

— Jak to pożyczyła? Pani prowadzi barek czy wypożyczalnię alkoholu?

— Pan rozumie, u nas alkohole są bardzo drogie. Mamy na nie marżę 300 procent. On mnie prosił, żebym mu pożyczyła jedną butelkę, a on na drugi dzień rano mi odniesie.

— Odniósł?

— Tak. Jakieś piętnaście minut przed tym, nim po mnie przyszedł milicjant.

— Siedzi w kawiarni?

— Nie. Podjechał swoim maluchem, oddał winiak i wyszedł. Mówił, że się bardzo spieszy.

— Pytał, czy byliście przesłuchiwanii? Mówił coś o tej zbrodni?

— Nie. Spieszył się jak do pożaru. Wpadł, postawił flaszkę na ladzie, powiedział „dziękuję pani Lisowska” i już go nie było. Chciałam go zatrzymać, odpowiedział, że nie ma czasu.

— Tym razem pani daruję — powiedział porucznik. — Proszę podpisać te nowe zeznania. A na przyszłość radzę od razu mówić całą prawdę.

— Kiedy ja o tym zapomniałam.

— Wypożyczalnię także radzę zlikwidować. To się może skończyć ładną grzywną, nie mówiąc o konsekwencjach służbowych.

— Ja nigdy... tylko wtedy. Frankowi Karate trudno czegoś odmówić. On także mi nieraz robił różne grzeczności.

— W zielonym kolorze?

— To ja już pójdę — pani Lisowska wołała nie wtajemniczać oficera milicji z jakich to grzeczności korzystała.

Z kolei trzeba było wezwać na przesłuchanie recepcjonistkę, która poprzedniego wieczoru pełniła dyżur w hotelu „Nosal”. Dotychczas bowiem przesłuchiowano pracowników lokali gastronomicznych. To, jak się okazało, było niewystarczające.

Recepcjonistka, Halina Wesołowska, doskonale знаła Franka Karate. Przecież kręcił się koło gości hotelowych każdego dnia. Pamiętała także, że wczoraj waluciarz wszedł do recepcji przed godziną dziewiątą i zapytał, czy pewien Niemiec z Republiki Federalnej jest w swoim pokoju. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, Franek poszedł na górę. Zszedł stamtąd gdzieś po godzinie, recepcjonistka nie patrzyła na zegarek, i udał się do restauracji. Wrócił stamtąd trzymając w ręku

butelkę wódki i znowu poszedł na górę.

— Jak długo mógł bawić w restauracji?

— Niedługo. Może pięć, może dziesięć minut. Nie zwracałam specjalnie na niego uwagi. Byłam wtedy zajęta zestawianiem arkusza dziennego.

— A ten Niemiec?

— Kazał się obudzić o szóstej rano i wyjechał.

— Nie wie pani dokąd?

— Mówił, że wraca do domu. Przez Czechosłowację. Był samochodem. Taki biały mercedes. Stał przed hotelem.

Po wyjściu pani Wesołowskiej z pokoju, oficer milicji zamyślił się. Miał dwóch podejrzanych. Ale morderca był jeden. Tylko który z nich? Franek przez dziesięć minut, jak to zeznała recepcjonistka, kręcił się po terenie restauracji. Pożyczenie winiaku także zajęło parę minut. Ale na cios karate i zerwanie bransoletki z ręki wystarczą sekundy. Osoby waluciarza śledztwo nie może pomijać. Trzeba jak najprędzej odszukać ich obu. Zarówno Franciszka Bujaka, jak też Andrzeja Szaflara.

A przede wszystkim trzeba zdać sprawozdanie z dotychczasowych ustaleń komendantowi. Porucznik zabrał ze sobą teczkę z zeznaniami i swoimi notatkami i udał się do gabinetu zwierzchnika.

— Miałem — powiedział komendant — telefon z Warszawy. Z Komendy Głównej MO. Są bardzo zainteresowani tą sprawą. Ci Szwedzi to jacyś wpływowi goście. Już w KG MO była interwencja Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby sprawę jak najprędzej wyjaśnić i aby obywatele szwedzcy mogli się jak najszybciej udać do ojczyzny. Aż się dziwię, kiedy ci Szwedzi zdążyli to załatwić?

— Pewnie z samego rana, jeszcze przed przyjściem do nas połączyli się telefonicznie ze swoją ambasadą, a ta z ministerstwem. To rzeczywiście grube ryby. Dwaj wielcy przemysłowcy. Jeden kieruje dużym koncernem łożysk tocznych i silników elektrycznych, drugi ma własną stalownię.

— Komenda Główna zawiadomiła mnie, że do Zakopanego delegują podpułkownika Janusza Kaczanowskiego dla przejęcia śledztwa. Więc ten kamień spada nam z serca. Byle tylko nie na odcisk.

— Podpułkownik przyjeżdża z całą ekipą, czy sam?

— w głosie porucznika komendant wyczuł wyraźny żal, że odbiera mu się takie ciekawe śledztwo.

— Mówili o pułkowniku. Czy przyjedzie ze swoimi ludźmi, zobaczymy.

— Kiedy podpułkownik ma się zjawić?

— Tego nie powiedzieli. Przypuszczam, że przyjedzie rannym pociągiem.

— Pan major go zna?

— Osobiście nie. Ale słyszałem, że uważają go za asa nad asami. Dotychczas pracował w Stołecznej Komendzie MO. Albo go stamtąd wypożyczili, albo został służbowo przeniesiony do KG MO.

W tej chwili weszła sekretarka i zaanonsowała.

— Podpułkownik Kaczanowski chciałby się widzieć z panem majorem.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o ciemnej, opalonej, nieco pociągłej twarzy i lekko falujących ciemnych włosach, przyprószonych na skroniach siwizną. Z wiekiem, Kaczanowski był dobrze po pięćdziesiątce, kontrastowały oczy. Bardzo niebieskie i młode. Miał na sobie dobrze skrojony popielaty garnitur.

— Melduję komendantowi swój przyjazd — wesoło powiedział — pobitem chyba rekord. O jedenastej powiedzieli mi, że mam jechać do Zakopanego. O dwunastej już siedziałem w samolocie, a samochód z Krakowa podrzucił mnie tutaj w półtorej godziny. Łamiąc wszystkie przepisy kodeksu drogowego.

— Młodszy stopniem melduje się — major pośpieszył na spotkanie gościa.

— Podobno jakąś Szwedkę zamordowaliście i dlatetego musiałem się tłuc pod Giewont.

— Właśnie u mnie jest porucznik Stanisław Motyka, który zaczął śledztwo — komendant dokonał prezentacji.

— Mam przy sobie teczkę z protokółami. Poza tym rozmowy są nagrane na magnetofon. Mogę od razu przekazać panu pułkownikowi cały materiał.

— Nie spieszcie się tak, poruczniku — Kaczanowski machnął ręką — pogadamy o tym później.

— Czy pułkownik ma zapewniony nocleg? — zainteresował się komendant — telefonowano z Warszawy o pana przyjeździe, ale nic nie wspomniano o kwaterze.

— Mieli mi zarezerwować pokój w naszym domu wczasowym.

— Zaraz to sprawdzę — zaofiarował się porucznik.

— Sprawdźcie — polecił komendant — jeżeli nie mają pokoju, postaramy się o coś innego.

Stanisław Motyka wyszedł z gabinetu, aby zatelefonować, zaś komendant dodał:

— To bardzo dobry chłopak. Sprytny i operatywny. Z miejscowych górali. Zna ich i ich mentalność i umie z nimi rozmawiać. W tej sprawie także dobrze sobie poczynił.

— A teraz martwi się, że przyjechał jakiś stary piernik z Warszawy i zabiera mu śledztwo, w którym mógłby się wykazać. Znam to dobrze.

Także byłem porucznikiem, którego używano do prowadzenia dochodzeń w sprawach włamań do budek z piwem. Także wtedy marzyłem o jakiejś wielkiej sprawie.

— Doczekał się pułkownik niejednej takiej sprawy.

— Ale ta pierwsza była najważniejsza.

— Wielu ludzi z aparatu nigdy nie ma takiej szansy. Łądują w małych posterunkach i stopnie zdobywają z wysługi lat. I tak od podporucznika aż do emerytury.

— Nie jest tak źle — zaprotestował Kaczanowski — kto jest zdolny, zawsze się wybije.

Porucznik wrócił i zawiadomił, że pokój w domu wczasowym czeka.

— Będę więc pracującym wczasowiczem — roześmiał się podpułkownik — a teraz nie będziemy zabierali czasu komendantowi, ale przejdziemy do was i zapoznacie mnie ze sprawą, bo nic o niej nie wiem.

Porucznik zaprowadził podpułkownika do swojego pokoju i dokładnie opowiedział o morderstwie Gunhild Persson i o pierwszych krokach śledztwa. Kaczanowski wysłuchał uważnie tego sprawozdania i pochwalił:

— Doskonale się spisaliście, poruczniku. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli razem poprowadzimy dalsze śledztwo. Wy znacie teren, a ja jako starszy kolega i przyjaciel będę służył swoją radą oraz pomocą.

— Och, panie pułkowniku! — porucznik ze szczęścia gotów był uklęknąć przed Kaczanowskim.

— Tak, tak — powtórzył podpułkownik — prowadźcie nadal śledztwo. Jak ujmiecie przestępcę w co wcale nie wątpię, cała zasługa po waszej stronie.

— Ależ, panie pułkowniku — protestował porucznik.

— Dobrze, dobrze. Nie mówmy o tym więcej. Nie mam dzisiaj nic do roboty, wezmę więc te protokoły i taśmy ze sobą i do jutra je przestudiuję. To wprowadzie trochę wbrew przepisom, ale w ten sposób nie stracimy czasu. Jutro rano naradzimy się, co robić dalej.

— Odprowadzę pana pułkownika — ofiarował się Stanisław Motyka.

— Boicie się o te materiały śledztwa? — uśmiechnął się Kaczanowski.

— Skądże znowu! Ale i tak idę w tamtą stronę.

— To pojedziemy, bo jeszcze nie odesłałem samochodu. Mam w nim swoje rzeczy.

Nazajutrz podpułkownik zjawił się w gmachu komendy punktualnie o ósmej. Porucznik widząc go wchodzącego do pokoju ucieszył się, że zdążył przyjść pięć minut wcześniej. Kaczanowski położył na stole

teczkę z protokołami i taśmy.

— Teraz wiem chyba tyle co i wy — powiedział Kaczanowski — możemy zatem porozmawiać o sprawie.

— Jakie są wnioski pana pułkownika?

— Mamy dwóch podejrzanych. Jednego obciąża przede wszystkim znajomość karate. Drugiego to, że był ostatnim człowiekiem, z którym Szwedkę widziano. Alibi nie mają ani Szaflar, ani Bujak. Co się z nimi dzieje?

— Sprawdziłem. Wczoraj Andrzej Szaflar nie zgłosił się do pracy ani nie usprawiedliwił swojej nieobecności. Milicjant wysłany do niego do domu z poleceniem stawienia się w komendzie, wrócił z niczym. Mieszkanie zamknięte na cztery spusty.

— Wywiał?

— Wszystko na to wskazuje.

— A co z tym drugim?

— Także znikł z Zakopanego. Wprawdzie pojawił się na parę minut w „Nosalu”, ale potem nie można go było znaleźć w żadnym z zakopiańskich lokali, chociaż tam stale zwykle przesiadywał. W „Europie” miał, jak sam mówił, „swoje biuro”. Mieszka z rodzicami, posłaliśmy tam wezwanie na dzisiaj, na godzinę dziewiątą. Ciekawy jestem, czy się stawi?

— Faktem jest — stwierdził podpułkownik — że mordercą może być tylko jeden z nich. Drugi, ten niewinny, nie ma żadnych powodów, aby się ukrywać. Zresztą obaj mogą być niewinni, a przestępcą może być zupełnie ktoś inny stojący poza wszelkimi podejrzeniami.

— To dlaczego się ukrywają?

— Bo się boją. Na pewno doskonale się orientują albo nawet wiedzą z różnych przecieków śledztwa, że ich podejrzewamy. Obawiają się, że jak raz się dostaną w ręce milicji, trudno im będzie dowieść swojej niewinności. Niestety, taką nieufność do aparatu sprawiedliwości jeszcze się często spotyka. Czasem zresztą ta nieufność jest usprawiedliwiona. Przecież w sądach nieraz zapadają wyroki uniewinniające w stosunku do ludzi, którzy przedtem poznali, co to śledztwo i tymczasowe aresztowanie.

— Przecież nakaz aresztu wydaje prokurator po zazapoznaniu się z aktami sprawy.

— Prokurator także jest człowiekiem i może się mylić. Zresztą czasami okoliczności tak się składają, że trudno odróżnić winnego od niewinnego. Niemniej tych obu trzeba jak najprędzej znaleźć.

— Sądzę, że jeżeli Andrzej Szaflar nadal się nie ujawni, trzeba zaopatrzyć się w nakaz przeszukania i otworzyć jego mieszkanie. Jestem pewien, że prokurator podpisze taki nakaz.

— Macie rację — przyznał podpułkownik — ale na tych dwóch naszych podejrzanych nie musimy się wyłącznie skupiać. Trzeba rozglądać się i za innymi podejrzаныmi.

— Jakimi?

— Tego jeszcze nie wiem. Ale czy was nie uderzyła pewna okoliczność?

— Co pan pułkownik ma na myśli?

— Nie co, a kogo —poprawił Kaczanowski — tę piątkę Szwedów.

— Nie bardzo rozumiem. Mają bezsporne alibi. W czasie krytycznym wszyscy znajdowali się przy stoliku. Zresztą jaki mieliby powód morderstwa i rabunku bransoletki?

— Powód to nawet porucznik sam podał w rozmowie z Perssonem.

— Powiedziałem tylko tak, aby się uspokoił.

— Słusznie. Ale kto wie, czy nie trafił pan w dziesiątkę? A co do alibi, mają je, bo oni tak twierdzą. Dla mnie uderzające jest to ich staranie, aby jak najprędzej opuścić Zakopane i Polskę.

— W takich okolicznościach...

— Zgadzam się. Rozumiem, że chcą wyjechać. Ale oni posunęli się aż do interwencji dyplomatycznej. Sam ambasador fatygował się w tej sprawie do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przecież i tak nie trzymalibyśmy ich tutaj dłużej niż to jest konieczne. Są formalności, które muszą być salawatnione. Oni by nawet tę zmarłą zostawili i sami wyjechali.

— Nie wszyscy.

— Wiem. Osterman przecież powiedział, że nigdzie się nie spieszy. Główną sprężyną tych zabiegów jest Persson. Człowiek, którego nie możemy nie podejrzewać.

— Ale cios karate. Nie przypuszczam, żeby pan Persson uprawiał ten sport.

— Sportu na pewno nie uprawiał. Za jego młodych lat karate nie było znane w Europie. Kto wie jednak, czy nie przeszedł jakiegoś tak obecnie modnego na Zachodzie kursu zamoobrony, gdzie te ciosy pokazują. Zresztą planując zamordowanie żony, mógł się paru takich ciosów nauczyć. O odpowiedniego instruktora w Sztokholmie nietrudno. A bransoletkę zabrał dla upozorowania mordu rabunkowego.

— Czy mam wezwać na przesłuchanie tych ludzi, którzy są na liście sporządzonej w restauracji zaraz po wypadku?

— Nie. Nie róbmy tłoku w gmachu komendy. Do tych, co mieszkają w pensjonatach najlepiej posłać wywiadowców. Niech z nimi po prostu porozmawiają. Dopiero gdyby znaleźli się tacy, którzy by pamiętali, co się działo przy szwedzkim stoliku, wtedy trzeba sporządzić oficjalny

protokół przesłuchania świadka. Naturalnie w grę wchodzi tylko ci, którzy widzieli przy tym stoliku mniej niż pięcioro Szwedów. A z miejscowymi, radziłbym, aby porucznik sam porozmawiał. Prędzej się dogadacie.

— Zakopiańczyków to tam dużo nie było. Najwyżej sześciu czy siedmiu. Odwiedzę ich po południu lub wieczorem. A wywiadowców zaraz poślę w kurs.

Kaczanowski spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

— Działajcie więc, poruczniku. A ja wybiorę się do „Kasprowego”. Porozmawiam trochę ze służbą na temat naszych Szwedów. Jeżeli ich zastanę, od razu oficjalnie przesłucham. Z góry wiem, że nie powiedzą nic innego, ale lepiej, żebyśmy te protokoły u siebie mieli. Podpisany dokument ma zawsze inną wartość, niż taśma magnetofonowa. Jest dziesiąta, a naszego judoki jak nie ma, tak nie ma... Sprawdźcie, czy Andrzej Szaflar zgłosił się dziś do pracy.

Porucznik wykręcił numer Domu Nauczyciela. Zapytał o Szaflara. Przewodnika nadal nie było w pracy. Tyle, że zatelefonował i powiedział, że w ważnych sprawach rodzinnych musiał nagle wyjechać do Poznania.

— Jak mówił, że do Poznania — skonkludował porucznik — to znaczy, że się schował tu, gdzieś w Zakopanem albo w górach.

— A że zna góry, to możemy go szukać bardzo długo.

— Ja też dobrze znam góry i jeżeli będzie trzeba, prędko go znajdę. Pewnie, można się gdzieś zaszyć w skałach czy w kosówce i przesiedzieć parę dni. Ale w końcu trzeba zejść do schroniska czy do jakiejś wsi, aby kupić jedzenie. A i do wody trzeba z gór dojść. Do strumyka, który płynie w dolinie. Nie ma potrzeby szukania uciekiniera na wierchach, wystarczy obstawić szlaki i drogi z gór.

— No to ja jadę do „Kasprowego”.

— Pójdę postarać się o samochód.

— Dziękuję. Wolę taksówkę. Wasze wozy zbyt dobrze są tu znane.

— To racja. Znają także naszych wywiadowców. Pozdrawiają ich na ulicy: „Dzień dobry, panie tajny”. Bez turystów, Zakopane to małe miasto. Kiedy mam się spodziewać powrotu pana pułkownika?

— Umówmy się na trzecią. Gdybym się trochę spóźnił, proszę, niech porucznik na mnie zaczeka.

Kaczanowski spóźnił się zaledwie dziesięć minut. Porucznik nie miał dla niego dobrych wiadomości. Przeprowadzany wywiad nie dał wyników. Wypytywani wczasowicze twierdzili, że tańczyli i nie zwracali uwagi na to, co się dzieje poza parkietem. Natomiast pułkownik zdołał nie tylko porozmawiać ze służbą hotelową, ale nawet przesłuchał Szwedów i przyniósł pięć protokołów, które zostały dołączone do akt

sprawy. Tak, jak się Kaczanowski spodziewał, cudzoziemcy potwierdzili jedynie to, co wcześniej zeznali w rozmowie z porucznikiem.

— Ten Rolf Persson znowu domagał się pozwolenia na natychmiastowy wyjazd. Im bardziej mu pilno opuścić Zakopane, tym większą ochotę mam przytrzymać go tutaj jak najdłużej. Dowiedziałem się zresztą o nim dość ciekawych rzeczy.

— Jakich?

— Przede wszystkim tego, że małżeństwo Perssonów było mocno ze sobą skłócone. Służba nie rozumie po szwedzku, ale pokojówki twierdziły, że dochodziło tam do burzliwych kłótni. A poza tym czworo Szwedów brało codziennie udział w jakichś wyprawach w góry. Zawsze zostawał Persson i sekretarka Ostermana, Margareta. Większość tego czasu para spędzała w pokoju sekretarki. To może o niczym nie świadczyć, ale może być także pewnym śladem.

— Nie miałem czasu, aby udać się do „Kasprowego” na wywiad.

— Nie robię wam żadnych wyrzutów. Przeciwnie, uważam, że jak na tak krótki okres zrobiliście bardzo dużo. Przyjechałem tu, bo we dwóch łatwiej niż w pojedynkę. A jak widzicie, liczba podejrzanych ciągle nam rośnie. Całe nasze nieszczęście w tym, że zabójca jest chyba jeden.

Rozdział V

Pomoc ze Szwecji

— Rozmawiałem z zakopiańczykami — meldował rankiem porucznik — niestety, oni także nie patrzyli na szwedzki stolik. Zresztą nic dziwnego. Ten stolik był w głębi sali, w niszy jaka powstała pomiędzy ścianą zewnętrzną, a klatką schodową. Z parkietu go prawie nie widać.

— Tak więc mamy całkowicie zgodne zeznania naszych Szwedów. Kiedy ich wczoraj przesłuchiwałem w hotelu „Kasprowy” wszyscy pięknie recytowali, że siedzieli całą piątką i nikt się nie ruszył od stołu.

— Wydałem także polecenie — ciągnął dalej Stanisław Motyka — żeby każdy milicjant, jeśli zobaczy Franciszka Karate lub Andrzeja Szaflara, natychmiast ich doprowadził do gmachu komendy.

— Widzę— roześmiał się podpułkownik Janusz Kaczanowski — że jestem tu zupełnie zbędny. Mogę wziąć wędkę i iść łapać pstragi.

— Ależ pułkowniku, gdzie pan teraz w Zakopanem znajdzie pstrąga? Już dawno wytruła je mleczarnia i ścieki miejskie. Takie nazwy jak „Rybny Potok”, to już legenda i wspomnienie.

— Jednak wczoraj, w „Kasprowym”, zafundowałem sobie pstrąga po polsku. Był bardzo smaczny i kosztował akurat pięć moich diet służbowych.

— To był pstrąg przywieziony z jakiejś hodowli nad Bałtykiem. Na całym Podhalu, jeżeli jakiś wędkarz złapie rybę, w gazetach o tym piszą.

— No to pójde na Czerwone Wierchy.

— Porozumiałem się także z prokuratorem. Nie widzi żadnych przeszkód dla wydania nakazu przeszukania mieszkania Szaflara, jeżeli Andrzej nie stawia się dzisiaj do pracy lub u nas. Nie wiem, czy nie zwrócić się do Komendy Wojewódzkiej MO w Nowym Sączu, aby w województwie zaczęli szukać naszych dwóch podejrzanych. Co pan o tym myśli, pułkowniku?

— Sądzę, że to jest przedwczesne. Takiej akcji nie da się utrzymać w tajemnicy i z obu tych ludzi od razu zrobimy morderców. Jak się nawet później wyjaśni, że są niewinni, opinia będzie się za nimi wlokła całymi latami.

— Franek Karate i tak ma tutaj złą markę i trudno ją jeszcze bardziej zepsuć.

— Ma opinię waluciarza i kanciarza, ale nie mordercy. A Szaflar jak dotychczas cieszy się uznaniem i szacunkiem ludzi. A przecież co

najmniej jeden z tych dwóch jest niewinny zbrodni popełnionej w „Nosalu”. A może nawet obaj.

— Jeśli pan pułkownik tak uważa...

— Nie chodzi o to, że ja tak uważam. Chcę was, poruczniku, przekonać. Pracujemy razem i musimy być zgodni w swoich działaniach. Nie tylko formalnie, bo jeden ma więcej gwiazdek i pasków niż drugi, ale niech to będzie naprawdę jedność w działaniu. Wszystkie kroki, jakie przedsięwzięliście, uważam za bardzo słuszne. Sam bym tak postępował, ale z tym Nowym Sącem trochę zaczekajmy. Telefonowałem rano do Warszawy do KG MO i poprosiłem, aby uspokoili nasze MSZ i Ambasadę Szwedzką. Szwedom krzywda się tutaj nie stanie, ale ich obecność jeszcze przez kilka dni w Zakopanem jest konieczna. Rozmawiałem także z waszym komendantem. Zostawia nam zupełnie wolną rękę w tej sprawie i obiecał wszelką możliwą pomoc, jeśli będzie potrzebna. Prosił jedynie o dobrą współpracę z prokuratorem.

— Ostatnio były pewne drobne nieporozumienia pomiędzy nami a prokuratorem. Wina była po obu stronach.

— Właśnie chcę iść do prokuratury i przedstawić się prokuratorowi oraz zreferować mu przebieg śledztwa.

— Ja już meldowałem panu prokuratorowi. Co prawda tylko telefonicznie, bo roboty miałem tyle, że trudno było się od niej choć na chwilę oderwać. Ale właśnie o to, że działamy sami i zbyt późno kontaktujemy się z prokuratorem, oni mają do nas największe pretensje. A my do nich, że są za ostrożni w stosowaniu aresztu.

Podpułkownik się roześmiał. Znał te sprawy z innego terenu niż Zakopane. Było w nich trochę prawdy, ale znacznie więcej urażonej ambicji obu stron.

— No, to ja idę — stwierdził Kaczanowski — wezmę ze sobą teczkę z protokołami przesłuchań i innymi dokumentami śledztwa. Może prokurator będzie chciał je sam przeczytać i ewentualnie zrobić odpisy. Może zresztą uzna za stosowne także przesłuchać tych ludzi, chociaż uważam, że jest to na razie przedwczesne.

Ale podpułkownikowi nie dane było wyjść. W chwili, kiedy zamykał teczkę z dokumentami, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna średniego wzrostu, ciemny blondyn o okrągłej twarzy i lekko zadartym nosie. Ubrany był w jakieś bardzo wyszarzałe paletko, a na głowie miał spłowiały baskijski beret. Spod rozpiętego palta widać było brązowy garnitur także nie pierwszej młodości. Na pierwszy rzut oka nie udawało się określić wieku przybysza, ale chyba dobiegał czterdziestki, a może już ją przekroczył.

— Chciałbym rozmawiać — nieznamy mówił jakąś dziwną mieszaniną polskiego i rosyjskiego, kalecząc zresztą oba te języki — z

kimś, kto prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Gunhild Persson.

— Właśnie my dwaj — wyjaśnił podpułkownik.

Przybyły wyciągnął rękę.

— Panowie pozwolą, że się przedstawię. Jestem Sven Breman. Reporter z „Sydsvenska Dagbladet” i jej popołudniówki „Kvällsposten”. Tłukłem się tutaj promem, samolotem, pociągiem i wreszcie taksówką z Krakowa, ale jestem.

— Król szwedzkich reporterów zawsze musi być na miejscu — roześmiał się podpułkownik. — Mogłem iść o zakład, że pan się tu zjawi.

— Pan mnie zna? Skąd?

— Bardzo wiele o panu słyszałem od majora Michała Wyganowicza i jego pięknej żony Margot.

— Michał! Wspaniały chłop. Nie widziałem go ze trzy lata. Co on porabia?

— Pracuje. Jak zwykle. Przez te trzy lata na pewno przeżył niejedną ciekawą przygodę.

— O jednej z nich na Węgrzech coś niecoś słyszałem, ale niestety, nie było mnie przy tym. Nic nie napisałem. A Margot?

— Jest jeszcze piękniejsza niż dawniej. Ich synek chowa się zdrowo i ma już pięć lat. A Margot mówi po polsku dużo lepiej od pana.

— Nic dziwnego. Bardzo chciałbym ich oboje zobaczyć. Myśle, że kiedy już przyskrzynicie tego łobuza, znajdę trochę czasu, aby wpaść do nich do Warszawy. Już z góry cieszę się na to spotkanie.

Porucznik przysłuchiwał się tej rozmowie, jak gdyby siedział na tureckim kazaniu. Spozrzegł to Kaczanowski i przedstawił:

— Porucznik Stanisław Motyka, który prowadzi śledztwo. Ja tu przyjechałem jedynie do pomocy. A to Sven Breman, najwspanialszy szwedzki dziennikarz, słusznie zwany „królem reporterów”. Nawiasem mówiąc, wielki przyjaciel Polaków. Swego czasu oddał nam w Szwecji ogromne usługi. Uratował życie jednemu z naszych ludzi i na dodatek obdarzył go piękną żoną.

— Nie przesadzajmy — roześmiał się reporter. — Trochę się także przyczyniłem do wyratowania Michała z opresji, chociaż on sam dobrze sobie radził. Ale nie o to teraz chodzi. Muszę jeszcze dzisiaj wieczorem nadać szlagier dla „Sydsvenska Dagbladet”. Dlatego do was przyszedłem.

— Na razie nie możemy ujawniać żadnych szczegółów śledztwa — odpowiedział porucznik — może za parę dni?

— Tra-la-la! — roześmiał się dziennikarz — O tych wszystkich policyjnych tajemnicach to wróble na dachach ćwierkają. Zarówno w Sztokholmie, jak i w Paryżu czy w Zakopanem. Ale nie mam czasu

zbierać tych wiadomości na ulicy. Dlatego przychodzę prosto do źródła. To dla was lepiej, bo powiecie mi tylko część prawdy, gdy tymczasem rozmawiając z ludźmi w „Nosalu” i w innych knajpach dowiedziałbym się wszystkiego.

— Taki jest — śmiał się podpułkownik — jak go mój przyjaciel Michał Wyganowicz opisywał. Jego nie uda się nam splawić. Byle za dużo mu nie powiedzieć.

— Nie przychodzę do was z pustymi rękoma — zastrzegł się Sven Breman. — Nic za darmo. Wy mi ujawnicie, co ustaliło dotychczas śledztwo, ja wam opowiem o bardzo dla was ważnych sprawach i sprawkach Rolfa Perssona. Kim on jest, jak doszedł do majątku i dlaczego aż do śmierci musiał kochać swoją żonę Gunhild. No jak, zrobimy interes? Na pewno na nim nie stracie. Przecież wam jest wszystko jedno, co piszą o tej sprawie szwedzkie dzienniki. I tak w Polsce prawie nikt ich nie czyta, a w Zakopanem na pewno nikt, bo tu nie docierają. Po co mamy walczyć ze sobą, kiedy możemy wspólnymi siłami przyskrzynieć tego łobuza.

— Jakiego łobuza? — zapytał podpułkownik.

— Pan udaje, że pan nie rozumie. Naturalnie tego, który zabił biedną Gunhild.

— Kogo pan ma na myśli?

— Zabójcę — Sven Breman nie dał się złapać.

— Zgadzam się na pańską propozycję — powiedział Kaczanowski — ale jeden warunek. Ujawnimy panu to, co będziemy uważali za możliwe. Być może pewne sprawy będą musiały i dla pana pozostać tajemnicą.

— Zgoda.

— Więc proszę, niech pan pyta.

— Jak zginęła Gunhild Persson? Do Szwecji dotarła wiadomość, że została zamordowana w hotelu „Nosal” na dansingu.

— Zabito ją uderzeniem w prawą skroń, w restauracyjnej toalecie. W tym czasie muzyka grała i inni goście tańczyli lub siedzieli przy stolikach. Szatniarz, który znajdował się w pobliżu wejścia do toalety, nie widział, aby tam wchodził jakiś mężczyzna.

— Cios w prawą skroń, — podchwycił Sven Breman — lewą ręką z krótkim zamachem — to mówiąc dziennikarz zademonstrował, jak to się robi — śmierć natychmiastowa. Zanim upadła, już nie żyła.

— Muszę wyjaśnić porucznikowi — dodał podpułkownik — że pan Breman jest znanym judokiem i karateką. To właśnie on wprowadził i rozpropagował te sporty w Szwecji.

— Z tego ciosu wynika, że człowiek, który go zadał, musi być bardzo biegły w sztuce karate. Wystarczy pół centymetra niżej lub

wyżej i cios nie ma znaczenia. Nawet nie ogłuszy przeciwnika. Tego ciosu karatekom nie wolno nawet pozorować na zawodach. W czasie pozorowanej walki karate często zawodnik nie zdoła zatrzymać ręki tuż przed celem i dochodzi do nokautów. Przy tym ciosie nie ma nokautu, lecz od razu śmierć. Naturalnie ktoś, kto chciał zabić Gunhild, mógł wyćwiczyć ten jeden cios i później bezbłędnie go zastosować.

— Widzicie, poruczniku, że „król reporterów” już nam się przydaje. Mamy na miejscu eksperta w karate.

Porucznik wyjął z koperty i podał dziennikarzowi parę barwnych fotografii zrobionych przez milicję na miejscu zbrodni.

Dziennikarz obejrzał zdjęcia i uradowany powiedział:

— Doskonale. Zaraz wyślę je do Malmö.

Kaczanowski spokojnie odebrał Szwedowi kolorowe fotografie i włożył je z powrotem do koperty.

— Nic z tego. Tak daleko nasz układ nie sięga, abyśmy panu dawali nasze dokumenty.

— Nie szkodzi — Sven Breman wcale się nie zmartwił. — Mam aparat i filmy. Dojście do tej toalety załatwię sobie za parę koron. Znajdę także dziewczynę odpowiedniego wzrostu i już wiem, jak ją ułożyć na podłodze. Twarzy nie będzie widać, ale to minie przeszkadza. Chodziło mi wyłącznie o położenie ciała. To zdjęcie będzie prawdziwym szlagierem. Trzymam zakład, że obiegnie całą szwedzką prasę.

— A my damy — roześmiał się podpułkownik — sprostowanie.

— Nie zrobicie tego, bo po pierwsze nie będziecie mieli w ręku tych gazet, po drugie wtedy musielibyście ujawnić swoje fotografie. Ale co jeszcze możecie mi powiedzieć?

Kaczanowski krótko poinformował, że, jak to stwierdził mąż pani Persson i całe ich szwedzkie towarzystwo, Gunhild miała na ręku złotą bransoletkę wartości około dziesięciu tysięcy dolarów. Ta bransoletka znikła. Najprawdopodobniej zabrał ją morderca.

Berman uśmiechnął się.

— Policja ma i zbrodnię, i motyw zbrodni. robota. Powinszować.

— Nie rozumiem? — zdziwił się porucznik.

— Czy po zbrodni rewidowaliście Perssona?

— Wszyscy wychodzący z restauracji byli rewidowani przy wyjściu.

— Jeśli wszyscy to znaczy, że nikt — odpowiedział Szwed. — Każdy mężczyzna i każda kobieta spokojnie mogła to świecidełko wynieść pod nosem waszych policjantów.

— U nas jest milicja — poprawił go podpułkownik.

— Jak się zwał, tak się zwał. Gdybyście wzięli na osobistą rewizję Szwedów, pewnie mielibyście tę bransoletkę. A teraz należy jej szukać w najbliższym strumieniu.

- Widzę, że pan posadza Perssona.
- Nie posadzam. Jestem tego pewien.
- Dlaczego?

— Znamy dobrze w Szwecji tego pana. Jak też i całą tę znaną rodzinę. Wprawdzie Rolf Persson jest jej nowym członkiem, ale doskonale dopasował się do reszty.

— My prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Gunhild Persson. Szwedzkie historie niezbyt nas obchodzą.

— Ale właśnie one — stwierdził Sven Breman — rzucają światło na to, co się stało w Zakopanem. Stary John Berggren, pradziadek Gunhild, był zwykłym wiejskim kowalem we wsi Enskede leżącej na południe od Sztokholmu. Dzisiaj to już prawie przedmieście stolicy, ale w dziewiętnastym wieku była to mała wioska dość odległa od miasta. Pod koniec ubiegłego wieku i na początku dwudziestego, Szwecję, jak i całą Europę nie ominęła „rewolucja przemysłowa”. Świat potrzebował coraz więcej żelaza. Myśmy mieli najlepszą na świecie rudę, szybko zaczął się w Szwecji rozwijać przemysł metalurgiczny.

— Podobnie jak u nas na Śląsku i w Zagłębiu Sosnowieckim.

— Stary John, a później jego syn w lot złapali koniunkturę. Kiedy John umierał, w jego kuźni pracowało ponad dwudziestu ludzi. Jego syn, Stig, przekształcił starą kuźnię na fabryczkę różnych stalowych wyrobów, potrzebnych wielkiemu przemysłowi. Był, jak to się teraz nazywa, kooperantem wielkich zakładów przemysłowych powstających w Sztokholmie, Malmö i Göteborgu. Szybko wyczuł, że największy interes może zrobić na łożyskach kulkowych. Przyszła pierwsza wojna światowa. Szwecja pozostawała neutralną. A żadna armata nie mogła się poruszać bez łożysk kulkowych. A także nie mógł bez nich istnieć rozwijający się przemysł samochodowy i lotniczy. Mała fabryczka w Enskede szybko przekształcała się w liczącą się na rynku firmę. Wieś szwedzka cierpiała wtedy biedę. Wszędzie był nadmiar rąk do pracy. Stig i to umiał wykorzystać. W jego zakładach stawki były o połowę niższe niż w pobliskim Sztokholmie. A kiedy dochodziło do strajków i zaburzeń, fabrykant sprowadzał policję i wojsko, aby przywrócić porządek. Stare kroniki ruchu robotniczego pełne są opisów krwawych zajęć w Enskede. Później stosunki się zmieniły i wyzysk przybierał inne formy.

— Tak było nie tylko w Enskede — wtrącił porucznik.

— Gdy po śmierci Stiga panowanie w Enskede objął z kolei jego syn a ojciec Gunhild, Thorsten Berggren, zamienił on swoją fabrykę na spółkę akcyjną. Ale wszystkie akcje pozostały w rodzinie. Większość z nich zresztą Thorsten wykupił od braci i sióstr. On też szybko zrozumiał, że fabryka nie może się opierać na produkcji jednego wyrobu — łożysk tocznych. Powstały więc nowe zakłady, z których

największe specjalizowały się w produkcji silników elektrycznych. Druga wojna światowa uczyniła z tych zakładów wielki koncern, jeden z najpoważniejszych w Szwecji, zaś z Thorstena Berggrena multimilionera. Ale kto ma dużo, ten chciałby mieć jeszcze więcej. To samo było z naszym bohaterem. W Szwecji z podatkami nie żartują. Stopa podatkowa dochodzi nawet do dziewięćdziesięciu procent. Każdy jak umie, tak stara się wykręcić od płacenia, ale Thorsten posunął się w tym wykręcaniu zbyt daleko. Zarzucano mu fałszowanie ksiąg handlowych, a nawet poważne przestępstwa celne. Wywóz i przywóz z zagranicy surowców i maszyn bez cła. Jak tam naprawdę było, trudno coś powiedzieć, bo do procesu nigdy nie doszło. Thorsten przed dziesięciu laty zmarł nagle na serce. Czy to był zawał, czy samobójstwo, kroniki rodzinne milczą na ten temat.

— A Persson? — wtrącił porucznik.

— Właśnie dochodzę i do Perssona. Thorsten Berggren miał jedną córkę, Gunhild. Rozpieszczoną czy nawet rozwydrzoną dziedziczkę ogromnej fortuny, ojciec pozwalał dziewczynie na wszystko. Była ona też bohaterką najrozmaitszych skandalików towarzyskich. Ale pieniędzmi można dużo rzeczy przykryć i zamaskować. Zaś w biurach Thorstena właśnie rozpoczął pracę młody urzędnik, Rolf Persson. Niewiele umiał, nie miał jakiegoś specjalnego wykształcenia fachowego, za to był bardzo przystojny. Gunhild kiedyś go ujrzała i zakochała się bez pamięci.

— Zwykła historia — mruknął podpułkownik.

— Stary Thorsten zbyt zajęty zarządzaniem swoich fabryk i kłopotami, a te się właśnie zaczęły, nawet był zadowolony, że będzie miał córkę z głowy i że tą szaloną dziewczyną zajmie się ktoś inny. Szybko doszło do ślubu, po którym piękny zięć został mianowany dyrektorem jednej z fabryk wchodzących w skład koncernu. Tutaj dał się poznać jako człowiek bezwzględny i co tu dużo ukrywać, mający głowę do interesów. Za dwa lata był już zastępcą Thorstena. A po jego śmierci objął jego stanowisko. Stary fabrykant doskonale jednak zdawał sobie sprawę, że przystojny zięć leciał nie na jego córkę, lecz na jego miliony. Przewornie zamknął mu do nich drogę przez sprytnie sporządzony testament.

— Testament? Przecież dziedziczy córka.

— Z zachowaniem wszelkich obowiązujących w tym względzie przepisów, pracowali nad tym najlepsi krętacze ze Sztokholmu, testament zabrania spadkobierczyni sprzedaży choć jednej akcji. Mają one być w całości przekazane jednemu wnukowi. Gunhild może jedynie czerpać z tych akcji wypłacane dywidendy. Natomiast część majątku, którą fabrykant mógł dowolnie rozporządzać, od razu zapisał wnukowi. Rolfa Perssona Berggren mianował generalnym dyrektorem

zakładów, ale przydzielił mu radę nadzorczą, na której czele postawił Gunhild. W skład rady weszli także inni członkowie rodziny Berggrenów. A rada nadzorcza, w której głos decydujący ma największa posiadaczka akcji, córka Thorstena, może w każdej chwili zwolnić dyrektora. W tym testamencie znalazła się jeszcze jedna klauzula. Na wypadek gdyby małżeństwo się rozwiódło, winny rozwodu ponosi ciężkie konsekwencje. Gdyby miał nim być Persson, natychmiast wylatuje z posady i nie może otrzymać żadnego stanowiska w koncernie. Gdyby miała nim być Gunhild, traci ona swoje akcje, które przechodzą od razu na własność jej syna. Opiekę nad synem, a więc i tymi akcjami obejmuje Rolf Persson. Nadal też nie wolno sprzedawać akcji w trzecie ręce.

— Sprytnie — pochwalił Kaczanowski.

— Przecież mówiłem, że najlepsi adwokaci, jacy są w Szwecji, pracowali nad tym testamentem. I dlatego małżonkowie Persson muszą się kochać aż do śmierci jednego z nich.

— A po śmierci?

— Gdyby miał pierwszy umrzeć Rolf, sprawa jasna. Po prostu mianuje się nowego naczelnego dyrektora. Ale rzecz się komplikuje w wypadku śmierci Gunhild. Wtedy Persson dziedziczy po niej na zasadach ogólnych. Połowę jej majątku. Wprowadzie akcje pozostają nadal zablokowane dla syna, ale Persson może brać połowę przypadającej na nie dywidendy, a to jest niezła fortunka. Poza tym na walnym zebraniu akcjonariuszy rozporządza połową głosów, co umacnia go na stanowisku generalnego dyrektora. Wtedy już nikt go nie może ruszyć z tej posady. W Szwecji morderca lub ten, kto się przyczynił do morderstwa żony, nie dziedziczy po niej. Tak jest chyba w prawach spadkowych wszystkich państw. Nie znam zeznania pana Perssona, ale idę o największy zakład, że o testamencie nie pisał wam słówka.

Obaj oficerowie milicji się roześmiali.

— Sądzę, że to, co powiedziałem — pochwalił się Sven Breman — przyda się dwom asom polskiej policji.

— Milicji — poprawił porucznik.

— Moja wina, ale ciągle w mowie i w piśmie używam słowa „policja”. Do innej nazwy muszę się przyzwyczaić. Chyba na naszym targu nie zrobiliście złego interesu?

Zamiast odpowiedzi podpułkownik Kaczanowski sięgnął do leżącej na biurku szarej koperty. Wyjął z niej jedno zdjęcie. Takie, na którym nie widać było twarzy leżącej na podłodze Gunhild Persson. Wręczył ją dziennikarzowi.

— Za poważne informacje, poważny materiał. Po co ma pan robić balona ze swoich czytelników.

— Mądry zawsze się z mądrymi dogada — stwierdził Breman chowając fotografię. — Muszę zaraz wynająć kogoś, kto pojedzie do Krakowa i tam nada to zdjęcie listem lotniczym do Sztokholmu, a stamtąd do Malmö. Na razie dziękuję, jutro znowu się zgłoszę po następne materiały. Sądzę, że w tym hotelu naprzeciwko znajdzie się jakiś pokój. W razie czego powołam się na milicję — tym razem dziennikarz już się nie pomylił. A za chwilę nie było go w pokoju.

— Z tym zdjęciem... — zaczął porucznik.

— Z tym zdjęciem wszystko w porządku. Być może, że powinienem zasięgnąć opinii prokuratora, a choćby komendanta. Oni by myśleli, a Szwed i tak by zdjęcie posłał. Niewiele różniące się od prawdziwego. Za jedną fotografię mamy jego życzliwą pomoc. To, co nam powiedział o Perssonie, jest wprost bezcenne.

— Można powiedzieć — zażartował porucznik — że przywiózł nam trzeciego podejrzanego. Obawiam się jednak, że coś za szybko rosną szeregi tych podejrzanych.

Rozdział VI

Opowiadanie Franka Karate

Podpułkownik Janusz Kaczanowski spojrział na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu.

— Chyba jeszcze zdążę do prokuratury — powiedział.

— Zaraz panu pułkownikowi załatwię samochód.

Ale nie sądzone było Kaczanowskiemu tego dnia rozmawiać z prokuratorem. Porucznik nie zdążył się nawet podnieść zza biurka, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek w wieku, tak na oko, około dwudziestu pięciu lat. Blondyn o pociągłej twarzy i charakterystycznym „góralskim” nosie. Włosy długie jak u dziewczyny. Wąsy i broda jak u przeciętnego hipisa. Ubrany był w mocno wytarte, ale oryginalne džinsy i czerwony zapinany sweter, spod którego wyglądała barwna koszulka z reklamą angielskiego samochodu jaguar.

— Jak się masz, Stasiu — przybyły zawołał od progu i szedł z wyciągniętą ręką do porucznika — mówiła mi matka, że przysyłałeś jakiegoś gliniarza, żeby się ze mną zobaczyć. Co, potrzebujesz zielonych?

Bardzo zmieszany Stanisław Motyka chcąc nie chcąc przywitał z przybyłym. Ten zaś, jak gdyby dopiero teraz spostrzegł podpułkownika i wyciągając także do niego rękę, powiedział:

— O, nowy. Nie znałem pana. Jestem Franek Bujak. Dla przyjaciół po prostu Karate.

— A ja jestem podpułkownikiem Kaczanowskim z Komendy Głównej MO w Warszawie. To ja wzywałem pana — podpułkownik udął, że nie dostrzega wyciągniętej dłoni — żeby go przesłuchać w sprawie morderstwa Gunhild Persson.

— To dopiero — szczerze roześmiał się Bujak — nie wiedziałem, że jestem taki ważny, że aż pułkownicy przyjeżdżają ze stolicy, aby ze mną rozmawiać. Jestem do dyspozycji pana pułkownika — Franek uklonił się przesadnie nisko.

— Siadajcie — Kaczanowski wskazał krzesło przed biurkiem i sam usiadł po jego drugiej stronie. Wyjął z szuflady „protokół przesłuchania świadka” i zaczął zadawać pytania.

— Imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia

— Franciszek Bujak, imię ojca Mateusz — młody człowiek najwidoczniej nieraz był już w podobnej sytuacji — urodzony w Zakopanem, siedemnastego marca 1952 roku.

— Wykształcenie

— Skończyłem Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Matematykę.

— Miejsce pracy?

Franek roześmiał się.

— Kto nie ma w głowie, ten musi pracować. U mnie jednak „baśka” pracuje. Niech pan napisze, że pomagam ojcu w gospodarstwie.

— Nie zalewaj — wtrącił się porucznik — ojciec ma niecałe dwa hektary, gdzie tylko owies rośnie i to nie co roku. Jeździ powozikiem i wynajmuje pokoje. Powiedz od razu, że jesteś cinkciarz.

— Jeszcze mnie ani milicja, ani prokurator nie przyskrzynili na jakiejś lewej transakcji — bronił się Franek Karate.

— Dlaczego nie pracujecie w swoim fachu?

— Pracuję. Codziennie muszę dobrze liczyć, aby na ten kieliszek wódki z zagrychą zarobić.

— Co robiliście przedwczoraj wieczorem? Tak od siódmej do dziesiątej?

— To pan myśli, że ja rąbnąłem tę Szwedkę? — zdziwił się młody człowiek — będę musiał pana rozczarować.

— Proszę odpowiadać na moje pytania.

— Dobrze, dobrze. Więc o siódmej siedziałem w „Europejskiej”. Był tam Mietek Gąsienica, Jurek Ciaptak i Hanka Wojasówna. Gdzieś po ósmej pomyślałem sobie, że trzeba zajrzeć do „Nosala”. Może ten młody Szwedzik będzie miał coś do wymiany. Ja mu trochę pomagałem wymienić dolary na bony i potem te bony sprzedać. Ale Szwedzi najwidoczniej nie zdążyli jeszcze wydać wszystkich działków, bo Marek do mnie podszedł i powiedział, że nic dla mnie nie ma. Wyszedłem z „Nosala”, zajrzałem do „Maleńkiej”, tam pogadałem z pół godziny z takimi dwoma z GOPR i znowu zajrzałem do „Nosala”. Do kawiarni. Tam siedział pewien Niemiec z RFN. Hans mu na imię. Przysiadłem się do niego. Poznałem go przed tygodniem. Równy gość, chociaż szkop. Hans powiada, że jutro rano wraca do domu przez Czechosłowację i potrzeba mu trochę koron. Miałem w domu pięćset koron, pomyślałem sobie, dlaczego nie oddać przysługi takiemu miłemu facetowi? Umówiliśmy się, że te korony przyniosę mu do pokoju hotelowego, bo on mieszkał w „Nosalu”. Kopnąłem się do domu, mieszkam blisko, na Kasprusiach i przyniosłem mu te pięć setek.

— Która to była godzina?

— Nie było jeszcze dziesiątej.

— Mówcie dalej.

— Hans chciał się zrewanżować za wyrządzoną grzeczność. Już miał dzwonić na kelnera, ale kiedy sprawdził, to w portfelu miał

zaledwie trzy setki. A wiadomo, w „Nosalu” za to nawet „żytką” nie kupi. Wziąłem od niego dwie stowy, zszedłem na dół i od pani Marii pożyczyłem butelkę winiaku. Na drugi dzień z samego rana jej oddałem. Kryśka, która wtedy siedziała w recepcji hotelowej, musi mnie pamiętać, bo z nią rozmawiałem. Pytałem się, czy Hans jest na górze? Wypiliśmy z tym Niemcem po dwa kieliszeczki. On dużo nie mógł, bo na drugi dzień rano jechał samochodem. Ja także nie jestem specjalnie trunkowy. Pożegnaliśmy gdzieś około wpół do dwunastej i zszedłem na dół. Tam mi Krystyna powiedziała, że w restauracji zaciukali jedną Szwedkę i zrabowali jej bransoletkę. Wiedziałem, która to babka, bo obnosiła się z tymi świecidełkami, aż oczy bolały.

— Do restauracji już nie wchodziliście?

— A po co? Tam już milicja gospodarowała. Wyszedłem przez wyjście hotelowe, to z lewej strony gmachu, i poszedłem do domu spać. Na drugi dzień rano wyjechałem do Krakowa, gdzie miałem parę spraw do załatwienia. Wróciłem, a matka mi powiada, że mnie porucznik Bujak szuka i milicjanta przysłał. Od razu do was przyszedłem.

— Po ten winiak weszliście do restauracji z hotelu czy z dworu?

— Z dworu. Tak jakoś automatycznie zszedłem zeschodów i zamiast skrócić na lewo, tam jest taki korytarzyk i drzwi prowadzące do restauracji, to wyszedłem na dwór. A już się nie wracałem, tylko obszedłem budynek i wszedłem drugim wejściem. Tym naprzeciwko drzwi do „Zbójeckiej Piwnicy”.

— Czy muzyka wtenczas grała?

— Grała. Jakiegoś „foxa”. Później walca.

— Przechodząc przez hol, widzieliście kogoś znajomego?

— Sporo ludzi odbierało płaszcze w szatni. Pewnie ci z kawiarni, bo tam o dziesiątej zamykają. Widziałem dyrektora Kozłowskiego, ale z nim nie rozmawiałem. Nie wiem, czy on mnie spostrzegł? Podałem szatniarzowi forszę i wziąłem paczkę malboro. Może szatniarz będzie pamiętał?

— Schodził pan na dół do toalety?

— Nie schodziłem. Poszedłem na górę do sali restauracyjnej, do pani Marii.

— Widział pan znajomych?

Franciszek Bujak zastanawiał się.

— Orkiestra grała. Chyba właśnie zaczęli tego walca. Prawie wszyscy goście tańczyli. Aha, już wiem, zauważyłem jedną z tych Szwedek, jak szła, w stronę schodów prowadzących na dół.

— Gunhild Persson?

— Nie. Inna. Ta młoda, ruda.

— Widzieliście stolik szwedzki?

— Nie przyglądałem się specjalnie. Przecież przyszedłem tylko do pani Marii, aby wziąć butelkę winiaku. Ale zdaje mi się, że tam siedział Marek i tych dwoje, Osterman i jego żona.

— A Perssona nie widzieliście?

— Gdzieś mi mignął. Ale nie przypominam sobie. Albo w holu, albo w restauracji.

— Przy stoliku?

— Nie wiem. Ale raczej nie przy stoliku. Na pewno stał, a nie siedział.

— Co było potem?

— Nic. Wziąłem od pani Marii butelkę i wyszedłem z restauracji.

— Znowu na dwór?

— Nie. Tymi wewnętrznymi drzwiami do recepcji hotelowej.

— Muzyka jeszcze grała?

— Tak. Przestali, kiedy już byłem na górze u mojego Niemca. To pamiętam dobrze.

— Ta ruda Szwedka szła sama? Może właśnie z Perssonem?

— Nie. Była sama. To mogę stwierdzić z całą pewnością.

— A Gunhild pan nie widział?

— Nie. Nie widziałem. Na pewno nie było jej przy stoliku z pozostałymi Szwedami.

— W holu także pan jej nie zauważył?

— Nie. Nie rozglądałem się. Przy kontuarze szatni tłoczyło się trochę ludzi.

— Pan uprawia karate?

— Jakie tam „uprawia”. Trenowałem i walczyłem w Krakowie. Byłem judokiem, a potem przerzuciłem się na karate. Ale w Zakopanem nie ma żadnej sekcji. Trochę tam doktor Świątek usiłował coś robić, nic z tego jednak nie wyszło. Jest nas tu paru. Czasami sobie poćwiczymy, aby nie zapomnieć.

— Właśnie doktor Świątek stwierdził, że Gunhild Persson została zabita pomiędzy dziewięcią trzydziestą a dziesiątą. Ciosem karate w skroń. Nawet z pańskich zeznań wynika, że w tym czasie był pan w „Nosalu”.

Franciszek Bujak jakby zaniemówił. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu z krtani. Wreszcie opanował się i nieco drżącym tonem powiedział.

— Pan pułkownik myli się. Ja nie zabiłem tej kobiety. Zresztą dlaczego miałbym to zrobić?

— Dla zrabowania bransoletki wartej co najmniej dziesięć tysięcy

dolarów.

— Przyznaję — Franek Karate odzyskał pełny spokój — że kręcę się przy różnych cudzoziemcach, których w Zakopanem nie brakuje. Pomagam im przy wymianie. Także nieraz coś się kupi od Czechów i od Węgrów. Pan wie. Przyjeżdżają przez Łysą Polanę, a później w drodze do Zakopanego zatrzymują samochody. Najczęściej tam, jak te maliniaki przed tą podwójną pętlą przy Wierchu Poroniec. Wtedy podjeżdżają innymi samochodami Polacy. W maliniakach załatwia się transakcje, towar szybko z samochodu do samochodu i wszystko cacy, cacy. Tam sprzedają nie tylko sweterki i dziecięce ciuchy czy koniaki, ale także korony i forinty. Kto ma głowę, o zarobek łatwo. Więc dlaczego miałbym mordować? Nawet dla dziesięciu tysięcy dolarów. Za duże ryzyko. Gdzie ja bym sprzedał taki klejnot w Polsce? „Jubiler” nie kupi. Prywatniacy tak samo. A wywieźć za granicę, z miejsca bym wpadł, bo Szwedzi na pewno zrobią zastrzeżenie. Zresztą nie tylko Szwedzi, ale i wy. A pociąć na złom i sprzedawać jedynie brylanty? To się straci, co najmniej połowę.

— I tak pozostanie pięć tysięcy dolarów— wtrącił porucznik.

— I krawat na szyję — dodał Franek — to nie dla mnie takie interesy. Po co mi to. Chałupę mam. Maluchem jeżdżę. Jeżeli bym chciał, to i większego fiata mogę sobie zafundować. Na żarcie także zarobię. Stasiek, panie pułkowniku, mnie zna. Od szczeniaka. Razem chodziliśmy do szkoły, razem zdawaliśmy maturę. Potem on poszedł do milicji, ja na uniwersytet. Może poświadczyć, że lubię mieć i lubię wydawać pieniądze. Ale się w nich nie kocham. Lekko przyszło, lekko poszło. Ale zabijać dla paru dolarów?

Porucznik przy tych słowach miał niewyraźną minę. Nie wiedział, co robić. Czy stanąć w obronie kolegi szkolnego, czy też pamiętać, że jest oficerem prowadzącym śledztwo. Milczał i nie patrzył na podpułkownika.

— Znacie Andrzeja Szaflara.

— Pewnie, że go znam. Przewodnik z Domu Nauczyciela.

— Ten sam. O niego mi chodzi. Widzieliście go w „Nosalu”?

— Nie. Nie widziałem.

— A tamtego dnia wieczorem widzieliście go?

— To było, kiedy wychodziłem z „Maleńkiej”. Szaflar szedł Krupówkami. On mieszka na Zamojskiego.

— Rozmawialiście?

— Nie. Był jakiś dziwny. Zawołałem do niego:

„Halo, Andrzej!”. Szedł drugą stroną Krupówek, ale mnie nie zauważył, ani nie usłyszał. Nic do niego nie miałem, więc więcej go nie zaczepiałem. Wróciłem do „Nosala”.

— A w ogóle tego dnia pan go widział?

— Tak. Kiedy wszedłem pierwszy raz do restauracji, aby się zobaczyć z Markiem Dańcem, Jędrzek wtedy siedział przy stoliku Szwedów. Ale ja do nich nie podchodziłem, tylko kiwałem na Marka, aby przyszedł do mnie.

— Pan zmieniał tym Szwedom dolary. Dużo?

— Żadnych dolarów nikomu nie zmieniam — zastrzegł się Franek Karate — nigdy mnie nikt na tym nie złapał i nie złapie. Jeżeli chce komuś grzeczność zrobić, to go podprowadzę do kasy „Pewexu”. Tam facet zmieni dolce na bony. A że ja mu te bony sprzedam i trochę sobie zarobię, to nie grzech.

— Komu ty to mówisz? — oburzył się porucznik.

— Nikt mnie nigdy nie złapał.

— Ale złapia.

— Na pewno nie ty.

— Ile tych dolarów wymienili? — podpułkownik przerwał sprzeczkę szkolnych kolegów.

— Co najmniej kilka tysięcy. Ci goście nie liczą się z forszą. W „Pewexie” także dużo kupują. Wszystkie babki sprawiły sobie po kożuszku.

— Szaflar był mocno zainteresowany tą Szwedką?

— To ona nim. Przypięła się do niego, jak rzep do psiego ogona. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła. A Jędrzek? Co mu tam jedna babka. Ma tego towaru w domu wczasowym do wyboru, do koloru. Niektóre specjalnie tu przyjeżdżają, aby „zaliczyć” prawdziwego górala.

— Szaflar nie jest góralem — wtrącił Motyka — przyjechał tu z Poznania.

— Ale o tym wczasowiczki nie wiedzą. Nosi góralskie nazwisko i nawet nauczył się mówić po naszemu nie gorzej niż pan Tetmajer. Rwą go jedna przez drugą. Chłop samotny.

— Nie zauważył pan, kręcił się jeszcze ktoś koło Gunhild?

— Ja na nich nie zwracałem uwagi. Z nimi nie rozmawiałem. Jeżeli było coś do załatwienia, to kontaktowałem się z Markiem. A tej Szwedki to ja nie zabiłem. Nie tylko Franek Bujak zna w Polsce karate. Zresztą tych śmiertelnych ciosów w ogóle nie znam. Nie uczą ich na treningach. To może pan pułkownik sprawdzić u doktora Świątka.

— Na tym skończymy przesłuchanie — zdecydował podpułkownik — proszę jednak bez naszej wiedzy nigdzie z Zakopanego nie wyjeżdżać. Teraz dokończę pisanie protokołu. Może pan zapali? — Kaczanowski podsunął paczkę papierosów i zwracając się do porucznika poprosił: — Rzućcie, poruczniku, panu Bujakowi zapalki.

Porucznik spełnił żądanie zwierzchnika, Franek zrećnie złapał

pudełeczko. Kaczanowski kończył protokół. Sam bowiem go pisał. Wreszcie przeczytał go przesłuchiwanemu i poprosił o podpisanie bądź wniesienie uwag czy poprawek. Franciszek Bujak nawet bez instrukcji podpisywał każdą kartkę oddzielnie.

Kiedy formalnościom stało się zadość, podpułkownik zapytał:

— Zupełnie nie znam karate. Kiedy byłem w szkole oficerskiej dopiero wprowadzali džudo. Mieliśmy chyba dwie godziny tygodniowo z bardzo sympatycznym instruktorem. Ale przyznaję, nie bardzo mnie to pociągało. Słyszałem jednak, że dobry karateka potrafi kantem dłoni rozłupać cegłę tak, jak murarz specjalnym młotkiem.

— To możliwe — przyznał Franek Karate — ja tego bym nie potrafił. Za mało trenuję.

— Ależ też musi pan mieć dłoń wyrobioną.

— Oczywiście. Ma się trochę tej krzepy — i dla zademonstrowania Bujak parę razy uderzył kantem dłoni w biurko. Tak mocno, że podpułkownik obawiał się, iż blat pęknie.

— Gdyby pan pułkownik — roześmiał się Bujak — tak walnął w stół, na pewno kości nadgarstka by nie wytrzymały. A u mnie nawet nie ma śladu zaczerwienienia — to mówiąc demonstrował prawą rękę obu zaciekawionym oficerom.

— Dziękujemy panu — podpułkownik zęgnął przesłuchiwanego, ale i teraz nie podał mu ręki — tak, jak mówiłem, proszę nie wyjeżdżać z miasta. Gdyby pan miał jakieś interesujące nas wiadomości w tej sprawie, prosimy się do nas zgłosić.

Kiedy za cinkciarzem zamknęły się drzwi, porucznik zauważył:

— Myślałem, że pan go zamknie, choćby na czterdzieści osiem godzin. Nie jestem taki pewien jego niewinności.

— Nie możemy wszystkich podejrzanych zamykać. Poszlaki dość słabe. Nie ma alibi na krytyczny okres, plątał się po hotelu. To fakt. Ale od tego, do dowiedzenia komuś popełnienia morderstwa, jeszcze droga daleka. Prokurator nie wydałby nakazu aresztu i po czterdziestu ośmiu godzinach musielibyśmy go i tak zwolnić. Nie ucieknie nam. Jeżeli nawet jest winien, to nic w tej sprawie nie może zagmatwać. Zresztą bardzo wątpię, żeby był winien.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim sam się do nas zgłosił.

— Bo logicznie rozumował, że na dłuższą metę nigdzie się nie ukryje. Prędzej czy później zawsze byśmy go złapali. Nawet ucieczka za granicę nic by mu nie dała. Morderca Szwedki nie dostałby nigdzie prawa azylu. Wydano by go nam albo Szwedom. Na pewno z żądaniem ekstradycji wystąpiłyby i władze szwedzkie.

— Założmy, że pan ma rację — podpułkownik nie dawał się

przekonać swojemu pomocnikowi — ale i tak broni Bujaka jeszcze inny fakt.

— Jaki?

— Ten człowiek nie jest mańkutem.

— Nie rozumiem?

— Przecież to pan sam rzucił mu pudełko zapalek.

— Rzuciłem, bo pułkownik tak kazał. Byłem zdziwiony, bo wiem, że Franek ma maszynkę gazową. Taką japońską, bezkamieniową.

— A widział pan, którą ręką złapał te zapalki?

— Prawą.

— Właśnie. W takich niespodziewanych momentach mańkut użyje lewej ręki. Poza tym Bujak, kiedy demonstrował ciosy karate, także walił prawą dłonią w biurko. I to walił, ile siły w rękę. Mańkut i w tym drugim wypadku użyłby lewej dłoni jako bardziej wyćwiczonej.

— Pan sądzi, że zabójca Gunhild Persson był mańkutem?

— Jeśli tak twierdzi doświadczony karateka, jakim jest szwedzki dziennikarz Sven Breman, muszę mu wierzyć. A przecież on nam pokazał cios, którym zabito Szwedkę i wyraźnie powiedział „Uderzenie lewą dłonią w prawą skroń”. Wypytywałem także waszego lekarza, doktora Świątka. On, chociaż na pewno mniej biegły w sztuce karate od Bremana, także skłania się do tego, że morderca jest albo mańkutem, albo włada lewą ręką tak samo sprawnie jak prawą.

— Ciekawe czy Rolf Persson jest praworęczny? — zastanawiał się porucznik. — „Król reporterów” bardzo go obciążył i niedwuznacznie nam sugerował, gdzie należy szukać mordercy.

— Sprawdziłem i to. Przy okazji, kiedy przesłuchiwałem Szwedów. Muszę jednak pana zmartwić. Persson także, to nie ulega wątpliwości, jest praworęczny. Nie dziwię się, że Sven Breman nie kocha tego rekina przemysłu. Na pewno te uczucia dzielają tysiące innych jego rodaków. Ale od antypatii czy nienawiści do dowiedzenia komuś morderstwa także droga daleka. Na razie Persson nadal pozostanie jednym z podejrzanych. Tak samo jak Andrzej Szaflar i Franciszek Bujak.

— Jeden z tych trzech na pewno jest mordercą Gunhild.

Podpułkownik uśmiechnął się.

— Jesteście, poruczniku, człowiekiem młodym i zapalczym. Wydaje się wam, że już wszystko wiemy. A przecież sprawa może w każdej chwili przybrać zupełnie inny obrót. Zaś przypuszczając nawet najgorsze, może się okazać, że nie potrafimy jej nigdy wyjaśnić.

— To niemożliwe.

— A jednak kroniki świata znają tysiące spraw, których nigdy nikomu nie udało się rozwikłać. Gdzie przestępcy nigdy nie stanęli

przed sądem, albo i stanęli, lecz z braku konkretnych dowodów winy musieli zostać uniwinnieni.

— Tutaj tak nie będzie.

— Mam nadzieję, że nie.

— Teraz, kiedy już z Frankiem Karate trochę się wyjaśniło, musimy jak najprędzej znaleźć Andrzeja Szaflara. Pan pozwoli, pułkowniku, że ja się tym zajmę.

— Doskonale. Ja zaś mam nadzieję, że jutro zdołam dotrzeć do prokuratury i porozmawiać z panem prokuratorem. Zdam mu dokładne sprawozdanie z dotychczasowych naszych czynności. Może prokurator będzie miał także jakieś polecenia.

— Nasi podejrzani są praworęczni, a zabójca jest mańkutem — rozważał porucznik. Trzech podejrzanych, zaś zabójca jest na pewno jeden. Co my wiemy?

— Wiemy, że nic nie wiemy. Ale to już przeszło dwa tysiące lat przed nami powiedział pewien wielki filozof — tymi słowami podpułkownik zakończył rozmowę.

Rozdział VII

Złota bransoletka i papierowe dolary

Wbrew obawom porucznika Stanisława Motyki, podpułkownik Janusz Kaczanowski wrócił z prokuratury bardzo zadowolony. Oficer milicji i prowadzący śledztwo prokurator szybko doszli do całkowitego porozumienia. Okazało się, że także do gmachu prokuratury dotarły interwencje z Warszawy, aby goście ze Szwecji mogli jak najprędzej wyjechać z Zakopanego. Po naradzie obaj panowie jednak uznali, że w tej chwili to jest jeszcze przedwcześnie. Niemniej zarówno podpułkownik, jak i prokurator byli zgodni, że należy prowadzić śledztwo w taki sposób, aby zagraniczni goście jak najprędzej odzyskali swobodę ruchów. Zakopane bowiem traci wiele ze swoich uroków, jeśli nie można z niego wyjechać.

Wprawdzie podpułkownik był do Zakopanego oddelegowany z Komendy Głównej MO w Warszawie i mógł działać niezależnie, a w sprawach prowadzonego śledztwa mógł podporządkować sobie całą komendę miejską, nie uważał jednak za stosowne demonstrowanie tych uprawnień. Dlatego po powrocie z prokuratury, Kaczanowski zameldował się u komendanta i zdał mu szczegółowe sprawozdanie zarówno z rozmowy z prokuratorem, jak i z dotychczasowych wyników, jak i perspektyw śledztwa.

Porucznika Kaczanowski nie zastał w komendzie. Za to czekał na niego tam pan Marek Daniec. Reprezentując całą grupkę Szwedów, domagał się on prawa wyjazdu do rodzinnego kraju. Tym razem, tak do tej pory grzeczny młody człowiek, zachowywał się wręcz bezczelnie. Groził już nie ambasadą, ale interwencją rządu szwedzkiego i wywołaniem wielkiego międzynarodowego skandalu. Siebie i swoich towarzyszy nazywał więźniami, zatrzymanymi wbrew wszelkim przepisom prawa międzynarodowego i polskiego. Zapowiedział, że od dnia dzisiejszego Szwedzi nie będą regulowali rachunków hotelowych i restauracyjnych, ale prześlą je do zapłaty do milicji.

Podpułkownik cierpliwie wysłuchał pogróżek młodego człowieka i krótko wyjaśnił:

— Śledztwo jest w toku. Jak tylko wasza obecność tutaj będzie zbędna, natychmiast będziecie mogli wyjechać. Co do sprawy kosztów, to możemy was przenieść do innego, tańszego hotelu, za który zapłacimy i wypłacimy wam takie diety, jakie przysługują wszystkim Polakom wzywany na świadków. Nigdzie na świecie świadkowie nie przebywają w hotelu kategorii „lux”. Co zaś do tego groźenia nam

międzynarodową prasą, która ma podnieść skandal, to tutaj w tej sprawie przyjechał znany dziennikarz szwedzki Sven Breman. Nikt mu nie utrudnia jego służbowych zadań. Może się swobodnie poruszać. Więcej, udostępniliśmy mu te materiały śledztwa, które bez szkody mogą być ujawnione. Nie mamy nic przeciwko temu, aby pan Breman czy inni dziennikarze pisali o tej sprawie. Zwyklej, kryminalnej sprawie o morderstwo. Nie cenzurujemy korespondencji prasowych. Co zaś do pana Bremana, to nawet jesteśmy mu bardzo wdzięczni. Udzielił nam wielu ważnych informacji. Zwłaszcza o panu Rolfie Perssonie i o jego zamorodowanej żonie. Te informacje uwzględniamy także przy prowadzeniu przez nas śledztwa.

Ta deklaracja zupełnie zmieniła postawę Marka Dańca. Teraz mówił znacznie grzeczniej:

— Pan sam, pułkowniku, musi zrozumieć, w jak trudnej sytuacji znaleźli się poważni przemysłowcy. Interesy wymagają ich obecności w Szwecji. Zamiast tego muszą tu siedzieć. W dodatku pan Persson nie może oddać swojej ukochanej żonie ostatniej posługi.

— Zadeklarowaliście — przypomniał podpułkownik — swój pobyt na dwadzieścia dni. Jesteście w Zakopanem dopiero jedenaście dni, zaś w naszym kraju zaledwie czternaście. Liczyliście się z tym, że w Polsce będziecie znacznie dłużej. Nie ma więc mowy o tym, że pokrzyżowaliśmy wam wasze plany. A co do sytuacji pana Perssona, ogromnie mu współczuję. Muszę jednak stwierdzić, że kiedy przed dwoma dniami przesłuchiwałem was, od razu poinformowałem pana Perssona, że powinien złożyć do prokuratora wnioski o wydanie ciała tej tak ukochanej żony — Kaczanowski nie mógł sobie odmówić odrobiny ironii. — Bardzo dziwne, ale do tej chwili taki wniosek nie wpłynął. Może pan go właśnie dzisiaj przyniósł?

— Nie — Marek Daniec nie mógł ukryć zmieszania.

— Niestety, obecność wasza w Zakopanem jest konieczna dla dobra śledztwa. Proszę mi wierzyć, że to nie jest nasz kaprys, czy jakieś widzimisię. Gdyby sytuacja była odwrotna i gdzieś w Szwecji zamordowano by w podobnych okolicznościach jakąś Polkę, policja szwedzka, w której sprawność nie wątpię, także aż do ostatecznego wyjaśnienia sprawy nie zezwoliłaby mężowi tej Polki na opuszczenie kraju Trzech Koron.

— Nie przypuszcza pan chyba, pułkowniku, że jedno z nas jest mordercą naszej rodaczki? To zupełny nonsens.

— Ja niczego nie przypuszczam, ja po prostu prowadzę śledztwo.

— Czy macie jakieś skonkretyzowane podejrzenia?

— Mamy różne ślady. Idziemy ich tropem. Gdybym na pewno wiedział, kto jest mordercą, przestępca już byłby ujęty.

— Jednakże zastanawiające, że dwaj młodzi ludzie, którzy się

kręcili przy naszej małej grupce, nagle zniknęli z Zakopanego. Mówię o Franciszku Bujaku i Andrzeju Szaflarze. — Marek Daniec wyraźnie sugerował oficerowi milicji, gdzie należy szukać mordercy.

— Pana Bujaka przesłuchiwaliśmy wczoraj. Wiemy, że wyjeżdżał w swoich sprawach do Krakowa. Po powrocie stamtąd natychmiast zgłosił się do nas.

— I...

— I sędzę, że jeśli pan chce się z nim zobaczyć, to spotka pan go w „Europejskiej” lub w „Malańkiej”. O ile się orientuję, Bujak nadal skłonny jest oddawać wam pewne usługi. Tak nawiasem mówiąc, nie radzę jednak z nich korzystać. A co do Szaflara, porozmawiamy z nim jutro. Sędzę, że po tej rozmowie dużo spraw się wyjaśni.

— I będziemy mogli wyjechać?

Podpułkownik tylko ręce rozłożył.

— Nie jestem jasnowidzem.

— Bardzo jednak proszę — młody człowiek zupełnie zmienił front — żeby pan pułkownik wczuł się w naszą sytuację.

— Jeśli o mnie chodzi — zapewnił Kaczanowski — nie zostaniecie tu ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne.

— Bardzo dziękuję panu pułkownikowi chociaż za to.

— Przypominam o tym wniosku. W przeciwnym razie trzeba będzie panią Persson pochować na miejscowym cmentarzu.

— Tak jest — obiecywał młody człowiek — sam się tym zajmę.

Wkrótce wrócił porucznik. Nie mówił gdzie był, ale z miny oficera widać było, że wyprawa mu się udała. Kaczanowski nie próbował wypytywać swojego współpracownika, co go tak cieszy. Szanował drobne tajemnice. Za to sam podzielił się z Motyką swoimi osiągnięciami w prokuraturze oraz rozmową z komendantem.

— Kiedy rozmawiałem z prokuratorem — wyjaśniał Kaczanowski — zaopatrzyłem się w polecenie przeszukania lokalu zajmowanego przez Andrzeja Szaflara.

— A postanowienie o tymczasowym aresztowaniu?

— O to prokuratora nawet nie prosiłem. Najpierw musimy znaleźć Szaflara, porozmawiać z nim, bądź oficjalnie go przesłuchać. Dopiero wtenczas zadecydujemy, co robić. Na to zawsze jeszcze będzie czas.

— Jutro go znajdziemy — stwierdził porucznik z wielką pewnością w głosie.

— Czekałem właśnie na wasz powrót — oznajmił podpułkownik — aby się udać do mieszkania Szaflara.

— Weźmy kaprała Batyckiego i sierżanta Ducha — zaproponował porucznik. — Batycki potrafi otworzyć każdy zamek bez uszkodzenia go, zaś Duch wynajdzie najtaniejszą skrytkę.

— Dobrze — zgodził się Kaczanowski — wy lepiej znacie kolegów.

— Andrzej Szaflar mieszka przy ulicy Zamojskiego. U starego Gąsiennicy. Przed kilku laty odkupił od właściciela strych i tam sobie urządził małe mieszkanie. Przepisy określają dopuszczalny największy metraż jednorodzinnej domu. Ale górale z reguły budują większe domy i nie wykańczają pokoi na poddaszu. W ten sposób, w samym tylko Zakopanem marnuje się co najmniej kilkaset, jeżeli nie kilka tysięcy mieszkań czy pokoi. Od dziesiątków lat stoją puste, nie wykonane.

— Oto co znaczy niezyciowy przepis — uśmiechnął się podpułkownik — a ludzie po dziesięć lat czekają na mieszkania w blokach.

— U nas, w Zakopanem, znacznie dłużej. Ale Szaflar sprytnie sobie poradził, po prostu notarialnie odkupił od Gąsiennicy część budynku. Wtedy już go metraż nie obowiązywał. A tanio kupił, bo stary gazda potrzebował pieniędzy na taksówkę dla syna. Sam Gąsiennica swego czasu furmanił. Zrywał drzewo ze stoków regli. Syn już się zmotoryzował. Zresztą i Jędrzek Szaflar także marzy, aby iść w jego ślady.

— Skąd miał pieniądze na kupno tego strychu i przerobienie go na mieszkanie? A jeszcze do tego na taksówkę? Przecież przewodnicy za dużo nie zarabiają.

— Pensję mają niedużą, ale za to w domu wczasowym pełne utrzymanie. Dla samotnego, takiego jak Jędrzek, to coś znaczy. Poza tym dorabiają sobie fotografowaniem. Prawie każdy przewodnik ciągle fotografuje swoją grupę czy też poszczególne osoby. Potem sprzedaje odbitki. Ludzie chcą mieć pamiątkę z wczasów lub zdjęcie upozowane na skale nad przepaścią. Choćby to był jedynie zręczny trik fotografującego. Z tych odbitek przewodnik ma co najmniej drugą pensję. A poza tym Szaflara tu znają i jest lubiany. Toteż ludzie chętnie mu pożyczili pieniędzy na budowę. Wszystkich długów chyba jeszcze do tej pory nie spłacił. O taksówce to on na razie marzy i jeszcze będzie marzył przez ładnych kilka lat.

— Dlaczego właśnie taksówka?

— A co innego taki długoletni przewodnik górski może robić? Gospodarować na roli? Nawet jeśli ma swoją gospodarkę, ziemia marna, trudno z niej wyżyć. Pracować na budowie? Trzeba być fachowcem. To samo dotyczy pracy w lesie. Być urzędnikiem? Wszystko dawno zajęte. Najwyżej można zostać portierem. A taksówką zawsze się zarobi na życie. Poza tym człowiek jest niezależny. Nauczyć się prowadzić samochód, żadna sztuka. Zresztą wiem dobrze, Szaflar ma od lat prawo jazdy. Jeździł przed tym jakimś starym gratem, którego sprzedał, kiedy zaczął wykańczać mieszkanie.

— No to idziemy — zdecydował podpułkownik.

Pomoc kaprała Batyckiego okazała się niepotrzebna. Wprawdzie na drzwiach mieszkania wisiała potężna kłódka, ale Maciej Gąsiennica sprowadzony jako świadek przeszukania, oświadczył, że ma drugi komplet kluczy.

— Kiedy Jędrak się tu sprowadził od razu przyniósł mi te klucze. Powiedział, że gdyby zgubił swoje, to nie mógłby się dostać do mieszkania. Powiesiłem na gwoździu i tak wisiały aż do waszego przyścia. A czego od Jędraka chcecie?

— Od czterech dni zniknął z Zakopanego. W pracy go nie ma, nikt go nie widział. Chcemy sprawdzić, co się z nim dzieje.

Stary góral chytrze się uśmiechnął:

— Powiadają, że to Jędrak zaciukał tę Szwedkę i zabrał jej złote kółko z ręki. Ale ja w to nie wierzę. On nie taki, aby się na cudze połaszczył. To dobry chłopak, chociaż z Poznania. Ale jego dziadek pasał owce w Szaflarach. A potem garnki drutował i tak wywędrował z Podhala.

Mieszkanko Andrzeja Szaflara było niewielkie, ale dobrze urządzone. Wchodziło się do małego przedpokoju, gdzie znajdowały się szafy w ścianie. Drzwi na lewo prowadziły do pokoju. Tutaj także skos dachu został wykorzystany na różne schowki. Duże okno otwierało widok na Giewont. Z przedpokoju na wprost drzwi wejściowych znajdowała się mała kuchenka, a na prawo łazienka. Pokój cały był zrobiony z lipowych desek pociągniętych bezbarwnym lakierem. Ściany kuchni i łazienki obite płytami imitującymi kafelki. Główne meblowanie pokoju stanowił tapczan. Przy nim szeroka, niska ława i trzy wygodne fotele. Taki sam fotel stał koło małego biurka umieszczonego tuż przy oknie. Na ścianie barwny kilim. Łazienka spełniała podwójną rolę. Służyła zarazem za ciemnię fotograficzną. W całym mieszkaniu panował wzorowy porządek, chociaż wyczuwało się tutaj brak ręki kobiecej. Regał nad tapczanem wypełniony był przede wszystkim literaturą fachową. Opisaniami chyba wszystkich gór na świecie i sporą ilością barwnych albumów o takiej samej tematyce. Sporo było alpinistycznych wydawnictw w języku niemieckim.

Fachowcy od przeszukania, sierżant Duch i kapral Batycki, rozpoczęli swoją pracę w przedpokoju. Tutaj w szafie w ścianie znaleźli komplet różnych kurtek i wiatrówek. Prócz tego kozuch i jesionkę. Na górnej półce stały dwa plecaki i znajdował się sprzęt do wysokogórskiej wspinaczki. Na dole dwie pary zwykłych pantofli: czarne i brązowe oraz różne buty aż do narciarskich włącznie. Trzy pary nart zajmowały ką, który pomieścił także komplet kijków.

Podpułkownik Kaczanowski nie zwracając uwagi na pracę swoich

podkomendnych zasiadł przed biurkiem i spróbował otworzyć górną szufladę. Tak ona, jak wszystkie pozostałe nie były zamknięte na klucz. W największej szufladzie, tej pod samym blatem, znajdowały się porządnie poukładane rachunki za elektryczność. Szara teczka z napisem „Budowa” zawierała rachunki zakupu materiałów i pokwitowania ludzi, którzy widocznie pracowali przy budowie tego lokum.

Dwie pozostałe szuflady wypełnione były najrozmaitszymi notatkami i opracowaniami różnych tatrzańskich wypraw. Tam także leżały bruliony wykładów, które najwidoczniej Andrzej Szaflar wygłaszał na kursach i obozach Klubu Wysokogórskiego.

Następna szuflada zawierała korespondencję, jaką gospodarz tego mieszkania otrzymywał. Najwięcej tu było pocztówek z pozdrowieniami z różnych stron kraju. Ich nadawcami prawie bez wyjątku byli wczasowicze z Domu Nauczyciela. Sporo także było listów i kart pocztowych z Czechosłowacji. Od tamtejszych przewodników i od członków „Horskiej Służby”. Tu podpułkownik znalazł także sporo zdjęć. Zarówno tych ze zwykłych wycieczek z wczasowiczami, jak też i fotografie upamiętniające różne wyprawy tatrzańskie i alpejskie.

Porucznik objaśnił swojemu zwierzchnikowi, że ten wysoki blondyn o pociągłej twarzy i klatce piersiowej jak u atlety, to właśnie Andrzej Szaflar.

— Przystojny chłopak — stwierdził Kaczanowski.

— Bardzo przystojny. Nic dziwnego, że tej Gunhild od razu zawrócił w głowie.

Podpułkownik otworzył ostatnią dolną szufladę i aż krzyknął ze zdziwienia. Szuflada była prawie zupełnie pusta. Na samym wierzchu znajdowała się duża złota bransoletka z dwoma imponującymi brylantami. A obok niej mała kupka zielonych banknotów. Kaczanowski przeliczył je. Siedem banknotów po sto dolarów każdy. Razem siedemset dolarów.

Siedzący spokojnie na fotelu i dość pogardliwie spoglądający na pracę milicjantów, Maciej Gąsiennica z niedowierzaniem pokręcił głową. Wziął do ręki ciężki złoty klejnot i uważnie mu się przyjrzał.

— No, no — powiedział — nigdy bym się tego po Jędrku nie spodziewał. Więc jednak zaciukał tę szwedzką kobietę. Żeby mi kto przed tym powiedział, tobym mu głowę za takie gadanie rozbił. Zaciukał ją.

— Tego my nie wiemy. Teraz musimy znaleźć Szaflara, aby wszystko wyjaśnić. Dolary i bransoletkę zabieramy ze sobą. Porucznik Motyka sporządzi opis tych rzeczy. Zostawimy panu pokwitowanie. Gdyby Szaflar się odnalazł i przyszedł do mieszkania, proszę mu to pokwitowanie oddać i powiedzieć, aby się natychmiast stawiał w

komendzie.

— Taki głupi to nie będzie — mruknął Gąsiennica. Dalsze przeszukiwanie lokalu nie miało już najmniejszego celu. Podpułkownik przerwał akcję i mała ekipa wróciła do gmachu komendy. Tutaj Kaczanowski wraz ze swoim pomocnikiem udali się do komendanta i pokazali mu znalezione skarby. Major długo je oglądał, ale masywna bransoletka nie wzbudziła jego zachwytu. Później powędrowały one do kasy pancерnej na przechowanie.

— No to mamy sprawę z głowy — zauważył porucznik. — Teraz trzeba przyskrzynieć Szaflara i pan prokurator może pisać akt oskarżenia.

— Tak — zgodził się komendant — zatrzymanie Szaflara jest teraz sprawą najważniejszą. Sądzę, że w tej sytuacji prokuratura zgodzi się wydać list gończy.

— Nie ma potrzeby, jutro będziemy mieli Szaflara w swoich rękach — zapewnił porucznik. — Przyznaję, podświadomie miałem nadzieję, że ta sprawa nie tak się skończy. Wprawdzie Jędrak nie jest moim przyjacielem, ale znamy się od lat i z Klubu Wysokogórskiego i z pracy w Górskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym. Nigdy nie przypuszczałem, że ten człowiek posunie się do morderstwa dla zdobycia majątku. Zresztą nie tak wielkiego majątku. Nawet w naszych warunkach te ewentualne dziesięć tysięcy dolarów, które warta jest ta bransoletka, nie jest jakąś zawrotną fortuną.

— To jednak duży pieniądz — zaznaczył major — zwłaszcza dla niego. Naturalnie są w Zakopanym ludzie dużo bogatsi. Prawdę mówią, że wszyscy ludzie są uczciwi do pewnej sumy. Widocznie u Szaflara ten próg nie przekraczał dziesięciu tysięcy dolarów. A szkoda, bo i ja miałem go za porządnego człowieka.

— Wszyscy się na nim zawiedli — dodał porucznik — stary Gąsiennica, u którego Szaflar mieszka, za głowę się złapał, kiedy tę błyskotkę zobaczył.

— Moi panowie — wtrącił podpułkownik — tak mówicie, jak gdybyście przed chwilą opuścili gmach Sądu Najwyższego w Warszawie po wysłuchaniu ostatecznego wyroku skazującego Andrzeja Szaflara. A przecież nie było jeszcze rozprawy w Sądzie Wojewódzkim, nikt, ani milicja, ani prokurator nie przesłuchali podejrzanego. Nie osądzajmy go przed czasem i nie sugerujmy się niczym.

— A ta bransoletka? — zdziwił się porucznik.

— To, że znaleźliśmy ją w mieszkaniu Andrzeja Szaflara dowodzi jedynie tego, że przewodnik wszedł w jej posiadanie. Natomiast nie dowodzi wcale, że to on zamordował Gunhild Persson. Mógł zdobyć bransoletkę w najrozmaitszy sposób. Legalny lub nielegalny. Ale niekoniecznie drogą zbrodni.

— To są teoretyczne rozważania — porucznik nie dawał się przekonać. — Świadkowie stwierdzili, że pani Persson miała tego dnia ten klejnot na ręku. Jak więc mógł go zdobyć Andrzej Szaflar?

— Mógł go nawet ukraść. Zdjął ją z ręki Szwedki w czasie tańca, chociaż wcale go nie posądzam o kradzież. Mogła mu tę bransoletkę pani Persson dać do sprzedaży. Albo choćby podarować.

— Nie robi się komuś prezentów za dziesięć tysięcy dolarów tylko za to, że się z nim parę dni tańczyło na dansingu. A sprzedawać tego klejnotu tak bogata Szwedka nie potrzebowała.

— Tego nie wiemy! Może miała jakieś sekretne wydatki i wolałaby, aby mąż o nich nie wiedział? Zniknięcie bransoletki bardzo łatwo wytłumaczyć właśnie kradzieżą lub choćby jej zgubieniem.

— Łatwiej zgubić pierścionek z brylantem, który nie był mniej wart niż ta bransoletka. I znacznie łatwiej usprawiedliwić rzekomą zgubę. Wystarczy powiedzieć, że się pierścień zdjęło myjąc ręce i potem zostawiło go się na umywalce.

— Ale w Polsce trudniej jest sprzedać platynowy pierścionek z brylantem, niż złotą bransoletkę. Wbrew staremu powiedzeniu, że my Polacy „kochamy żelazo”, dzisiaj bardziej lubimy złoto.

— Panowie — komendant miasta przerwał tę wymianę zdań — bardzo poważne poszlaki wskazują na Szaflara jako na sprawcę zabójstwa Gunhild Persson, ale sprawa musi być dokładnie wyjaśniona. Teraz trzeba jak najszybciej odnaleźć ukrywającego się przewodnika.

— Jutro go ujmiemy — powtórzył porucznik.

— Wiecie, gdzie jest? — zapytał major.

— Wydedukowałem, gdzie się może ukrywać. Jutro to sprawdzimy i jestem pewien, że go tam odnajdziemy.

— Sądzę, majorze, że dobrze byłoby okazać tę bransoletkę naszym szwedzkim gościom w celu jej identyfikacji. To wprowadzie formalność, ale należy tę sprawę tak załatwić, żeby później nie było jakichś zarzutów. Niech obejrzą, a potem klejnot zamkniemy w naszej kasie aż do definitywnego wyjaśnienia całej sprawy. Sądzę, że kiedy zobaczą bransoletkę, trochę się uspokoją i nie będą tak ciągle żądać pozwolenia na wyjazd z kraju.

— Chce pan ich wezwać?

— Nie. Prościej będzie, jeżeli z porucznikiem pojedziemy do „Kasprowego” i tam dokonamy tej formalności.

— Proszę bardzo. Weźcie jeden z samochodów komendy i jedźcie.

Bransoletka powędrowała z kasy do kieszeni Kaczanowskiego.

Kiedy obaj oficerowie wychodzili z budynku komendy, jak spod ziemi wyrósł przed nimi dziennikarz szwedzki, Sven Breman.

Kordialnie witając milicjantów, powiedział:

— Mam przecucie, że znowu dostanę od was jakiś szlagier.

— Może już niedługo — Kaczanowski nie zaprzeczał.

— Jak słyszałem — ciągnął dalej „król reporterów” — moi rodacy przysparzają wam kłopotów. Zamiast siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, pragną jak najprędzej opuścić waszą piękną ojczyznę. Ale chyba nie będziecie się zbytnio spieszyć z wydaniem im takiego pozwolenia.

— Otrzymają je natychmiast po wyjaśnieniu całej sprawy.

— A sprawa coraz bardziej się komplikuje — powiedział Sven Breman.

— Nie sądzę. Raczej się wyjaśnia.

— Cieszy mnie, że pułkownik tak twierdzi. Ale radzę być bardzo ostrożnym. Macie do czynienia z bardzo szcwanymi lisami. Nie wszystko złoto co się świeci. Nawet jeśli ma dwa brylanty.

— Pan sądzi, że ta zrabowana bransoletka jest fałszywa?

— Na pewno prawdziwa. Nie należy jednak z tego faktu wyciągać błędnych wniosków.

— Nie rozumiem, o czym pan redaktor mówi?

— A ja sądzę, że doskonale się rozumiemy — uśmiechnął się Szwed. — nadaję dzisiaj bardzo ciekawą korespondencję do Malmö, do „Sydsvenska Dagbladet”. A na jutro szykuję nowy szlagier. Rozmowę z Andrzejem Szaflarem. Mam nadzieję, że panowie mi to ułatwią. No, ale nie zatrzymuję was, bo jak widzę pilno panom do „Kasprowego”. To bardzo przyjemny hotel. Zwłaszcza te małe barki z doskonałym grilem.

— Szatan, a nie człowiek — powiedział porucznik, kiedy obaj oficerowie siedzieli w samochodzie — nie dziwię się, że wie o znalezieniu przez nas bransoletki. Wyraźnie to nam sugerował. Rozniosło się po całym mieście. Wystarczyło, że Maciej Gąsiennica powiedział dwa słowa swojej babie, aby całe Zakopane o tym wiedziało.

— Tak. Dobrze to rozumiałem. Zobowiązanie starego Górala do zachowania tajemnicy nie miało wielkiego sensu, bo i tak by języka w gębie nie utrzymał.

— Nie rozumiem jednak, skąd Szwed wiedział, że jutro zapolujemy na Andrzeja Szaflara.

— Nie darmo nazywają go w Szwecji „królem reporterów”. Ci, mieli z nim do czynienia, powiadali, że przed tym człowiekiem nic się nie ukryje. Pewnego razu wziął udział w bardzo tajnej naradzie w sprawach atomowych. A w Szwecji z tymi sprawami nie żartują. A jednak nikt Svena Bremana nie poznał. Zmylił wszystkie kontrole. Z tym, że zna nasze poczynania, należy się pogodzić. Na pewno nie będzie nam psuł sprawy ani też przeszkadzał.

— W każdym bądź razie wyraźnie nas ostrzegął, abyśmy się nie sugerowali znalezieniem tej bransoletki.

— Mnie — odpowiedział podpułkownik — bardziej intryguje te siedemset dolarów, które leżały w szufladzie biurka obok złota. Wszystkie te banknoty są nowiutkie i mają tę samą serię oraz kolejną numerację. To dziwna sprawa.

— Nie zastanawiałem się nad tym — przyznał porucznik — ale to na pewno nie są oszczędności Szaflara. On wszystko, co zarobił, przeznaczał na spłatę długów. Wiem to dobrze. A poza tym nie stać go było na kupienie od ręki takiej ilości „zielonych”. Gdyby dochodził do nich kolejno, numeracja by się nie zgadzała.

— Sprawdźcie, poruczniku, w „Pewexie”, czy Franek Karate naprawdę tam wymieniał dolary na bony i czy przypadkiem te dolary nie mają tej samej numeracji i podobnych numerów. Większe odcinki zawsze powinny być zapisywane.

— Rozumiem. Pan myśli, że te dolary pochodzą od Szwedów?

— To właśnie trzeba sprawdzić. Jestem pewien, że nie zostały zrabowane z torebki pani Persson. Sami, poruczniku, mówiliście, że tamte były złożone na połówkę i że były to różne, używane banknoty.

— Niestety, nie przyszło mi na myśl, aby wynotować numery i serie tamtych dolarów, zanim je wraz z biżuterią nie przekazałem mężowi zmarłej.

— Nie robię porucznikowi z tego powodu wyrzutów, ale sami widzicie, jakiej akuracności wymaga nasza praca. Nigdy nie wiadomo, co się w przyszłości może przydać?

— Sporządziłem protokół z opisem rzeczy znalezionych przy zmarłej — bronił się porucznik. — Mamy w aktach także pokwitowanie pana Perssona z odbioru tych rzeczy. Kwestionował jedynie brak bransoletki, ale sam stwierdził, że kiedy razem z nami wszedł na miejsce, gdzie zginęła jego tona, żego klejnotu nie było na ręku zabitej. Czy mogłem przewidywać, że numery tych dolarów będą potrzebne?

— Musimy zawsze wszystko przewidywać.

Samochód zajechał przed „Kasprowy”. Recepcjonistka wyjaśniła, że całe szwedzkie towarzystwo jest w hotelu i właśnie przed kilkoma minutami udało się do kawiarni. Tam też ich zastali oficerowie milicji.

— Przyszedł pan nam powiedzieć — tymi słowami Rolf Persson powitał podpułkownika — że nasz areszt jest już skończony i możemy wyjeżdżać z tej dziury?

— Przyszedłem, aby państwa spytać — podpułkownik nie dał się sprowokować — czy to znacie? — to mówiąc oficer milicji położył złotą bransoletkę na blacie stolika.

— To bransoletka pani Persson — zawołał Marek Daniec.

— Jak ją pan zdobył? — zapytała Inga Osterman.

Rolf Persson nie od razu się odezwał. Jak gdyby był zaskoczony widokiem złota znajdującego się w zasięgu jego ręki. Wreszcie i on przemówił.

— Rozumiem, że morderca mojej żony został ujęty. Winszuję milicji sukcesu. Jutro możemy opuścić „Kasprowy”?

— Niestety, nie. Wprawdzie odzyskaliśmy bransoletkę, ale do całkowitego wyjaśnienia sprawy brakuje kilku drobnych szczegółów. Mam jednak nadzieję, że pobyt państwa pod Giewontem za kilka dni się skończy.

— Tę bransoletkę pan pułkownik mi odda? Tak jak i tamte klejnoty, które moja biedna żona miała tego dnia na sobie.

— Znowu muszę panu odmówić. Proszę o jeszcze trochę cierpliwości. To już nie potrwa długo.

— Ja się nigdzie nie śpieszę — wyrwał się Ragnar Osterman — bardzo mi tu dobrze. Przynajmniej w Zakopanem nie mam do czynienia z naszymi władzami podatkowymi.

— Dobrze ci, bo nikt twojej żony nie zamordował.

— Gdyby zamordował, to dopiero bym się nie spieszył — dość makabrycznie zażartował właściciel stalowni.

— Czy może pan — podpułkownik zapytał Rolfa Perssona — napisać oświadczenie, że poznaje pan ten klejnot i że był on własnością pana żony? Proszę — Kaczanowski podsunął Szwedowi arkusz papieru i długopis. Otrzymawszy taki dokument oficer milicji przeprosił całe towarzystwo, że przerwał im rozmowę oraz pożegnał się z nimi.

— Nie wiem, czy słusznie fatygowaliśmy się do tych Szwedów — zauważył porucznik, kiedy wracali do Zakopanego. — Nic to nam nie dało. Przecież od początku wiedzieliśmy, że tę bransoletkę nosiła na ręku Gunhild.

— Dowiedzieliśmy się wiele. Nie chodziło mi o identyfikację klejnotu, lecz o to, jak na ten widok zareagują nasi szwedzcy przyjaciele. I pod tym względem nie omyliłem się. Niektórzy mniej by się przestraszyli, gdybym z kieszeni wyjął i położył na stole grzechotnika.

— Tak! Pan Persson wcale nie okazał entuzjazmu.

— Nie on jeden.

Kiedy samochód zatrzymał się przed budynkiem komendy, minęła piąta po południu. A że nic już tego dnia nie można było zrobić, podpułkownik zaczął się żegnać ze Stanisławem Motyką. Ten powiedział:

— Chciałbym jutro pana pułkownika zaprosić na mały spacer w

góry. Nic męczącego. Czy pan ma odpowiedni strój? Może coś znajdziemy u nas w komendzie?

— Dziękuję. Wprawdzie wyjeżdżając z Warszawy bardzo się spieszyłem, ale nie na tyle, aby nie zabrać czegoś do chodzenia po górach. O której zbiórka? — Kaczanowski nie prosił o żadne wyjaśnienia.

— Może o wpół do ósmej? — zaproponował porucznik.

Rozdział VIII

Wyprawa na Halę Stoły

Pojechali do Kir. We dwóch, podpułkownik Janusz Kaczanowski i porucznik Stanisław Motyka. Porucznik dość krytycznym okiem obejrzał swojego zwierzchnika. Ale nie mógł mu nic zarzucić. Kaczanowski ubrany był tak, Jak się należy ubierać na wycieczkę w góry.

— Dolina Kościeliska — porucznik traktował warszawianina jak zwykłego cepra, który po raz pierwszy w życiu znalazł się na Skalnym Podhalu — jest jedną z najpiękniejszych a zarazem najdłuższych dolin górskich. Ciągnie się na przestrzeni przeszło pięciu kilometrów. Od południa zamykają ją szczyty: Tomanowy, Smereczyński, Kamienista, Błyszcz i Ornak. Od Kościeliskiej odchodzi także kilka dolin, z których największą jest dolina Tomanowa. Nad Kościeliską znajdują się hale. Z lewej Hala Miętusia, z prawej Hala Stoły i na wprost, już ca Ornakiem. Hala Pyszna. Ta ostatnia stanowi obecnie ścisły rezerwat.

Podpułkownik aie przerywał tego wywodu. Wysłuchał go z dużym rozbawieniem. Młodzi ludzie zawsze pozostają tacy zami, jeśli nawet noszą mundur milicjanta. Wszystko wiedzą najlepiej. Nikt ze starszych na niczym się die zna.

— A zatem idziemy na Halę Stoły? — zapytał Kaczanowski.

— Skąd pan wie?

— To proste. Hala Miętusia jest bardzo uczęszczana. Tędy przecież prowadzi popularny szlak do Doliny Strażyskiej. Nasz przyjaciel, Andrzej Szaflar, nie mógł się tam schronić. Hala Pyszna jest ścisłym rezerwatem. Zauważyliby go strażnicy i zatrzymali. Pozostaje jedynie Hala Stoły.

— Racja. Na Hali Stoły zachowało się do tej pory, pomimo pasji dyrekcji Parku Narodowego burzenia wszystkiego, co góralskie, jeszcze parę szałasów. W tym jeden mieszkalny. Ale, jak mówiłem, człowiek, który ukrywa się w górach, musi zejść w dolinę, aby kupić żywność. Jeżeli zaś skrył się w Hali Stoły, także po wodę pitną. Na tej hali nie ma bowiem żadnego źródelka. Kiedy górale wypasywali tam owce, zbierali deszczówkę, a wodę pitną przywozili ze strumienia w Kościeliskiej. Owce na pastwisku nie pija. Wystarcza im świeża, soczysta trawa.

— Widziano tam Szaflara?

— Wczoraj rano zszedł do Kir i w miejscowym sklepie zakupił zapas żywności na co najmniej tydzień. Kupił także dziesięciolitrowy kanister

z plastyku. Andrzej zjawił się w Kirach zaraz po otwarciu sklepu, jeszcze przed godziną siódmą rano. Kiedy tam nie ma ruchu turystycznego. Poznał go gajowy, który także miał jakiś interes w sklepie. A że przed tym zawiadomiłem całą służbę leśną w górach, aby mi donieśli, jeśli gdzieś zobaczą Szaflara, od razu się o tym dowiedziałem. Tak, jak i pan pułkownik doszedłem do wniosku, że w rachubę może wchodzić tylko Hala Stoły. Posłałem też jednego z naszych ludzi na Miętusią. Zaopatrzyłem go w silną lornetkę. Z Miętusiej doskonale widać całą Halę Stoły. Mój obserwator bez trudu ustalił, że tam się kręci jakiś człowiek. Z daleka nie mógł odróżnić czy to Szaflar, ale ten człowiek, kiedy na halę weszli jacyś turyści, schował się przed nimi w lesie. Aż do wieczora, dopóki można było obserwować, tajemniczy gość nie zszedł na dół.

— Wobec tego my pójdziemy do niego. Jak w tym przysłowiu o górze i o Mahomecie.

— To naprawdę, panie pułkowniku, niezbyt męcząca wycieczka. Tylko w jednym miejscu droga, zresztą o twardej nawierzchni, prowadzi bardziej stromo pod górę. A przed samą halą jest mała polanka, gdzie zawsze rosną rydze.

— Obawiam się, że nie będziemy ich zbierać.

— Ale za to aż do samej hali, prawie pod szalasy, podejdziemy ukryci za drzewami. Zaskoczmy Szaflara. Na pewno nam nie ucieknie, bo o świcie wysłałem czterech naszych ludzi, aby obsadzili grzbiet regli. Na Halę Stoły można wejść jedynie dwiema drogami: albo szlakiem z Kościeliskiej, albo też szlakiem prowadzącym z Kościeliskiej do Doliny Chochołowskiej z tym, że na halę dochodzi się grzbietem regli. Tam nie ma żadnego szlaku, ale droga łatwa. Właśnie ten grzbiet nad halą obsadzili nasi milicjanci. Udają turystów. Możemy z nimi nawiązać kontakt radiowy, bo wzięli krótkofalówki. Ja także mam w plecaku jedną.

— Bardzo dobrze to pan, poruczniku, zarządził — pochwalił go podpułkownik. — Ale obawiam się jednej luki w naszej obławie.

— Jakiej? — zdziwił się młody oficer.

— Z Hali Stoły jest jeszcze jedna droga ucieczki. Na Kominy Tylkowe, które ostatnio przechrzczono na Kominiarski Wierch. Droga wprawdzie trudniejsza, bo nawet z jedną przewieszką, którą zresztą można obejść. Ta droga jest taternikom powszechnie znana. Jej opis znajduje się nawet u Paryskiego. Niewątpliwie tak dobry przewodnik, jak Andrzej Szaflar, musi znać i ten szlak.

Stanisław Motyka przystanął.

— To pan pułkownik zna Halę Stoły?!

— Znam i to przejście na Kominy Tylkowe.

— Psiakrew! — zaklął porucznik — o tej ścieżce na śmierć zapomniałem. Kiedy wejdziemy w las połączę się z moimi ludźmi, aby uważali na ten szlak i w razie czego odcięli Szaflarowi drogę.

— Nic z tego — oponował podpułkownik — ta ścieżka zaczyna się tam, gdzie nie ma ani drzew, ani krzaczka. Milicjanci nie będą mogli do niej podejść tak, aby ich ktoś będący na hali nie zauważył.

— Że też mogłem zapomnieć o tamtej ścieżce — martwił się młody oficer — a przecież znam dobrze ten szlak. Nie raz i nie dwa wchodziłem tędy lub schodziłem z Kominów Tylkowych.

— Nie ma czego żałować. Pomimo pańskich czterech milicjantów i pomimo tego, że działamy przez zaskoczenie, Szaflar, jeżeli nie ma nic do stracenia, i tak nam ucieknie. Las oddalony jest od szałasów najwyżej o pięćdziesiąt metrów. Wystarczy dać weń nura, aby sześciu ludzi nigdy nie znalazło zbiega. Przecież nie będziemy do niego strzelać.

— Nie będziemy — przyznał porucznik.

— Ale mogę pana porucznika pocieszyć. Szaflar na pewno nie będzie próbował ucieczki. Może nawet będzie zadowolony, że udało się nam wykryć jego kryjówkę.

— Tak pan myśli?

— Jestem o tym więcej niż przekonany. To nie jest człowiek, który na dłuższą metę mógłby żyć jak ścigane zwierzę. Uciekł, ukrywa się, ale na pewno ma już tego dosyć.

Tak gawędząc obaj milicjanci doszli do tablicy, która była początkiem oznakowanego szlaku na Halę Stoły. Tutaj na kamieniu, korzystając z ciepłego, październikowego słońca siedział Sven Breman. W swoim nieśmiertelnym, wytartym garniturku.

— Co za miłe i niespodziewane spotkanie — zawołał Szwed na widok dwóch oficerów milicji. — Zamierzałem zrobić mały spacer na Halę Stoły, ale widzę, że dzisiaj panuje tam duży ruch. Panowie nie są pierwsi, którzy się wybieracie w tym kierunku. Inni turyści również tam podążali. Co prawda nie tą drogą, lecz za tym malowniczym starym domkiem na polanie. Wobec tego zrezygnowałem z tej wspinaczki i korzystając z dobrej pogody posiedzę sobie na ławeczce przed schroniskiem. Tu mają bardzo dobre pierożki i szarlotkę. Radzę kupić na drogę. Taki posiłek po solidnym spacerku, na górze w szałasie, jak znalazł. A jeszcze do tego „górska herbatka”. Dopiero wtedy można ocenić uroki życia.

Porucznik słysząc te kpinki, zagryzł usta ze złości.

Natomiast podpułkownik roześmiał się i wesoło odpowiedział:

— Widzę, że pan redaktor jest w doskonałym humorze.

— A dlaczego mam się martwić? Wczoraj nadałem do Szwecji

ciekawy reportaż pod tytułem „Tajemnicza bransoletka”, dzisiaj także liczę na nowy szlagier.

— Jaki?

— Napiszę o alpinistycznych zamięowaniach oficerów polskiej policji. Przepraszam, chciałem powiedzieć milicji. Ciągle się myślę.

— Mały spacerek gdzieś na halę nie jest alpinistyką.

— Mały spacerek, ale mogą być wielkie jego skutki. A dla mnie nowy materiał prasowy. Może pod tytułem „Morderca, który nie jest mordercą”? To po prostu wspaniałe. Siedzieć sobie na ławeczce przed schroniskiem, podziwiać jeden z najpiękniejszych w Europie widoków i spokojnie czekać, aż milicja przyprowadzi dziennikarzowi kogoś, z kim on pragnie przeprowadzić wywiad.

— A jak się panu redaktorowi udały zakupy?

— Jakie zakupy?

— Te w sklepie w Kirach. Obawiam się, że tam tak wybredny jak pan cudzoziemiec, nie znalazł niczego odpowiedniego dla siebie.

Szwed głośno się roześmiał:

— Widzę, że stan naszego meczu pozostaje remisowy. Jeden do jednego. No, ale nie zatrzymuje panów dłużej chociaż mogę jeszcze wspomnieć, że moi kochani rodacy sprzedawali w Zakopanem dolary o tej samej serii i kolejnych numerach. Zaś pani Gunhild nie miała takich banknotów ani nimi nie handlowała.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział podpułkownik — ale uzupełnię pańskie informacje, że te banknoty przechodziły przez kasy „Pewexu”, gdzie niektórzy zagraniczni dziennikarze lubią kupować francuski koniak Remy Martin. A czasem i polską żubrówkę.

— Przed polską milicją nic się nie ukryje.

— Przed szwedzkim dziennikarzem także.

Po wymianie tych „grzeczności”, obaj oficerowie przeszli przez mostek nad strumieniem i zagłębili się w las. Było tu dość mokro, Woda stała w rozjechanych koleinach leśnej drogi.

— Tak będzie do zakrętu — pocieszał porucznik — potem już sucho, a tego Szweda to bym z zimną krwią zamordował. Po co on się wtrąca do naszej pracy?

— My szukamy mordercy, a on zbiera materiały prasowe dla swojej redakcji. Nasze drogi nie przecinają się, ale są zbieżne. Dlatego ciągle się spotykamy. On nam nie szkodzi. Przeciwnie, usiłuje nam pomagać. Nie czynił tego otwarcie, bo to nie jest zadaniem szwedzkiego dziennikarza. Pewne sprawy stara się nam jednak wyraźnie zasugerować. Na przykład w tej rozmowie wyraźnie dawał nam do zrozumienia, że Szaflar nie jest zabójcą Gunhild Persson.

— Skąd on to może wiedzieć?

— Tego nam nie zdradzi. Ale on lepiej zna stosunki panujące w Szwecji i lepiej zna układy, jakie istnieją w tej małej grupce wycieczki ze Sztokholmu, goszczącej w hotelu „Kasprowy”. Z tą jego znajomością wszystkich sprężyn działających w naszym szwedzkim towarzystwie musimy się poważnie liczyć i nie wolno nam lekceważyć pozornych kpinek „króla reporterów”. W gruncie rzeczy stoi on po naszej stronie.

— Ale dlaczego?

— Może po prostu nie lubi nowo kreowanych milionerów, którzy do fortuny doszli dzięki ładnej twarzy? Może mu chodzi o sensację dla swojego pisma, dla „Sydsvenska Dagbladet” czy dla jej popołudniówki „Kvallsposten”? Fakt, że jakiś przewodnik tatrzański jest podejrzany o zamordowanie Szwedki i zrabowanie jej złotej bransoletki wartej raptem dziesięć tysięcy dolarów, nie jest żadną wielką sensacją. Co innego, gdyby można było dowieść tego morderstwa dyrektorowi generalnemu wielkiego koncernu szwedzkiego „Zakłady Łożysk Kulkowych”. Taki szlagier napędziłby obu dziennikom reprezentowanym przez Svena Bremana wiele tysięcy nowych czytelników i dobrze zaokrąglił konto czekowe „króla reporterów”.

— Może by sobie wówczas mógł sprawić nowy garniturek, a przynajmniej nowy beret?

— Bądźcie spokojni, poruczniku. Ten Szwed to najlepszy ich dziennikarz. Zarabia tyle, że mógłby nas obu spokojnie kupić i jeszcze by mu resztę wydali. To taka jego ulubiona poza. Ten przyjaciel, o którym już wspomniałem, opowiadał, że kiedy Breman przyjechał do Sztokholmu, nie chciano takiemu obdartusowi wynająć pokoju w pewnym luksusowym hotelu. Kazano gotówką zapłacić z góry za cały pobyt. Fakt w Szwecji wręcz niespotykany. Dopiero kiedy przeczytano jego nazwisko w księdze gości hotelowych, sam dyrektor pobiegł na górę, aby go przeprosić i udobruchać natychmiast posłaną do numeru butelką szampana. Sven Breman opisał to zajście z wszystkimi szczegółami i pół Szwecji śmiało się z wpadki hotelarzy.

— A jednak — porucznik był uparty — wolałbym, żeby on się nie wtrącał do naszej pracy.

— Tego mu nie zabronimy.

— Wiem. I dlatego mnie diabli biorą.

Szli dość szybkim tempem pod strone wzniesienie. Stanisław Motyka, który podyktował to tempo, był młodszy i stale chodził po górach, ale ze zdziwieniem stwierdził, że „staruszek”, za jakiego uważał podpułkownika, ani się nie zasapał, ani nie miał twarzy zaczerwienionej nadmiernym wysiłkiem. A przy drugim zakręcie nawet Stanisławowi Motyce zaczęło brakować tchu w piersiach.

— Zatrzymamy się na chwilę — zaproponował — trzeba się porozumieć z naszymi ludźmi. Uprzedzić ich, że się zbliżamy do hali i

dowiedzieć się, co tam widać i słyhać.

Oficer wyjął z plecaka krótkofalówkę i zaczął nadawać.

— Tu „fala”, tu „fala”, „gołębie” czy mnie słyszycie, „gołębie” czy mnie słyszycie? Odbiór.

Za chwilę w głośniku odezwało się.

— Tu „gołąb” pierwszy, tu „gołąb” pierwszy. Słyszemy was bardzo dobrze. Odbiór.

— Co widzicie, co widzicie? Odbiór.

— Rozpoznaliśmy obiekt. Ten sam. Jest spokojny. Niczego się nie spodziewa. Poza nim nie ma tu nikogo, Odbiór.

— Przyjęte. Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu. Przygotować się. Odbiór.

— Zrozumieliśmy, zrozumieliśmy. Jesteśmy gotowi.

— Podejść jak najbliżej. Odbiór.

— Zrozumieliśmy. Gołąb cztery jest o trzydzieści metrów od obiektu. Odbiór.

— Zrozumiałem, zrozumiałem. Czekać. Wyłączam się.

— Te krótkofalówki to dobra rzecz — stwierdził porucznik pakując radio z powrotem do plecaka. Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, żeby były lepsze.

— Będą — zapewnił podpułkownik — widziałem u naszych przyjaciół dwa razy mniejsze, ważące niecałe pół kilograma i o zasięgu znacznie większym.

Znowu szli pod górę. Cały czas droga wiodła lasem. Wreszcie ias zaczął się przerzedzać i oczom turystów ukazała się mała polanka. Na jej środku przed laty widocznie stał stary pasterski szałas. Teraz to była mała kupka na wpół spróchniałych desek. Chociaż to październik i okres wysypu rydzów minał, rdzawe kapelusiki grzybów w wielu miejscach wystawały spod poszycia leśnego. Porucznik nie zwracał uwagi na rydze. Szybko zboczył z drogi i wszedł pomiędzy drzewa. Dał znak ręką, aby pułkownik poszedł za jego przykładem. W górze, jakieś pięćdziesiąt metrów nad nimi, za małym laskiem oddzielającym polankę od właściwej hali widać było bujną, zieloną trawę i na jej środku cztery pasterskie szałas. Jeden, mieszkalny, miał nawet mały ganeczek. Na tym ganku siedział człowiek i coś gotował na turystycznej maszynie.

— To Szaflar — szepnął porucznik — trzeba teraz iść jak najciszej, to uda się nam go tak zaskoczyć, że ani drgnie.

Wbrew jednak tym ostrzeżeniom porucznika, Kaczanowski wszedł na środek drogi i zawołał:

— Panie Szaflar!

Siedzący przed szałasem człowiek odwrócił głowę w kierunku

idących, ale się nie podniósł. Kiedy zaś obaj oficerowie zbliżyli się do niego na parę kroków, powiedział:

— Witajcie, poruczniku. A jednak mnie znaleźliście. Byłem pewien, że jeśli nie dziś, to jutro tu przyjdziecie.

— Moje nazwisko Kaczanowski, podpułkownik z Komendy Głównej MO w Warszawie. Chciałem z panem porozmawiać — oficer milicji usiadł koło przewodnika. — Przede wszystkim, dlaczego pan uciekł z domu?

— Przez głupotę. Jak zwykle wyszedłem rano o siódmej do pracy. Na Krupówkach spotykam Kazia Dziuba, to też przewodnik, a on mi powiada: „wiesz, Andrzej, wczoraj w hotelu «Nosal» zamordowali jakąś Szwedkę i zrabowali jej złotą bransoletkę”. A ta bransoletka leży u mnie w domu, w biurku. Mało to ludzi widywało mnie codziennie, jak tańczyłem z panią Persson? Taki mnie strach obleciał, że i bałem się wrócić do domu, i dalej iść ulicą. Myślałem, że pierwszy napotkany milicjant mnie aresztuje pod zarzutem morderstwa. Skręciłem w ulicę 15 Grudnia i zaraz za „Halama” w lasek. Tak dotarłem do Ścieżki nad Reglami i nią do Hali Miętusiej. Później cały czas idąc lasem, do drogi na Halę Stoły. Dopiero tutaj sobie uprzytomniłem, że przecież nigdzie nie znajdę takiego schronienia, w którym nie moglibyście mnie znaleźć.

— Trzeba było od razu do nas przyjść.

— Łatwo to powiedzieć. Przecież i teraz wiem, że chociaż jestem niewinny tej zbrodni, to i tak mi nie uwierzycie. Siedziałem i czekałem w tym szałasie na to, co prędzej czy później musiało się stać.

— Poruczniku — polecił podpułkownik — porozumcie się z waszymi ludźmi i odeślijcie ich do Zakopanego. Nie będą nam potrzebni.

Kiedy Stanisław Motyka odszedł, aby odszukać ukrytych w lesie milicjantów, Kaczanowski zauważył:

— Właśnie woda się zagotowała. Macie herbatę?

— Mam.

— To świetnie. Liczę, że i nas poczęstujecie. Chętnie się napiję, bo przy tym podchodzeniu pod górę trochę mi w gardle zaschło. Motyka pewnie także wam nie odmówi.

Mocno zdziwiony Andrzej Szaflar, bo nie tak sobie wyobrażał swoje aresztowanie, zaczął się krzątać przy parzeniu herbaty.

— Mam jeden kubek — zafrasował się — idąc do pracy zawsze biore ze sobą plecak. Tam mam maszynkę turystyczną, kubek, garnek, trochę lekarstw, trochę herbaty i kawy a nawet płaskoszczypy oraz kilka gwoździ. Nawet jak się chodzi najbardziej uczęszczanymi szlakami, nigdy nie wiadomo, czy któremuś z wycieczkowiczów coś się nie przydarzy.

— Porucznik Motyka ma ze sobą plecak. Zapewne z podobnym wyposażeniem. Tam będzie drugi kubek. Jakoś sobie poradzimy.

Właśnie porucznik wrócił i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zastał zwierzchnika i domniemanego przestępcę w wielkiej zgodzie przygotowujących herbatę. Drugi kubek rzeczywiście znalazł się w plecaku młodszego oficera, który jednak wymówił się od przyjęcia poczęstunku. Za to Kaczanowski nie tylko popijał herbatę, ale również sięgnął po leżący chleb i wędlinę. Z dużym apetytem zajadał grubą pajdę.

— Dobrze się tu pan urządził — stwierdził podpułkownik.

— To nie ja. Kiedy tutaj jeszcze wypasano owce, w tym szałasie zawsze można było przenocować. Były drwa do rozpalenia ogniska, leżała paczka zapalek, kilka butelek wody, jakieś garnki, trochę kaszy i parę sienników na drewnianych pryczach. Szalas był zawsze otwarty dla potrzebujących schronienia.

— Mieszkali tu juhasi pasący owce?

— Krótko. Zwykle na wiosnę. Hala mała, trawy owcom starczało na dwa do trzech miesięcy, później stado przepędzano na inne pastwiska i hala pustoszała. Ale w szałasie zawsze wszystko było w gotowości na przyjście zapóźnionego czy to górala, czy to taternika. Teraz, kiedy owce z Tatr wyrzucono, szałas podupadł. I tak dobrze, że w ogóle przetrwał. Dziesiątki innych, w tym niektóre mające ponad sto lat i będące prawdziwymi okazami góralskiego pasterskiego budownictwa, bezmyślnie zburzono i deski po nich gniją.

Podpułkownik milczał. O dziwnych poczynaniach Dyrekcji Parku Narodowego głośno przecież było w całej Polsce. Nikt jakoś nie potrafił tej bezmyślnej samowoli ukrócić. Pastwą jej w Tatrach między innymi padły i szalasy pasterskie.

Kiedy podpułkownik posilił się i wypił herbatę, rozsiadł się wygodniej i powiedział:

— No, teraz możemy porozmawiać poważnie. Nie przyszliśmy tutaj dla wypicia herbatki. Niech więc pan nam opowie, panie Andrzeju, jak to wszystko było. Dokładnie, od samego początku, to jest od chwili, kiedy pan pierwszy raz zobaczył Gunhild Persson.

— Panie pułkowniku, wiem, że moja sytuacja jest beznadziejna. Jestem przecież zupełnie pewien, że byliście u mnie w domu i znaleźliście w szufladzie biurka tę nieszczęsną bransoletkę. Nie mam nic na swoją obronę. Nie mam żadnych dowodów mojej niewinności. Przysięgam jednak, że jestem niewinny. Nie zabiłem Gunhild Persson.

— Powiem panu szczerze — uśmiechnął się podpułkownik — pańska sytuacja byłaby dużo gorsza, gdybyśmy tej bransoletki tam w biurku nie znaleźli. A także muszę stwierdzić, że nigdy nie uważałem, że to pan zamordował Gunhild Persson. Ale ma pan rację, bardzo

poważne poszlaki przemawiają przeciwko panu. Dlatego woląłem tutaj przyjść i z panem porozmawiać, niż, co było bardziej proste, obstawić milicją halę i pod konwojem przyprowadzić pana do komendy MO w Zakopanem. Chciałbym panu pomóc. Wymagam jednak absolutnej szczerości. Kłamiąc zaszkodzi pan samemu sobie. Niech pan to zrozumie.

— Nie kłamię mówiąc, że jestem niewinny. Jaki jestem, taki jestem. Nie ma ludzi świętych i nigdy się za takiego nie uważałem. Mam swoje wady i grzechy. Ale tej kobiety nie tknąłem ani także nie łąszczyłem się na jej bogactwa. Znałem ją krótko. Trwało to zaledwie dziewięć dni, ale zdażyłem ją polubić. Między nami nic nie zaszło. Widziałem w niej nie tylko ładną kobietę i zaprzyjaźniliśmy się. Była mądra i doświadczona życiowo. Podobała mi się. Ale trochę traktowałem ją jak matkę, chociaż różnica wieku między nami wynosiła zaledwie sześć czy siedem lat. Ona także mnie lubiła. Mówiła o tym zupełnie otwarcie. Podobałem się jej, wiedziałem o tym. Trochę flirtowaliśmy. Lubiliśmy tańczyć ze sobą. Doskonale tańczyła. Ale nigdy nie próbowaliśmy przekroczyć granicy zakreślonej filtrem i przyjaźnią.

Porucznik sceptycznie się uśmiechnął, widząc to Szaflar szybko dodał:

— Już mówiłem, że nie jestem świętym. Gunhild na pewno nie była beż skazy. Może więc i ta znajomość skończyłaby się tak, jak to często bywa z wczasowymi flircikami. Że do tego nie doszło, nie moja zasługa. Raczej pana Rolfa Perssona.

— Tak był zazdrosny? — pochwycił porucznik.

— Wprost przeciwnie.

— W ten sposób nigdy do niczego nie dojdziemy — surowo przerwał podpułkownik. — Proszę dokładnie wszystko opowiedzieć od samego początku.

Rozdział IX

Rozwód po szwedzku

— Dzień był pochmurny, ale nie padało. Miałem w tym dniu zaplanowaną wycieczkę — zaczął Andrzej Szaflar — z Kir na Miętusią i Przysłup, a potem przez dolinę Małej Łąki i Przełęcz na Grzybowcu do Doliny Strążyskiej. Wszystko tak zaplanowane, aby wczasowicze na godzinę drugą zdążyli na obiad w Domu Nauczyciela. Do Kir dojechaliśmy autobusem jeszcze przed dziewiątą. Pogoda sprawiła, że zaledwie osiem czy też dziesięć osób zdecydowało się wziąć udział w tym spacerku. Kiedy nasza grupka wysiadała z autobusu, podjechał samochód, z którego wysiadło dwóch panów i dwie panie.

— Nasi Szwedzi?

— Weszliśmy w dolinę i zatrzymaliśmy się przy Wrotach Kraszewskiego. Jako przewodnik, tłumaczyłem moim wycieczkowiczom, kiedy i dlaczego zawieszono tę pamiątkową tablicę. Ta czwórka zatrzymała się przy nas, a jej najmłodszy uczestnik zaczął moje słowa tłumaczyć na szwedzki. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, mężczyzna podszedł i zapytał, dokąd idziemy, a potem prosił, aby ich grupka mogła się do nas przyłączyć. Coś tam mówił o zapłacie, ale zdecydowanie odmówiłem, natomiast nie miałem nic przeciwko zwiększeniu naszej wycieczki. W ten więc sposób poznałem Gunhild Persson, państwa Ostermanów i Marka Dańca. W górach pogoda potrafi się zmienić parę razy w ciągu dnia. Kiedy doszliśmy na Miętusią, już świeciło słońce. Cała grupa uznała, że należy z tego skorzystać i poopalać się. Na Przysłup poszliśmy tylko z panią Gunhild. Tak się zaczęła nasza znajomość.

— Mówiła coś o sobie i o mężu — zapytał porucznik.

— Kiedy się idzie we dwójkę, to się dużo rozmawia. Opowiedziała mi, że wybrali się do Zakopanego sześciuosobową wycieczką ze Sztokholmu, że mąż nie lubi chodzić po górach, a jedna z pań ma słabe serce i także musiała zostać w hotelu. Wspominała, że pan Osterman jest właścicielem wielkich stalowni. O tym, że Rolf Persson kieruje „Szwedzkimi Zakładami Łożysk Kulkowych” wspomniiał mi już przed tym pan Daniec, który zresztą od początku nie ukrywał, że pełni tu skromną rolę sekretarza bogatych przemysłowców. Szwedzi byli bardzo zadowoleni z tej wycieczki. Nie miałem z nimi najmniejszego kłopotu. U siebie mają dużo gór i umieją po nich chodzić. Kiedy wróciliśmy do Zakopanego, tytułem rewanżu zaprosili mnie na wieczór, na kolację.

— Do „Nosala”?

— Nie. Do „Kasprowego”.

— Poszedł pan?

— Nie bardzo mi się chciało. Wykręcałem się jak mogłem, ale pan Osterman tak serdecznie zapraszał, że w końcu zgodziłem się. W „Kasprowym” poznałem resztę towarzystwa, to jest pana Rolfa Perssona i panią Margaretę Andersson.

— Chyba pan zauważył, że spodobał się pan Gunhild?

— Takie rzeczy mężczyzna zawsze dostrzeże. Zauważyłem także, że to wcale nie przeszkadza panu Perssonowi, który był zadowolony, że żona znalazła tancerza. Nie chwaląc się, tańczy nieźle, a pani Gunhild była znakomitą tancerką. Nie siedziałem długo w „Kasprowym”. Stamtąd do mnie dość daleko, a później nawet taksówki bym nie złapał. Pożegnałem towarzystwo gdzieś przed jedenastą. A cała czwórka zgłosiła się na następną wycieczkę. Tym razem na Czerwone Wierchy.

— A „Nosal”?

— Czwartego, czy piątego dnia byśmy także na Nosalu. Zaprowadziłem ich również na Giewont. To są takie normalne wycieczki dla trochę lepiej chodzących wczasowiczów.

— Mnie chodzi o hotel „Nosal”.

— Tego drugiego dnia znowu namawiano mnie na „Kasprowy”. Ale kategorycznie odmówiłem. Po prostu powiedziałem, że dla mnie za daleko i mam trudności z powrotem. Wtedy, bodajże Marek Daniec, zaproponował dansing w „Nosalu”. To mi już bardziej odpowiadało, bo tutaj nie musiałem przysiąść się do Szwedów i korzystać z ich poczęstunku. To krępujące. W „Nosalu” mogłem zamówić kawę w kawiarni lub usiąść przy barku.

— A flirt z Gunhild? — porucznik ciągle przerywał Andrzejowi Szaflarowi.

— Przyznaję, że głównie dla niej zgodziłem się przyjść do „Nosala”. To była dziewczyna dużej klasy. Miła, inteligentna. A jaka wspaniała tancerka. Może sprawy między nami potoczyłyby się normalną koleją: wczasowiczka i przewodnik mający wolną chatę, gdyby nie pan Persson. Już w ten pierwszy wieczór w „Nosalu” znalazł taki moment, kiedy byłem sam i zaproponował rozmowę w cztery oczy. Nie w „Nosalu” ani w „Kasprowym”. Prosił o zachowanie dyskrecji. Umówiliśmy się nazajutrz na godzinę piątą po południu w „Kmicicu”.

— Zazdrosny mąż — znowu się wyrwał Stanisław Motyka.

— Ja też tak myślałem. Trochę obawiałem się tej rozmowy. Chociaż sumienie miałem w porządku, ale nie są przyjemne tego rodzaju dyskusje z zazdrosnymi mężami. Spotkała mnie jednak przyjemna

niespodzianka. Pan Persson był bardzo miły, a nawet serdeczny. Szczegółowo mnie wypytywał o moje wykształcenie, warunki rodzinne i mieszkaniowe. Pochwalił mnie, że zdobyłem się na samodzielne mieszkanie. Napomykał, że gdybym się zdecydował na wyjazd do Szwecji, u niego w fabryce mogę liczyć na dobrze płatne stanowisko. To nic, że nie znam szwedzkiego. Szybko się nauczę. A przydałby mu się taki fachowiec do prowadzenia spraw socjalnych. Jednym słowem, dobry wujaszek z bajki. Kiedy mu podziękowałem i wyjaśniłem, że wyjazd do Skandynawii mnie nie interesuje, Szwed wyraźnie się zasepił i zaczął mnie przekonywać, abym nie robił głupstwa. Przecież całe życie nie mogę być przewodnikiem. Odpowiedziałem, że sam to rozumiem i zamierzam w przyszłości kupić sobie taksówkę. Mówiłem prawdę, bo tak szczerze mówiąc, chociaż Kocham góry, te sztampowe, powtarzające się co dwa tygodnie wycieczki bardzo mi się już sprzykrzyły. Przyjeżdża turnus. Koniecznie wieczorek zapoznawczy. Potem powozikami jazda do Doliny Kościeliskiej albo na zabawę z cygańską orkiestrą w „Siedmiu Kotach”. Z kolei wycieczka na Miętusią i autobus do Morskiego Oka. I tak dalej i tak dalej. Co dwa tygodnie w kółko Macieju.

— Ale co dwa tygodnie inni ludzie. Ładne dziewczyny, czekające, żeby je „rwać”.

— To wszystko prawda, ale to wszystko już mi się dawno sprzykrzyło. A poza tym latka leca. Zgadzam się panem Perssonem, że nie można całe życie być przewodnikiem. Szwed pochwalił moje projekty i zapytał, ile kosztuje w Polsce taka taksówka. Wyjaśniłem, że około dwóch tysięcy dolarów. W dolarach oni najlepiej rozumieją, złotówki nic im nie mówią. Wtedy przemysłowiec zapytał, ile już mam odłożone. Roześmiałem się i powiedziałem, że jeszcze nie spłaciłem długów, jakie zaciągnąłem na kupno mieszkania.

— Dużo tych długów zostało? — to znowu pytanie porucznika.

— Jeszcze około trzydziestu tysięcy.

— Proszę, niech pan możliwie najdokładniej streszcza rozmowę z Perssonem — podpułkownika zainteresował ten fragment opowiadania Andrzeja Szaflara.

— Wtenczas pan Persson wystąpił z niezwykłą propozycją. Poprosił, abym mu wyrządził pewną grzeczność, która, jak zaznaczył, nie będzie mi specjalnie przykra. „Wiem — mówił Szwed — że moja żona podoba się panu, pan jej także nie jest obojętny. Mnie z żoną od lat nic nie łączy. Ale rozwodu mi dać nie chce. Gdybym miał chociaż jakąś poszlakę, że mnie zdradza, sprawa byłaby do wygrania. Pan rozumie. Wystarczy, jeżeli będę miał fotografię was obojga wchodzących do pańskiego domu”. Pan Persson także wyjaśnił, że o fotografię nie muszę się martwić. To już załatwi Marek Daniec.

— Co za łobuz! — wyrwało się z ust porucznika.

— Szwed zaznaczył, że za „tę drobną przysługę” zapłaci tyle, ile potrzeba na taksówkę. Wyjął z portfela i położył przede mną siedem zielonych papierków, każdy po sto dolarów. Powiedział, że pięćset dolarów jako zaliczka, a dwieście jako zwrot kosztów.

— To te siedemset dolarów, które znaleźliśmy w biurku koło bransoletki?

— Tak. Byłem zaskoczony tą propozycją. Powtarzam. Nie jestem świętym, ale nie jestem także takim sukinsynem, za jakiego mnie miał Persson. Początkowo chciałem mu dać w mordę i wyjść z „Kmicica”, ale potem zmieniłem zamiar. Udałem, że się zgadzam i zapytałem, co będzie, jeżeli nie uda mi się pani Persson zaprosić do mojego mieszkania. Szwed wyjaśnił, że wtedy on straci siedemset dolarów, a ja tysiąc pięćset, które bym mógł jeszcze od niego dostać. Pomyślałem sobie, że nie ma co żałować drania. Jak mu dam w pysk, poboli go kwadrans i na tym koniec. A jak go natnę na te siedem setek zielonych, może bardziej go tym dotknę. Jak więc, panowie, widzą, mówię szczerą prawdę i wcale się nie wybielałem. Wiem, że przywłaszczenie sobie dolarów jest także draństwem, ale uważam, że dużo mniejszym niż to, co mi Persson zaproponował. A poza tym, nie kryję, bardzo mi te pieniądze były potrzebne. Od tej chwili pani Gunhild stała się dla mnie nietykalna. Jak święty obrazek.

— Ale nadal pan bywał w „Nosalu” i co wieczór tańczył z panią Persson.

— Bywałem. Tańczyłem. Prowadziłem ją na wycieczki, gdzie bardzo o nią dbałem. Ale w taki sposób, żebyśmy nigdy nie byli sami. Robiłem wszystko tak, aby upozorować moje starania o zarobienie tych siedmiuset zielonych.

— A co na to pani Persson?

— Przecież nic nie wiedziała o naszej rozmowie. Byłem nadal miły, przychodziłem na dansingi. Tańczyłem z nią. Spacerowaliśmy i dużo rozmawialiśmy. Coraz bardziej ją lubiłem. Ale i coraz bardziej ją szanowałem. Obawiam się, że byłem na najlepszej drodze do zakochania się w niej. A może zresztą już byłem zakochany? Ona była zbyt mądrą kobietą, aby nie zauważyć tej zmiany, że już z nią nie filtruję jak dawniej. I bez słowa, nigdy nie doszło między nami do rozmowy na ten temat, przyjęła pozycję ni to siostry, ni to serdecznej przyjaciółki. Było nam z tym zupełnie dobrze.

— A Persson?

— Bacznie nas obserwował. Kiedyś zapytał mnie przy barku, jak sprawy postępują. Tłumaczyłem, że nie mogę przełamać oporów Gunhild, że ciągle się cofa przed postawieniem ostatecznego kroku. Ten Szwed to jeden z tych ludzi, którzy uważają, że za forszę mogą

kupić cały świat i że za forszę każdy człowiek nie cofnie się przed najgorszym świństwem. Chyba więc nawet mu przez myśl nie przeszło, że nie chce zarobić tych tysiąca pięciuset dolarów.

— Czy o tej dziwnej transakcji poza wami dwoma jeszcze ktoś wiedział?

— Ja nie mówiłem nikomu. Prawdę mówiąc, nie miałem się czym chwalić. Jednakże pan Persson wtajemniczył w to swojego sekretarza, Marks Dańca. To właśnie on miał zrobić zdjęcia nas wchodzących do mojego domu i ewentualnie później być świadkiem na sprawie rozwodowej. Marek zawsze na wycieczki brał ze sobą aparat fotograficzny i niejednokrotnie fotografował mnie razem z panią Gunhild na tle gór. Panu Perssonowi trudno było rozmawiać ze mną w cztery oczy na dansingu, to by się rzucało w oczy pozostałym członkom tego towarzystwa. Co innego Marek, z którym codziennie chodziliśmy w góry. Tam sposobność do poufnych rozmów była dużo większa. Tam też nieraz Daniec wypytywał mnie jak postępuje mój flirt z żoną przemysłowca. Nie muszę dodawać, że ciągle narzekałem na brak postępów i twierdziłem, że wszelkie namowy nic nie skutkują. Pani Persson, owszem, tańczy ze mną, flirtuje, jednak stale odmawia obejrzenia mojego małego mieszkanka na ulicy Zamojskiego. Pamiętam, że kiedyś Marek tak się o niej wyraził: „Cwana baba, wie, czym to pachnie. Ale staraj się, brachu. Jak dobrze pójdzie, to wyciśniesz ze starego grubo więcej, niż te kilka dolarów, które ci obiecał za tę słodką fatygę”. Nadal udawałem, że się staram.

— Czy rozmawialiście z panią Gunhild o jej mężu?

— Raczej nie. Ja ze zrozumiałych względów unikałem tego tematu. Ona parę razy niezbyt pochlebnie wyrażała się o nim. Kiedyś powiedziała „kupiłam sobie i teraz żałuję”.

— A o innych Szwedach?

— Pani Persson pochlebnie wyrażała się o Indze Osterman, a także z szacunkiem mówiła o jej mężu. Określała ich jako bardzo porządnych ludzi. Pan Osterman według słów Gunhild był w interesach nieskazitelnym człowiekiem, w przeciwieństwie do jej męża. Marka Dańca zbyt wysoko nie ceniła, chociaż uważała, że jako sekretarz pana Perssona wykazuje dużo sprytu, co mu na pewno pozwoli zrobić prędzej czy później większą karierę niż obecnie zajmowane stanowisko.

— A Margareta Andersson?

— Tej osoby pani Gunhild zdecydowanie nie lubiła. Nazywała ją „intrygantką” i twierdziła, że Margot gotowa jest na wszystko, byleby tylko zrobić karierę i zdobyć pieniądze. Może po prostu była zazdrosna o tę dziewczynę, młodszą od niej o tyle lat i obdarzoną przez naturę tego rodzaju wyzywającą urodą, która zwraca uwagę mężczyzn. Zresztą

niezbyt dziwię się tej niechęci, sekretarka pana Ostermana wyraźnie zagięła parol na Perssona.

— A on?

— Był dumny, że się podoba młodej dziewczynie. Bałwan nie rozumiał, że to jego pieniądze jej się podobają.

— Przejdźmy teraz do tego ostatniego wieczoru — zdecydował podpułkownik. — Kiedy pan przyszedł do „Nosala”?

— Wiedziałem, że moi Szwedzi zazwyczaj zjawiają się tam około ósmej wieczorem. I ja także w tym czasie przyszedłem.

— Czy oni już byli?

— Najpierw zajrzałem do kawiarni. Przywitałem się ze znajomymi, chwileczkę z nimi posiedziałem i dopiero potem poszedłem na górę do sali restauracyjnej. Towarzystwo było w komplecie. Podszedłem, przywitałem się z panem Perssonem i panną Margaretą, oni nie brali udziału w wycieczkach w góry. Pan Persson jak zwykle powitał mnie serdecznie i zaprosił do stolika. Wymawiałem się twierdząc, że siedzę z przyjaciółmi, ale musiałem wypić kieliszek koniaku. Kiedy orkiestra zagrała, pan Rolf komenderował „Młodzi tańczyć”. Ja poprosiłem do tańca Gunhild, Marek panią Osterman, a jej mąż zatańczył z Margaretą. Po skończonym tańcu odprowadziłem swoją partnerkę na miejsce, a sam wróciłem do kawiarni.

— Na następny taniec znowu pan poprosił Gunhild?

— Nie. Orkiestra chyba dwa czy trzy razy grała. Siedziałem w kawiarni i coraz bardziej dochodziłem do wniosku, że trzeba z tym błazeństwem skończyć. Gunhild coraz bardziej mi się podobała, a jednocześnie rola płatnego uwodziciela brzydła mi z każdym dniem. Byłem już zdecydowany oddać panu Perssonowi jego dolary i więcej nikogo z tych Szwedów nie oglądać. Miałem dość tej komedii, którą codziennie odstawiałem. Zdecydowałem się, że przede wszystkim powiem żonie, jakiego ma miłego męża i jaką to pułapkę on na nią zastawił.

— Ta rozmowa odbyła się?

— Kiedy orkiestra zagrała jeszcze raz, wróciłem do restauracji i poprosiłem panią Gunhild do tańca. Kiedy tańczyliśmy, ona powiedziała, że mnie polubiła, a może nawet więcej niż polubiła. Ale wie, że mnie się nie podoba, bo od pewnego czasu jestem dla niej jakiś inny, niż na początku naszej znajomości. Te słowa dziewczyny były decydujące. Jeszcze silniej utwierdziły mnie w moim postanowieniu. Jeżeli dotychczas wahałem się, a w mojej sytuacji niełatwo wyrzec się tylu pieniędzy, powziąłem nieodwołalne postanowienie — koniec z tym alfonsostwem. Kiedy orkiestra skończyła grać, powiedziałem pani Gunhild, że chciałbym z nią porozmawiać poufnie w ważnej dla nas obojga sprawie. Zeszliśmy na dół, do kawiarni. Tam szczerze

opowiedziałem Szwedce, że ja ją także może więcej niż lubię i że bardzo mi się podoba, ale nie nadaję się do roli, jaką wyznaczył mi jej mąż. Mówiłem o siedmiuset dolarach otrzymanych w zadatku i o tych tysiąc pięciuset, jakie miałem dostać w przyszłości po wykonaniu swojej misji. Nie ukrywałem także roli Marka Dańca i jego aparatu fotograficznego. Zaznaczyłem, że nazajutrz z samego rana odeślę panu Perssonowi jego pieniądze, nie miałem ich niestety przy sobie, i więcej się im na oczy nie pokażę.

— A co pani Gunhild na te rewelacje?

— Pobladła słuchając mojej relacji. Zgodziła się ze mną, że decyzja o naszym zerwaniu jest jedynie słuszną. Natomiast wyśmiała mnie, że chcę odesłać otrzymane dolary. Kategorycznie żądała, abym tego nie robił. Uważała to za zwykłą donkiszoterię. Powiedziała także, że cała akcja jej męża musiała być z góry zaplanowana, bo to właśnie pan Persson nagle postanowił, że całe towarzystwo pojedzie na krótki urlop do Zakopanego. A Polacy w oczach Szwedów mają opinię, że im się żadna dziewczyna nie oprze. Gunhild prosiła mnie, abym na trzy, cztery dni gdzieś wyjechał. Obiecałem spełnić jej prośbę, chociaż naturalnie nie planowałem pobytu w szalasiu na Hali na Stołach.

— Ta rozmowa cały czas była prowadzona w kawiarni?

— Tak. W pewnej chwili Gunhild powiedziała „Nie myślałam, że tak szybko się rozstaniemy. Dziękuję ci za wszystko i żegnaj”. Wyszliśmy z kawiarni, zszedłem na dół do szatni, ona szła ze mną. Włożyłem wiatrówkę. Podaliśmy sobie ręce. Powtórzyła „żegnaj”, objęła mnie i pocałowała. Czuję, że mi coś wkłada do kieszeni wiatrówki. Sięgnąłem i wyjąłem z kieszeni tę złotą bransoletkę, którą ona zawsze nosiła na prawej ręce. Nie zauważyłem, jak ją zdejmowała z ręki. Musiała to zrobić, kiedy odbierałem od szatniarza moje okrycie. Chciałem jej oddać klejnot. Nie przyjęła. Prosiła: „weź, będziesz mnie dłużej pamiętał”. Jeszcze raz powtórzyła: „żegnaj”, odwróciła się i odeszła. Nie mogłem stać na środku holu z bransoletką w ręku. Włożyłem złote cacko do kieszeni i wyszedłem z lokalu. Pamiętam, że szedłem Krupówkami jak pijany. Chyba ktoś mnie wołał? Ale nie wiem kto, nie zwróciłem na niego uwagi. Wróciłem do mieszkania i włożyłem bransoletkę do szuflady biurka. Tam, gdzie już leżało siedemset dolarów. Możecie, panowie, ze mnie się śmiać, możecie uważać, że miałem dziwny fart, możecie także myśleć, że jestem kawał łobuza. Nie wiem, co zrobiłbym? Czy odesłałbym te pieniądze i tę biżuterię jej właścicielom, czy też zatrzymałbym je u siebie? Chciałem oddać. Ale i pokusa zatrzymania tego bogactwa była silna. Nie ukrywam tego.

— Czy pan wie, ile jest warta ta bransoletka?

— Jest ciężka. Oceniam jej wagę na około pięćdziesiąt gram. Te dwa brylanty także spore. Nie znam się na tym, sądzą jednak, że jest warta

co najmniej kilkadziesiąt tysięcy złotych. A może jeszcze więcej.

— Pan Persson twierdzi, że przeszło dziesięć tysięcy dolarów.

— Niemożliwe!

— Nie sądzę, aby się zbyt omylił. Jeśli nawet, to raczej zaniżył jej wartość. Przecież złoto stale idzie w górę.

— Tym gorzej dla mnie. Nikt nie uwierzy w prezent za dziesięć tysięcy dolarów. Łatwiej przyjąć wersję, że poszedłem za Gunhild, zabiłem ją, porwałem bransoletkę i uciekłem w góry.

— Tak — zgodził się podpułkownik — ta wersja jest także prawdopodobna. Śledztwo nie może jej całkowicie odrzucić. Czy widział was ktoś, kiedy rozmawialiście w kawiarni?

— Wtedy podawała kelnerka, pani Basia. Ona mnie dobrze zna. Może zapamiętała, że siedziałem z cudzoziemką i rozmawialiśmy po niemiecku. Przy kelnerce pytałem się pani Gunhild, czy się czegoś napije?

— A w „Kmicicu” widział ktoś pana rozmawiającego z Perssonem?

— Tam była pani Marysia. Nie znam jej nazwiska, ale przedtem pracowała w „Lipowym Dworze”. Może zapamiętała, że Szwed zamawiał francuski koniak i zapłacił rachunek około tysiąca złotych. W „Kmicicu” to się nieczęsto zdarza. Zwłaszcza teraz, w październiku. Obawiam się, że to nie na wiele się zda. I tak mi nie uwierzycie. I wy, i prokurator, i sąd. Na to, że jestem niewinny, nie wystarczą moje zapewnienia.

— Będziemy musieli uważać pana za jednego z tych, którzy mogli popełnić tę zbrodnię. Ale uwzględniamy także okoliczności, które przemawiają na pana korzyść.

— Boję się, że tego jest nie za wiele.

— Przeciwnie — poważnie powiedział podpułkownik — gdybym był przekonany o pańskiej winie, nie rozmawialibyśmy przy herbatce w szalasiu na Hali na Stołach, lecz gdzie indziej i rozmowa miałaby inny charakter. Za panem przemawia przede wszystkim to, że pan uciekł.

— Jak to?

— Morderca, gdyby już uciekał, zabrałby ze sobą bransoletkę. Poza tym nie pasuje pan do tej zbrodni z dwóch powodów. Jest pan człowiekiem praworęcznym, a wywiad, jaki przeprowadziliśmy o panu nie stwierdził, aby pan kiedykolwiek trenował dżudo lub karate.

— Nie rozumiem?

— Pani Persson została zabita ciosem wymierzonym w prawą skroń. Taki cios można zadać tylko lewą ręką. A więc człowiek uderzający musi być mańkutem. Poza tym, tak twierdzą znawcy, ten, kto zabił Szwedkę, jest karateką. Wreszcie te siedemset dolarów w pańskim biurku także przemawia za panem. Fakt, że nie chciał pan zarobić

dalszych tysiąca pięciuset zielonych papierków właściwie za ... trudno to nazwać za co, wskazuje, że dla większej kwoty nie poszedłby pan na całość. Na morderstwo.

— A więc? — w głosie Andrzeja Szaflara zabrzmiał akcent nadziei.

— A więc wysłuchaliśmy pańskiej spowiedzi. Albo pan mówił prawdę, albo pan nas usiłował okłamać. My milicjanci, nikomu nie możemy wierzyć na słowo. Musimy wszystko sprawdzić. Będziemy się starali sprawdzić pańskie słowa, nie zapominając i o innych aspektach naszego śledztwa. Bransoletka i dolary pozostaną aż do wyjaśnienia sprawy w naszym posiadaniu. Jeśli to, co pan nam powiedział, okaże się prawdą, wtedy zarówno kosztowności, jak i pieniądze będą panu zwrócone.

— A ja?

— Największy kłopot — roześmiał się podpułkownik — mam z pana osobą. Właściwie to powinienem pana zamknąć.

— Trudno — zgodził się Andrzej Szaflar.

— Nie zrobię jednak tego. Liczę, że drugi raz nie będziemy musieli łązić po górach, aby się z panem spotkać. Niech pan wraca do Zakopanego, do pracy. Naturalnie nie wolno panu bez naszej wiedzy opuszczać miasta. Poza prowadzeniem wycieczek, co przecież jest pańskim zajęciem. Jutro zgłosi się pan do komendy MO, do porucznika Motyki, i zezna pan do protokołu to, co pan nam tu powiedział. A także i to, co pan sobie ewentualnie jeszcze przypomni.

— O której mam przyjść?

— O której zaczyna pan pracę?

— Zwykle przychodzę do Domu Nauczyciela około ósmej. Wczasowicze mają o ósmej śniadanie, potem robimy zbiórkę chętnych i gdzieś przed dziewiątą wyruszamy.

— Proszę przyjść — zdecydował porucznik — zaraz po siódmej rano. Będę na pana czekał.

— Przyjdę niezawodnie.

— Jest pan młody i wytrenowany. Prędzej pan zejdzie niż ja — powiedział podpułkownik — czuję jeszcze to podejście w nogach i trochę odpoczynku mi się należy. Nie zatrzymuję pana. Dziękuję za herbatę.

— To ja panu pułkownikowi dziękuję — Andrzej Szaflar trochę trzęsącymi się rękoma zbierał swoje rzeczy i upychał je w plecaku. Kiedy był gotowy do drogi, Kaczanowski powiedział:

— Jeszcze jeden warunek, panie Szaflar.

— Słucham pana pułkownika.

— Na dole przy schronisku spotka pan pewnego szwedzkiego dziennikarza. Nazywa się Sven Breman. Mówi po polsku tak, że można

się z nim porozumieć. Ten Szwed będzie chciał przeprowadzić z panem wywiad. Będzie zadawał panu masę pytań dotyczących zarówno bransoletki, jak i dolarów znalezionych w pańskim biurku. Proszę z nim w ogóle nie rozmawiać. Proszę mu powiedzieć, że ja panu zabroniłem. To mój kategoryczny rozkaz.

— Będę milczał jak grób.

— Uprzedzam, że Szwed jest bardzo sprytny i przebiegły. Umie człowieka wyciągać na słówka. Niech pan nie wdaje się z nim w nawet najniewinniejszą rozmowę. Ostrzegam pana.

— Nie dam mu się złapać.

— A ze znajomymi i sąsiadami czy też przyjaciółmi także niech się pan nie wdaje w zbędne dysputy. Wystarczy wyjaśnić: przesłuchali, wypuścili.

— Nigdy nie byłem gadułą i plotkarzem.

Kiedy Andrzej Szaflar znikł za zakrętem drogi, porucznik powiedział szczerze:

— Już nie wiem, co sądzić o tej całej sprawie.

— Ja także — przyznał Kaczanowski — a jednak powoli posuwamy się naprzód.

— Pan jest przekonany, że Szaflar jest niewinny?

— Przekonany nie jestem, ale sądzę, że to nie on zabił Gunhild Persson.

— Ja bym jednak go zatrzymał. Prokurator pewnie by podpisał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu przewodnika tatrzańskiego.

— Może by podpisał, może nie? Nie jestem wcale tego taki pewien.

— W każdym bądź razie moglibyśmy go zatrzymać na czterdzieści osiem godzin. Przez ten czas może by się coś wyjaśniło.

— Zatrzymanie niewinnego, to zrobienie mu dużej krzywdy moralnej. Nie chcę tego ryzykować.

— Ale on może nam uciec.

— Jeżeli pan go raz znalazł, poruczniku, odszuka go pan znowu. Nie przypuszczam, aby Szaflar znowu próbował ucieczki. Dokąd? Bez pieniędzy, czy zaledwie z paru tysiącami złotych?

— Granica blisko, a Szaflar zna każdą ścieżkę. W Słowacji także ma znajomych. Może tam zapaść na dłużej i próbować dostać się do Austrii.

— To go władze czechosłowackie złapią. A nawet przyjmując nieprawdopodobne, że taka ucieczka by się powiodła, Austria także by wydała zabójcę żony bogatego szwedzkiego przemysłowca. Wierzę, że Andrzej uciekł pod wpływem nagłego szoku i później tego żałował, lecz nie miał odwagi zejść na dół. Druga ucieczka niedwuznacznie by

wskazywała, że jest on przestępcą. Wypuszczając go dzisiaj i to również brałem pod uwagę. To jest pewien test, którego rozwiązanie będziemy mieli jutro przed ósmą rano.

— Może jednak podesłać kogoś na Zamojskiego, aby obserwował Szaflara?

— Dyskretna obserwacja! — roześmiał się podpułkownik. — Sam porucznik wspominał, że miejscowi znają wszystkich zakopiańskich pracowników aparatu. Szaflar od razu by rozszyfrował nasze manewry.

— Franek Karate podejrzany, ale na wolności. Szaflar również podejrzany i także spaceruje przez Dolinę Kościeliską. Persson, którego szwedzki dziennikarz usiłuje nam przedstawić jako przestępcę, też na wolności. Wszyscy są podejrzani i przeciwko żadnemu nie mamy pewnych dowodów.

— Zeznania Andrzeja Szaflara w niekorzystnym świetle przedstawiły szwedzkiego przemysłowca. Ale naturalnie od chęci rozwiedzenia się z żoną, tak żeby zachować wszelkie korzyści, jakie się przed tym osiągnęło z tego związku, do zbrodni daleko. Niemniej trzeba będzie z tym panem ponownie porozmawiać. A także ze sprytnym Marczkciem, sekretarzem do załatwiania bardzo poufnych spraw.

— Raczej sprawek.

— Można to i tak nazwać.

— Za Rolfem Perssonem przemawia to, co i za innymi podejrzanymi. On także jest praworęczny i również nie miał nic wspólnego z karate.

— Uważam, poruczniku, że to jest najtwardszy orzech naszego śledztwa. Ciągłe sobie na nim łamiemy zęby.

— A może mordercą jest ktoś czwarty, na którego trop dotychczas w ogóle nie wpadliśmy?

— Tego nie można wykluczyć.

— Co robić?

— To, co robimy dotychczas. Szukać, szukać i jeszcze raz szukać.

— Jutro pułkownik przesłucha Perssona?

— Tak. Zaraz z rana. Trzeba go będzie dzisiaj uprzedzić.

— Pojedzie pan pułkownik do „Kasprowego”?

— Nie. Wezwiemy go na komendę i przesłuchamy jak najbardziej formalnie. Tak samo postąpimy z Markiem Dańcem.

— Rozumiem.

— Coraz więcej chmur na niebie — zauważył Kaczanowski. — Słoneczko październikowe jest niestałe. Za kilka minut go nie będzie. Czas i nam zbierać się z powrotem.

— Trzeba z Kir zadzwonić, aby nam przysłało jakiś samochód.

— Damy sobie radę i bez niego. Jakoś się do miasta dostaniemy.

Kiedy obaj oficerowie zeszli do Doliny Kościeliskiej, pierwszą osobą, którą zobaczyli, był Sven Breman. Ucieszył się na widok milicjantów.

— Bardzo dziękuję — powiedział — bardzo dziękuję panu, pułkowniku, za tak wspaniałe wiadomości. Będzie z tego jeden albo nawet i dwa artykuły. Bomby!

— Jakie wiadomości? — zdziwił się porucznik.

— Widzę, że ktoś redaktorowi głupstw nagadał — dodał podpułkownik.

— O, przeciwnie. Ten przewodnik zachowywał się jak głuchoniemy. To właśnie są te wiadomości, za które jestem tak wdzięczny polskiej policji. Znowu się omyliłem, chciałem powiedzieć milicji.

— Nie wiem, o czym pan mówi?

— Prosta rzecz — „król reporterów” świetnie się bawił. — Milicjanci zrobili obławę na Szaflarza. Znaleźli u niego, jak mi to powiedział pewien sympatyczny góral, w domu złotą bransoletkę i siedemset dolarów. I oto ten sam Szaflar schodzi z tej samej góry, gdzie wędrowali dwaj oficerowie, aby go spotkać. I to schodzi nie w kajdankach na rękach i z odpowiednią asystą, ale sam, z ogromnie zadowoloną miną. Poza tym do nikogo się nie odzywa i udaje głuchego czy też niemego. Stąd tylko jeden wniosek.

— Jaki? — porucznik nie wytrzymał.

— Prosty. Jeżeli Szaflara nie aresztuje się, to znaczy, że wszedł on w posiadanie tych skarbów najzupełniej legalnie. To znaczy, że dolary otrzymał od męża, a bransoletkę od żony. To chyba zupełnie jasne. Prawda?

Kaczanowski nic nie odpowiedział, ale miał minę, jakby go nagle ząb zabolał.

— Jeśli panowie chcą, chętnie wyjaśnię, za co to takie łaski spływały na przystojnego przewodnika górskiego?

— Nie ciekawym pańskich fantazji.

— Czasem dobrze pofantazjować — śmiał się, Szwed. — Persson płaci, aby zdobyć powód do rozwodu. Ze Gunhild nasz tatarnik od razu wpadł w oko, to stwierdzają wszyscy, którzy tę parę choć raz widzieli. Zdobyć dowodu, że Gunhild zdradza Perssona warte było dla tego ostatniego znacznie więcej niż głupie siedemset dolarów. Za jednym zamachem przemysłowiec pozbywa się żony, zachowuje swoje stanowisko w firmie, ba, umacnia się na swoim fotelu. To nie wystrzeliło, bo Szaflar albo okazał się, jak ogromna większość Polaków, niepoprawnym romantykiem, albo tak zimnym kalkulatorem, jak bywają Szwedzi. Albo bohatercko wyznał prawdę pięknej Gunhild, albo uznał, że wytarguje od niej znacznie więcej niż może, dostać od męża. I rzeczywiście dostał od żony drogocenną bransoletkę. Osobiście zresztą

sądę, że przewodnik żadnych targów nie prowadził, a klejnot wpadł mu w ręce jak dojrzała gruszka spadająca z drzewa. Cieszę się z takiego obrotu sprawy. Teraz, kiedy niewinność Szaflara została dowiedziona, jest jasne, kto jest zabójcą.

— Ko panu powiedział, że niewinność Szaflara została dowiedziona?

— Pan sam, pułkowniku. Swoimi czynami. Gdyby był winny, bylibyście go aresztowali.

— Pan się myli, redaktorze. Polskie prawo karne żąda, aby sprawcy dowieść popełnienia przestępstwa. Dopóki takiego dowodu nie ma, nikogo nie można aresztować.

— Nie ma i nie będzie, bo Andrzej Szaflar jest niewinny tej zbrodni.

— To pańskie przekonanie, redaktorze.

— Pańskie też, pułkowniku.

— Ja tego nie powiedziałem.

— W każdym razie mam ciekawy materiał.

— Wyszuty ze zbyt pochopnych wniosków.

— Czyżby?

Porucznik chętnie wrzuciłby Szweda do potoku. — Niech się pan redaktor, jeśli naprawdę pan nam chce pomóc, zastanowi, w jaki sposób ten śmiertelny cios, który zabił Gunhild Persson, można było zadać prawą ręką. To jest dla nas dużo ważniejsze niż pańskie hipotezy.

— Na to pytanie odpowiem krótko. Takiego ciosu w prawą skroń nie można zadać prawą ręką. Potwierdzi to panu każdy karateka. Nawet najwięksi mistrzowie tej walki, Japończycy, nie potrafiliby tego. To na pewno był mańkut.

— Niech więc redaktor znajdzie tego mańkuta. Bo szczerze mówiąc, my jak dotychczas, nie możemy go odszukać.

Rozdział X

Rolf Persson żąda adwokata

Wbrew obawom porucznika Stanisława Motyki przewodnik tatrzański Andrzej Szaflar stawiał się w budynku Komendy Miejskiej MO z punktualnością co do minuty. To oficjalne „przesłuchanie świadka” nie wniosło do sprawy niczego nowego. Szaflar powtórzył historię uprzednio opowiedzianą obu oficerom milicji w szalasiu na Hali na Stołach.

Pani Marysia z „Kmicica” doskonale pamiętała wysokiego, tęgiego cudzoziemca, który pewnego dnia rozmawiając z Andrzejem Szaflarem popijał z wielkim upodobaniem francuski koniak i potem zapłacił wysoki rachunek. Kelnerka nawet widziała, że ten cudzoziemiec dawał Szaflarowi jakieś zielone banknoty. Ale czy to były dolary, czy też korony czeskie, tego pani Marysia nie mogła stwierdzić. Także nie przypominała sobie dokładnej daty tej rozmowy.

Za to pani Basia z Kawiarni „Nosal” zapamiętała datę rozmowy Szaflara z Gunhild Persson. Podała również dość dokładną godzinę tej rozmowy. Po prostu kawiarnia otwarta jest do godziny dziesiątej wieczorem. Pół godziny przed tym kelnerki inkasują rachunki gości siedzących przy stolikach. Właśnie wtedy pani Basia pobrała należność od Andrzeja za małą kawę i szklaneczkę soku grejpfrutowego. Sok piła Szwedka, Andrzej zaś kawę. Zaraz po zapłaceniu rachunku para ta opuściła kawiarnię. Mogło więc być najwyżej pięć minut po wpół do dziesiątej.

Meldunek o zbrodni wpłynął do milicji, a porucznik Motyka zanotował wtedy czas, o godzinie dziesiątej dwanaście. Od znalezienia Gunhild Persson leżącej bez życia w toalecie hotelu „Nosal” do zawiadomienia milicji mogło upłynąć najwyżej pięć minut. Szatniarz, Józef Malinowski, przecież zeznał, że Szwedka i przewodnik dość długo rozmawiali w holu i że to było około wpół do dziesiątej. Szatniarz zapamiętał, że ta para pocałowała się przy pożegnaniu i że po wyjściu Szaflara Szwedka usiadła na jednym z foteli stojących pod ścianą holu.

Tak więc sporo tego, co zeznał Andrzej Szaflar potwierdzało się opowiadaniem innych świadków. W tym samym mniej więcej terminie Franek Karate widział przewodnika na Krupówkach. Ale to alibi nie było pełne. Brakowało co najmniej dwudziestu minut. W tym czasie Szaflar mógł niepostrzeżenie wrócić do „Nosala” i dokonać zbrodni. Tej ewentualności śledztwo nie mogło pominąć, chociaż obecnie obaj

oficerowie milicji uważali to za mało prawdopodobne.

Panowie: Rolf Persson i Marek Daniec okazali się również punktualni. Podpułkownik Janusz Kaczanowski najpierw zaprosił do pokoju przemysłowca, a jego sekretarza zawiadomił, że będzie przesłuchany w drugiej kolejności. Przesłuchanie prowadził sam podpułkownik, zaś protokołował porucznik. Po zapisie w protokole personaliów Szweda, ten oświadczył:

— Nie będę odpowiadał na żadne pytania, jak tylko w obecności mojego adwokata.

Kaczanowski uśmiechnął się:

— A którego z zakopiańskich mecenasów pan wybrał?

— Sprowadzę swojego stałego radcę prawnego ze Sztokholmu.

— Muszę pana pouczyć. Nie znam przepisów procedury szwedzkiej, ale polski kodeks postępowania karnego nie przewiduje obecności adwokata w postępowaniu przygotowawczym i to w dodatku przy przesłuchaniach świadka. A właśnie w charakterze świadka został pan wezwany tutaj.

Szwed uparcie milczał.

— Również polskie prawo nie przewiduje występowania przed polskimi urzędami i przed polskimi sądami innych adwokatów, jak wyłącznie obywateli polskich. A nawiasem mówiąc, tak się panu spieszyło z powrotem do Szwecji, a teraz pan chce z jej stolicy sprowadzać sobie adwokata, co, gdyby było dopuszczalne w naszej procedurze, znowu przedłużyłoby wasz pobyt w Zakopanem.

— Nie zabiłem mojej żony.

— Jeszcze raz powtarzam — tłumaczył podpułkownik — że będzie pan przesłuchany jako świadek, a nie jako podejrzany.

— Odmawiam jakichkolwiek zeznań — uparcie powtórzył Persson.

— Znowu muszę wyjaśnić, że w myśl polskiego kodeksu postępowania karnego, artykułu 166, świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli odpowiedź mogłaby go narazić na odpowiedzialność karną. — Kaczanowski następnie przetłumaczył dosłownie na język angielski, w nim bowiem toczyła się rozmowa, treść zacytowanego artykułu i wyjaśnił, że odmowa złożenia przez świadka zeznań powoduje karę pieniężną, a także wobec takiego świadka może być zastosowany areszt do trzydziestu dni.

— To niech Marek Daniec będzie obecny przy moim przesłuchaniu.

— Daniec nie może być obecny, bo i on jest świadkiem. W czasie postępowania przygotowawczego nie przewiduje się przy przesłuchaniach świadków osób trzecich. Tylko rozprawa sądowa toczy się przy drzwiach otwartych i tam świadek zeznaje wobec sądu i ludzi przysłuchujących się rozprawie.

— Żądam przeto — Szwed najwidoczniej postanowił nie dopuścić do przesłuchania — aby był obecny tłumacz znający język szwedzki. Nie znam polskiego i nie wiem, co panowie piszą w swoich protokołach.

— Był pan już raz przesłuchiwany przeze mnie. Protokół został sporządzony w języku angielskim, którym obaj władamy. Pan podpisał ten protokół nie zgłaszając żadnych zastrzeżeń, co do jego treści. Dzisiejsze przesłuchanie będzie prowadzone w tym języku, a dopiero później protokoły przetłumaczy się na język polski. Tłumacza z języka szwedzkiego w Zakopanem nie mamy. Możemy sobie jednak z tym poradzić. Przebywa w Zakopanem szwedzki dziennikarz pan Sven Breman. Władza on polskim na tyle, że może spełniać rolę tłumacza. Zaprzysiężymy go, aby wszelkim formalnościami stało się zadość. Czy to panu odpowiada?

— Ten pismak codziennie wypisuje na temat tej zbrodni niesłychane brednie w szwedzkiej prasie i niedwuznacznie wskazuje w tych wylocinach na mnie jako na mordercę Gunhild. Nie zgadzam się.

— Przedstawiłem panu wszystkie możliwości. Po raz ostatni pytam, czy będzie pan zeznawał?

— Poskarżę się w naszej ambasadzie, w Warszawie.

— Przysługuje panu takie prawo. Czy zeznaje pan?

— Znajduję się pod przymusem. Zmuszacie mnie, abym zeznawał wbrew mojej woli.

— Obowiązujące w tym kraju prawo tego od pana wymaga. Jeszcze raz powtarzam, że nikt nie żąda od pana odpowiedzi na pytania, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby pana narazić na odpowiedzialność karną. Pouczam pana również, że za fałszywe zeznania grozi surowa kara.

— Czego ode mnie chcecie?

— Pierwsze moje pytanie: czy dawał pan Andrzejowi Szaflarowi jakieś pieniądze? Ściśle mówiąc siedemset dolarów w banknotach po sto.

Rolf Persson zawahał się z odpowiedzią, wreszcie wystękał:

— Dawałem.

— Za co?

— Opiekował się naszą grupką. Zabierał na wycieczki w góry.

— Jedyne za to?

— Gunhild bardzo lubiła tańczyć. On także z nią tańczył. Codziennie przychodził na dansingi. Przecież musiał mieć na to pieniądze. Nie stać go było na bywanie w takich drogich lokalach.

— Pan chciał się rozwieść z żoną?

— To są moje prywatne sprawy.

Toteż nie pytam pana o to przez zwykłą ciekawość, lecz jako

prowadzący śledztwo w sprawie zamordowania Gunhild Persson.

— Ostatnio nasze stosunki z Gunhild były nieco napięte. Ale nie było mowy o rozwodzie.

— Ze względu — zapytał podpułkownik — na testament Thorstena Berggrena?

Na te słowa Rolf Persson zaczerwienił się.

— Pan wie o tym testamencie? — zapytał.

— My w ogóle znacznie więcej wiemy, niż to się panu zdaje. Według klauzuli tego testamentu strona winna rozwodu praktycznie rzecz biorąc traci wszystko. Pan, stanowisko generalnego dyrektora koncernu. Pani Gunhild, prawo rozporządzania akcjami i prezesurę rady nadzorczej. Chcąc się rozwieść, musiał pan udowodnić winę Gunhild.

— Mogę pana zapewnić, że nigdy z żoną nie mówiłem o rozwodzie.

— Za to rozmawiał pan o tym z Andrzejem Szaflarem. Wtedy na spotkaniu w „Kmicicu”, On miał panu dostarczyć dowodu niewierności żony. Czy taki był wasz układ?

— Gunhild nic by nie straciła na rozwodzie. Dywidendy z tych akcji musiałyby otrzymać. Tyle tylko, że nie brałyby udziału w walnych zgromadzeniach akcjonariuszy. Zresztą ułożylibyśmy te sprawy. Szaflar widocznie źle mnie zrozumiał. Powiedziałem mu, że jeśli z Gunhild mają się ku sobie, nie będę stał na drodze do ich szczęścia. On słabo włada niemieckim i dlatego to mu się pomieszało, a później nie wiadomo, co wam naopowiadał.

— A fotografie pani Gunhild wchodzącej z Szaflarem do jego mieszkania także pan chciał mieć na dowód ich szczęścia?

— Jakie fotografie?

— Te, które pan polecił sporządzić swojemu sekretarzowi, Markowi Dańcowi.

— Znowu jakieś nieporozumienie. Marek jest zapalonym fotoamatorem. Gdyby mógł, nic by całe dni nie robił, a tylko przytykał swoim aparatem. Właściwie swoimi aparatami. Do Zakopanego przywiózł, o ile się nie mylę, aż trzy sztuki. Nic więc dziwnego, że podczas wspólnych wycieczek stale fotografował całe towarzystwo. Między innymi Gunhild i Szaflara. O innych zdjęciach nic nie wiem i żadnego polecenia mnie wydawałem. Możecie go o to sami zapytać. Przecież siedzi w poczekalni.

— Dziękuję. Zapytamy — powiedział podpułkownik i jednocześnie pomyślał: „Cwany jesteś. Twój sekretarz nie zezna niczego, co by ciebie mogło obciążać. Uzgodniliście to już ze sobą”. — Pan zeznał uprzednio, że w czasie tamtego tragicznego wieczoru tylko raz pan wstał od stolika. Poszliście z panną Margaretą Andersson do barku.

— Tak było — potwierdził przemysłowiec.

— A na dół, do toalety pan nie wychodził?

— Nie.

— Kiedy wróciliście do stolika?

— To było mniej więcej na pół godziny przed tym, nim orkiestra przestała grać i poszła na kolację. Na zegarek nie patrzyłem.

— Pani Gunhild wtedy tańczyła?

— Chyba tak. Zdaje mi się, że widziałem ją na parkiecie.

— A w przerwach między tańcami, czy wróciła do stolika?

— Nie. Tego jestem zupełnie pewien.

— Pan oczywiście wie, że złota bransoletka, którą pani Gunhild stale nosiła na ręku jest w naszym posiadaniu. Pokazywałem ją panu.

— Tak. Napisałem przecież oświadczenie, że okazana mi bransoletka była własnością mojej żony.

— Czy pan wiedział, że pani Gunhild podarowała ją Andrzejowi Szaflarowi?

— Nie! — szybko odpowiedział Rolf Persson.

Kłamię, pomyślał podpułkownik, głośno zaś dodał: — A jednak to jest faktem.

— To wprost nieprawdopodobne.

— Pan mu podarował siedemset dolarów, jak pan sam stwierdza, właściwie za nic. Pana żona mogła mu z kolei także za nic podarować ten klejnot.

— Gunhild była nieobliczalna. Ale ten Szaflar musiał od niej wyłudzić bransoletkę. Osoba przy zdrowych zmysłach nie robiłaby komuś obcemu prezentu z dziesięciu tysięcy dolarów.

— Może nie był dla niej obcy. Pan sam tutaj powiedział, że nie miał zamiaru stać na przeszkodzie do ich szczęścia. Może to właśnie był prezent zaręczynowy? — podkpiwał sobie Kaczanowski. A Szwed zrobił taką minę, jakby za chwilę miał się rzucić na oficera.

— Rozumiem waszą grę — Persson nie krył swojej wściekłości — chcecie mi dowieść tej zbrodni. Dla propagandy komunistycznej to byłaby prawdziwa gradka. Wielki przemysłowiec nie tylko żłopie krew robotniczą, ale także morduje swoją żonę. Dla niskich pobudek utrzymania się na swoim stanowisku. Ale choćbyście stanęli na głowie, tej zbrodni mi nie dowiedziecie, bo jej nie popełniłem.

— Znowu się pan myli — spokojnie odpowiedział podpułkownik. — My nikomu nie imputujemy nie popełnionych zbrodni. Panu także jej w tej chwili nie zarzucamy. Powtarzam, chyba po raz trzeci, a może i czwarty, że jest pan przesłuchiwany wyłącznie w charakterze świadka. Dlatego nie rozumiem tych wycieczek o naszym ustroju i naszej propagandzie. Jak na razie, cała polska prasa dała króciutką

wzmiankę o tragedii w „Nosalu”. W przeciwieństwie do prasy szwedzkiej i innych państw kapitalistycznych. To nie nasza prasa i propaganda zajmuje się pańską osobą.

— Przepraszam pana. Uniosłem się niepotrzebnie. Ale codziennie mi telefonują ze Sztokholmu, co o mnie piszą różne szmatławce. Najgorszy jest ten Sven Breman. Ja mu wytoczę proces o zniesławienie.

— To jest pańska prywatna sprawa, do której my się nie wtrącamy.

— Wracając do tej bransoletki — powiedział Rolf Persson — jeśli macie pewność, że Gunhild nie działała pod przymusem, to naturalnie możecie ją zwrócić Szaflarowi.

— Jak pan rozumie, że pani Gunhild mogła działać pod przymusem? Przecież siłą w restauracji Szaflar nie zdjął pańskiej żonie bransoletki z ręki.

— Nie siłą, ale może szantażem?

— W jaki sposób?

— Może między nimi zaszło coś poważniejszego, niż tańce i zwykły flirt. I Szaflar jej groził, że powie mi o tym.

— Przecież pan mu za to chciał dobrze zapłacić.

— Powtarzam, Szaflar wtedy mnie nie zrozumiał. Ale później mógł Gunhild szantażować. Pieniądzy zbyt wiele przy sobie nie miała. Czeka żaden szantażysta nie weźmie, kto wie, czy nie zadowolili się bransoletką?

— Sprawdzimy to.

— Proszę jednak nie rozumieć — wycofywał się Persson — że oskarżam Szaflara o szantażowanie Gunhild. Ja teoretycznie zakładam, że taki fakt mógł się zdarzyć. Gunhild była przecież pełnoletnia i mogła swobodnie rozporządzać swoim osobistym majątkiem. Jeżeli miała taką fantazję, żeby zrobić Szaflarowi kosztowny prezent, niech mu on służy. Bóg z nim.

— Wezwałem pana tutaj przede wszystkim — zauważył podpułkownik — dla wyjaśnienia sprawy tych siedmiuset dolarów znalezionych u Szaflara. Czy mam rozumieć, że nie wnosi pan żadnych pretensji o te pieniądze?

— Żadnych.

— W takim razie sprawa została wyjaśniona. Dziękuję panu za udzielone informacje.

— Panie pułkowniku — Szwed mówił to uroczystym tonem — nie wiem, co pan o mnie myśli. Dobrze czy źle. I przyznaję, że to mnie niewiele obchodzi. Zdaję sobie sprawę, że prowadząc śledztwo kierujecie się zasadą: ten jest sprawcą, kto miał powód, kto odniósł z tej zbrodni korzyść. To do mnie pasuje. Nie mogłem się rozwieść z

Gunhild. Jej śmierć rozwiązuje w bardzo pomyślny dla mnie sposób wiele kwestii. Ja na tym zyskuję. A więc wasza uwaga musi być zwrócona głównie na moją osobę. Ale raz jeszcze powtarzam, ja Gunhild nie zabiłem. Nigdy nie życzyłem jej śmierci.

Z tymi słowami szwedzki przemysłowiec opuścił pokój. Porucznik Stanisław Motyka wyprowadził go aż na dwór. Nie dlatego, że Persson mógłby zablądzić w budynku komendy milicji, ale żeby Szwed nie miał okazji porozumienia się ze swoim sekretarzem, który z kolei zajął miejsce przed biurkiem podpułkownika. W przeciwieństwie do pryncypała, Marek Daniec miał niepewną minę. Widać było, że młody człowiek dużo by dał, aby uniknąć tej rozmowy.

— Przede wszystkim — zaczął podpułkownik, kiedy porucznik spisał personalia przesłuchiwanego — chciałbym wyjaśnić z panem raz jeszcze, jak to było wówczas z obecnością przy stoliku członków waszego towarzystwa w okresie mniej więcej na pół godziny przed znalezieniem pani Gunhild martwej. Czy pan wtedy tańczył?

— Nie. Tamtego wieczoru zatańczyłem trzy razy. Najpierw z Margaretą Andersson, a potem dwa razy z Ingą Osterman. Ale to było na początku, zanim jeszcze kelner przyniósł gorące dania. Chyba wszyscy wtedy wybrali pstrąga z rusztu. Potem już nie tańczyłem. Ostermanowie także nie tańczyli. Pan Persson w ogóle nie jest amatorem tańca.

— Pan Persson chodził z panią Andersson do barku przed, czy po tym pstrągu?

— Po zjedzeniu postrągów. W barku byli krótko. Zdażyli wrócić przed podaniem melby. Siedzieliśmy w piątkę aż do końca, kiedy orkiestra przestała grać i udała się na kolację. Wtedy jakaś Polka krzyknęła, że na dole leży zamordowana kobieta. Pobiegłem tam a za mną pan Persson.

— Nikt z was nie odchodził w tym czasie od stolika?

— Nie.

— Panie nie schodziły do toalety, aby poprawić urodę?

— Nie.

— A co robiła pani Gunhild?

— Najpierw tańczyła z Andrzejem. Potem siedziała z nami i jadła kolację. Później Andrzej znowu ją poprosił do tańca. Poszła tańczyć i już do stolika nie wróciła. Nie jadła melby ani nie piła podanej trochę później kawy.

— Cały czas tańczyła?

— Widziałem, jak tańczyła. Ale chyba tylko jeden taniec. Później gdzieś oboje znikli.

— Nie obawiał się pan, że nie zdąży ich sfotografować?

— Nie rozumiem?

— Pan wie, że Persson wypłacił Szaflarowi siedemset dolarów?

— Tak, wiem. Mówił mi.

— Szaflar czy Persson?

Marek Daniec niespokojnie poruszył się na krześle i wykrztusił:

— Jeden i drugi.

— Pan wie, za co zostały wypłacone te pieniądze?

— No, za... za... — jękał się młody człowiek — za opiekowanie się naszą grupą, oprowadzanie nas po Tatrach.

— I za tańczenie z panią Gunhild?

— Pani Gunhild uwielbiała taniec. Persson był zadowolony, że jego żona tak dobrze się bawi.

— A pan miał sfotografować kulminacyjny punkt tej zabawy.

Młody inżynier zaczerwienił się aż po czubek włosów.

— Jak to było z tą fotografią? — podpułkownik nie ustępował.

— Dla mnie, jako osoby stojącej blisko pana Perssona, nie było tajemnicą, że w ich małżeństwie już dawno coś się popsulo. Żyli ze sobą jak przysłowiowy pies z kotem. Nie raz i nie dwa byłem świadkiem nie tylko kłótni, ale wprost awantury.

— Z, czyjej winy?

— Różnie bywało. I mąż nie był bez winy, i pani Gunhild nie była święta. Często dawała odczuć panu Rolfowi, że gdyby nie jej kaprys, byłby nadal skromnym urzędnikiem w zakładach albo w ogóle bezrobotnym.

— Więc co z tymi fotografiami?

— Pomyślałem sobie, że gdyby pani Gunhild zdradzała męża, to w tej sytuacji moim prawem byłoby zwrócić na to uwagę pana Perssona. Miałyby powód do rozwodu z winy żony.

— Pan oczywiście zna testament starego Berggrena?

— Nie czytałem go. Ale orientuję się w jego treści. Swego czasu ten testament był ogromną sensacją.

— I pan tak z dobrego serca usiłował zdobyć kompromitujące panią Gunhild fotografie?

Marek Daniec ponownie spałował.

— Myślałem... Przypuszczałem — młody człowiek szukał możliwie najniewinniejszych słów — że pan Persson będzie mi wdzięczny za to.

— Co panu obiecał?

— Nic mi nie obiecywał. To była moja własna inicjatywa.

— Pan rozmawiał na ten temat z Andrzejem Szaflarem?

— Rozmawiałem. Dowiadywałem się, jak postępuje jego flirt z panią Gunhild i prosiłem, aby mnie zawiadomił, kiedy zaprowadzi panią

Gunhild do siebie.

— Pan mu mówił, że chce pan zrobić zdjęcia ich obojga wchodzących do domu.

— Tak. Mówiłem.

— A on?

— Nie miał żadnych zastrzeżeń.

— Bo tak było umówione z panem Perssonem?

— Nic nie wiem o rozmowach Szaflara z moim szefem. Powtarzam, te zdjęcia miały być zrobione z mojej własnej inicjatywy.

— A Szaflar tak lekko się na to zgodził?

— Tłumaczyłem mu, jak bardzo mi zależy na fotografiach. A jemu to nic nie szkodzi. I tak najwyżej za tydzień mieliśmy powrócić do Sztokholmu. On tu zostawał. Nie narażał się na nic.

— Pan mu obiecywał jakieś pieniądze za, nazwijmy to, pozowanie do fotografii?

— Nie.

— A pan Persson?

— Nic o tym nie wiem. Nie mógł obiecywać, bo o niczym nie wiedział. Być może, jak mu dawał te siedemset dolarów, mógł obiecać, że przed wyjazdem jeszcze coś mu dołoży. Panu Perssonowi bardzo zależało na dobrych stosunkach z Ostermanami. Nasz koncern jest zależny od dostaw jego stali. A Ostermanowie lubią chodzić po górach. Pan Persson starał się, aby Ostermanowie byli jak najbardziej zadowoleni z pobytu w Zakopanem. Dlatego mógł dodatkowo coś jeszcze przyrzec przewodnikowi tatrzańskiemu.

— Czy to pan był inicjatorem wycieczki do Zakopanego?

— Tak. Kiedyś pan Persson wspomniał, że chętnie by się wybrał gdzieś za granicę w październiku. Ten miesiąc w Sztokholmie jest okropny. Wtedy zacząłem zachwalać Zakopane, które dobrze znałem. Mam rodzinę w Polsce i często tu przyjeżdżałem. Państwo Ostermanowie także dużo słyszeli o pięknie naszych Tatr, ale ich nie znali, toteż chętnie poparli moją propozycję. Zważył dodatkowy argument. Polska jest krajem tanim. A Szwedzi, nawet najbogatsi, liczą się z każdym groszem.

— Nie wygląda na to, aby pan Persson tak się liczył z pieniędzmi.

— Zdradzę małą tajemnicę. Przed wyjazdem tutaj nasz koncern nawiązał stosunki z polskimi firmami. Złożyliśmy oferty na eksport do Polski naszych wyrobów. Jadąc tutaj zatrzymaliśmy się na dwa dni w Warszawie, gdzie pan Persson prowadził rozmowy handlowe. Także wracając projektowaliśmy znowu spotkanie w Warszawie. To pozwoliło cały pobyt w Polsce pokryć z pieniędzy firmy jako koszt handlowy, a nie z prywatnych dochodów, od których w Szwecji płaci się

horrendalne podatki.

— A Osterman?

— On jest w jeszcze lepszej sytuacji. Przecież stale sprzedaje do Polski wysokogatunkową stal nierdzewną. Każdy kto ma w Szwecji jakieś przedsiębiorstwo handlowe czy przemysłowe tak się urządza. W Hiszpanii są takie fikcyjne biura, które poza pięknym firmowym papierem niczym innym się nie zajmują, jak wysyłaniem zaproszeń na konferencje do różnych przemysłowców szwedzkich, aby ci mogli przyjechać na wakacje do Hiszpani nie płacąc z prywatnej kieszeni. Firma bierze drobną prowizję za wysłanie zaproszenia i wszystko gra. Stąd ta lekka ręka pana Perssona w wydawaniu pieniędzy. Gdyby musiał je wyjmować ze swojej własnej kieszeni, liczyłby każdy dolar, każdą złotówkę.

— Więc i te siedemset dolarów pójdzie w kosztu koncertu?

— Oczywiście. Jako wydatek na reklamę.

Marek Daniec podpisał sporządzony przez porucznika protokół i z wielką ulgą opuścił budynek komendy MO.

— No i co powiecie, poruczniku, o naszych klientach?

— Dobrali się obaj w korcu maku. Wart Pac pałaca.

— Obaj starali się — stwierdził podpułkownik — powiedzieć jak najmniej. Obaj także dobrze łgali. Zresztą dość zrećcznie. Naturalnie sekretarz całą winę brał na siebie. Przemysłowiec jest zbyt szlachetny, aby wynajmować gości do uwiedzenia własnej żony. To tylko nasz Mareczek z dobrego serca starał się dopomóc pracodawcy zdobywając kompromitujące fotografie.

— W sumie jednak — zauważył porucznik — zeznania potwierdziły dużą część tego, co nam przedtem opowiedział Andrzej Szaflar.

— Bardzo zrećczne było to sugerowanie nam przez Rolfa Perssona, że jego żona mogła być szantażowana przez Andrzeja. Że musiała się wykupić złotą bransoletką.

— Nie sądzę, aby tak było.

— Ja też. Przed tym zarzutem bronią przewodnika zeznania szatniarza, który widział Gunhild i Andrzeja, jak się całowali na pożegnanie. Na ogół szantażowani nie rzucają się w ramiona szantażystom.

— Teraz, kiedy już wiemy — ciągnął porucznik — tak wiele o osobie pana Perssona, on doskonale pasuje w tej sprawie jako główny podejrzany. Ponieważ nic nie wyszło ze skompromitowania Gunhild, trzeba było ją usunąć z grona żywych.

— Teoretycznie to by się zgadzało. Jednak Rolf Persson ma niepodważalne alibi. Czworo świadków stwierdziło, że siedział cały czas przy stole. Poza tym nie jest karateką i nie jest mańkutem. Nie

potrafimy mu dowieść tej zbrodni. Zresztą sędzę, że naprawdę jej nie popełnił. Pomimo wszystko to zbyt wielkie ryzyko dla niego. Małe świństwa, oszukiwanie państwa na podatkach, do tego Rolf na pewno jest zdolny. Ale nie do tak ryzykownie przeprowadzonego morderstwa.

— Zapłacił komuś za „mokrą robotę”?

Podpułkownik roześmiał się.

— To już zbyt amerykańska hipoteza. W Polsce, na szczęście, nie mamy takich fachowców do wynajęcia. Ten rodzaj usług jakoś się w kraju nie przyjął. Z zagranicy Persson także nie sprowadził sobie karateki.

— Jeśli i Persson jest niewinny, to kto zabił jego żonę? Jak na razie wszyscy podejrzani wyślizgują się nam z ręki jak piskorze. Mieliśmy ich trzech, a teraz żaden nam nie pozostał.

— To prawda.

— Jakie są wnioski pana pułkownika?

— Wniosek jest jeden. Za to bardzo prosty.

— Jaki?

— Po prostu musieliśmy popełnić jakiś błąd w naszym śledztwie. Coś musieliśmy przeoczyć, o czymś musieliśmy zapomnieć i dlatego nic nam z tej pracy nie wyszło.

— Co teraz zrobimy? — porucznik był zupełnie zrezygnowany.

— Niestety, trzeba zacząć na nowo.

— Od nowa zaczynać śledztwo? — przestraszył się porucznik. — Ponownie ludzi wzywać do komendy i przesłuchiwać? Ci Szwedzi gotowi naprawdę poskarżyć się naszym najwyższym władzom o złośliwe przetrzymywanie ich w Zakopanem. A świadkowie? Powiedzą nam tylko to, co już raz zeznali.

— Macie rację, poruczniku. Najmniej obawiam się reakcji naszych Szwedów. Dzisiaj żaden z nich nawet ust nie otworzył w sprawie wyjazdu stąd. Nie ma także najmniejszego celu zaczynanie na nowo przesłuchań. To nie przesłuchiwanie popełnili błędy, lecz ci, którzy ich przesłuchiwali. To znaczy my. Najwidoczniej nie opanowaliśmy dokładnie całego materiału, jaki nam śledztwo dostarczyło. Trzeba ten błąd naprawić.

— W jaki sposób?

— W bardzo prosty. Nam się zdaje, że znamy treść leżących przed nami akt sprawy. Zbyttno zaufaliśmy swojej pamięci i swojej spostrzegawczości. Teraz trzeba to naprawić i wziąć się solidnie za studiowanie tych papierków. Aż do znudzenia, czy też nauczenia się ich na pamięć. Jest nas dwóch. Co jeden przeoczy, drugi powinien zauważyć.

— Nie sędzę, abyśmy o czymś zapomnieli.

— Zapomnieć można to, co się raz już wiedziało. Myśmy niczego nie zapomnieli, ale zapewne czegoś nie spostrzeżliśmy. Duża różnica.

— Czytałem te dokumenty — bronił się porucznik. — Doskonale pamiętam zeznania ludzi, których przesłuchiwałem.

— To wam się, poruczniku, tak zdaje. Proponuję, siadajcie od razu tutaj za biurkiem i od początku studiujcie akta. I jeszcze raz, i drugi i tak dalej. Nie sugerujcie się tym, że je znacie i że to nuda, bezużyteczna praca. Za każdym razem czytajcie je tak, jakbyście nigdy ich przedtem nie mieli w ręku. A wieczorem, powiedzmy tak około godziny ósmej, przyniesiecie mi tę teczkę do mojego pensjonatu. Wtedy ja z kolei wezmę się za robotę. Choćbym całą noc miał poświęcić na czytanie. Jutro, kiedy się spotkamy w tym pokoju, wymienimy nasze uwagi.

—A jeżeli nic nie znajdziemy?

— To trudno. Wtedy trzeba będzie nas odwołać i powierzyć prowadzenie śledztwa komuś lepszemu. Ja na pewno dostanę mocno po łapach od moich zwierzchników, a wy, poruczniku, straciecie okazję brania udziału w rozwiązaniu może najciekawszej sprawy w waszej obecnej i przyszłej karierze milicyjnej. Lepiej więc do tego nie dopuścić.

— Już się biorę do roboty — argumenty podpułkownika podziałały na młodego oficera jak na konia smagnięcie biczem.

— A ja — zadecydował Kaczanowski — pójdę na nieco wcześniejszy obiadek. A potem korzystając z ładnej pogody wybiorę się na spacer do Doliny Olczyskiej. Bardzo ją lubię. Chyba najbardziej ze wszystkich podzakopiańskich dolinek. Taki spacer zawsze mi pomaga w myśleniu. A mam dużo do przemyślenia. Oczekuję was, poruczniku, u siebie o ósmej wieczorem.

Rozdział XI

Ciekawe obyczaje mrówek faraona

Kiedy następnego dnia obaj oficerowie, podpułkownik Janusz Kaczanowski i porucznik Stanisław Motyka, spotkali się w Komendzie Miejskiej MO w Zakopanem, starszy rangą wyraźnie był niewyspany. Dotrzymał przyrzeczenia, bo całą noc studiował akta śledztwa w sprawie zabójstwa Gunhild Persson. Porucznik dużo młodszy od swojego wyższego stopniem kolegi trzymał się lepiej, ale i on także zarwał kawał nocy na rozmyślaniach nad tą tak trudną do rozwikłania sprawą.

— Jak tam wasza praca, poruczniku? — zapytał podpułkownik. — Znaleźliście coś ciekawego, co dotychczas uszło waszej uwagi?

— Znalazłem — triumfalnie obwieścił Stanisław Motyka. — Pan pułkownik miał rację każąc mi czytać te akta w kółko od początku do końca i z powrotem.

— Co odkryliście?

— Są pewne sprzeczności w zeznaniach. Nie zwróciłem na to przedtem uwagi. Zresztą nawet to zauważyłem, ale nie przywiązywałem wtedy do tego specjalnej wagi. A to może być bardzo ważne.

— Słucham?

— Cała piątka Szwedów jednomyślnie zeznała, że co najmniej przez pół godziny przed wykryciem tego nieszczęścia wszyscy siedzieli przy stoliku. Jedli melbę i pili kawę. Jeden z przesłuchiwanym przeze mnie kelnerów potwierdził zresztą te zeznania. Natomiast drugi uważał, że przy szwedzkim stoliku nie było kompletu, że siedziały tam dwie, a najwyżej trzy osoby. Jeszcze wyraźniej mówił o tym Franciszek Bujak. Nasz Karate stwierdził bowiem, że w krytycznym momencie przy stoliku siedziały trzy osoby. Małżeństwo Ostermanowie i Marek Daniec. Pana Perssona Bujak gdzieś zauważył. Tylko nie pamięta czy na sali, czy też w holu. Wie jednak, że nie było go przy stoliku i że Szwed stał, a nie siedział.

— To rzeczywiście ważne spostrzeżenie. Niedwuznacznie wskazuje ono na to, że Szwedzi solidarnie kłamali, aby osłonić jednego z nich. W tej sytuacji Rolf Persson nie ma alibi. Mógł zejść za żoną na dół do toalet i tam jednym ciosem w prawą skroń rozwikłać swoje małżeńskie problemy.

— Właśnie. To samo i mnie przyszło do głowy. Z chwilą kiedy alibi zostało podważone, Rolf Persson automatycznie wraca do nas jako najbardziej podejrzany o tę zbrodnię.

— To prawda. Ale ja mimo wszystko nie wierzę, aby przemysłowiec był mordercą.

— Dlaczego?

— Między innymi dlatego, że zbrodnię popełniono w damskiej toalecie. Można Perssonowi dużo zarzucać, ale nie można o nim powiedzieć, że jest źle wychowany. Taki człowiek miałby pewien odruch warunkowy nie pozwalający mu wejść do damskiej toalety.

— Taki sam odruch warunkowy ma każdy człowiek przed popełnieniem zbrodni morderstwa.

— Zgoda. Toteż zabójca na pewno najpierw musiał pokonać opory wewnętrzne, a dopiero potem zrealizował swój zamiar. Ale pokonując wrodzoną każdemu człowiekowi uczciwość, zabraniającą odbierania życia swemu bliźniemu, na pewno nie walczył z przyuczonym od dzieciństwa nawykiem, że mężczyzna nie wchodzi do damskiej toalety. Przecież chcąc zaskoczyć Gunhild tak, aby ta kobieta nie narobiła alarmu, zabójca musiał się w tym pomieszczeniu znaleźć przed nią. Jaką miał pewność, że pierwszą osobą, która tam wejdzie, będzie Szwedka? Skąd wiedział, że w toalecie, w którejś z kabin nie ma jakiejś innej osoby płci żeńskiej? A poza tym za niewinnością Perssona przemawiają te argumenty, które już przytaczałem wczoraj. Waga waszego odkrycia, poruczniku, polega nie na tym, że obciąża ono dodatkowo przemysłowca, lecz na czymś innym, znacznie ważniejszym.

— Na czym?

— Na tym, że wszyscy Szwedzi kłamią. Celowo zeznawali nieprawdę. A to dlatego, że albo wiedzą, kto jest zabójcą, albo przynajmniej domyślają się tego i z jakichś nie znanych nam powodów usiłują go ocalić przed wymiarem sprawiedliwości.

— Jeśli nim jest Szwed, to działa solidarność narodowa nieprania brudów poza własnym domem. Może uważają, że tego człowieka należy sądzić w Szwecji, gdzie zresztą przepisy tamtejszego kodeksu karnego są dużo łagodniejsze i gdzie kara za zabójstwo wynosi maksimum dziesięć lat. Nie to, co u nas, w Polsce można nawet zarobić „krawat”.

— Nie przypuszczam, aby chodziło tutaj o te względy. Raczej grają rolę powiązania handlowe i może pewne związki uczuciowe lub przyjaźni.

— Ale to znowu wskazuje na Rolfa Perssona jako na mordercę.

— Zgadzam się z porucznikiem. I dlatego też uważam, że nasze śledztwo posunie się naprzód jedynie wówczas, jeżeli zdołamy zmusić Szwedów do powiedzenia nam całej prawdy. Inaczej będziemy błądzić po omacku i będziemy mieli tylko podejrzanych bez dowodów ich winy.

— Sądzę, że już dzisiaj prokurator mógłby postawić Rolfa Perssona

w stan oskarżenia i wytoczyć mu proces poszlakowy.

— Robi pan, poruczniku, podstawowy błąd, którego oficer śledczy powinien się wystrzegać jak ognia. Przyjął pan jedną hipotezę i do niej nagina pan resztę dowodów, nie próbując szukać innego rozwiązania. A skąd pan wie, że nasi Szwedzi nie usiłują kryć jakiegoś Polaka? Choćby Franka Karate czy Andrzeja Szaflara? Obaj oddawali im różne usługi i obaj w pewnym stopniu zaprzyjaźnili się z nimi. A przecież nie wiemy, może Gunhild była w tym małym kółku osobą nielubianą czy nawet znienawidzoną i nikt z tego towarzystwa nie przejmuje się jej zgonem ani nikomu nie zależy, aby przestępca poniósł karę.

— Franka Karate można wykluczyć. Wiemy przecież, że bransoletka znalazła się w posiadaniu Andrzeja Szaflara. Franek nie miał więc motywu zbrodni.

— Mógł najpierw uderzyć, a dopiero potem spostrzegł, że Szwedka nie ma bransoletki na ręku.

— To by zabrał platynowy zegareczek nie mniejszej wartości.

— Mógł go ktoś spłoszyć. Na przykład usłyszał kroki na schodach.

— To już raczej Szaflar mi pasuje do tej zbrodni. W jaki sposób bransoletka znalazła się w jego rękach, to wiemy jedynie z jego opowiadań. A ile w nich jest prawdy?

— A ja myślę, że rozwiązanie jest zupełnie inne. Takie, jakiego w tej chwili nie możemy sobie jeszcze wyobrazić.

— Za Franciszkiem Bujakiem i Andrzejem Szaflarem w oczach pana pułkownika przemawia to, co także broni Perssona — porucznik nie dawał za wygraną — oni także od małego mają wyrobiony nawyk niewchodzenia do damskiej toalety.

— A zatem kółeczko się zamknęło, a my pozostaliśmy na lodzie.

— A pan pułkownik także zrobił jakieś spostrzeżenia studiując akta sprawy?

— Tak. Zaraz panu pokażę. — To mówiąc podpułkownik sięgnął do teczki z aktami i wyjął z niej kopertę ze zdjęciami denatki i miejsca zbrodni. Wśród kilkunastu barwnych fotografii wyszukał jedną i podał ją porucznikowi: — Popatrzcie.

Stanisław Motyka długo przyglądał się zdjęciu. Przedstawiało ono Gunhild Persson leżącą na kafelkach toalety. Głowa pod jedną z umywalk. Cała postać dziwnie podkurczona. Torebka leżąca koło prawej ręki.

— Nic tu nie dostrzegam — powiedział młody oficer.

— Zwróćcie, poruczniku, uwagę na pantofelki, jakie ta kobieta ma na nogach. Tak wysokich obcasów w życiu nie widziałem.

— Cóż z tego?

— Jeden z tych pantofli, ten na lewej nodze, jest dziwnie

wykrecony. Cała pięta znalazła się na wierzchu.

— To prawda, ale co z tego?

— Przypuszczam, że jeśli rozwiążemy zagadkę tego pantofelka, dowiemy się, kto zabił Gunhild.

— Kiedy ta kobieta otrzymała śmiertelny cios, upadając, w ten sposób skrzywiła nogę, że pantofelek zsunął się ze stopy.

— Być może, że porucznik ma rację. Ale może prawda jest inna.

— Jaka?

— Jeszcze jej nie mogę sobie uprzytomnić. Ale prędzej czy później dojdę do tego. Muszę znaleźć klucz do tej zagadki. A na razie trzeba jak najprędzej porozmawiać ze Szwedami. Niech pan porucznik zaraz pojedzie do „Kasprowego”. Jeśli ich nie będzie, proszę poczekać i powiedzieć im, że przyjadę do nich o czwartej po południu i że mam bardzo ważne sprawy do zakomunikowania. Żeby nikt się nie oddalał. Zależy mi, aby w tej rozmowie uczestniczyła cała piątka.

Porucznik wyszedł, zaś podpułkownik nadal wpatrywał się w fotografię, która mu dawała tyle do myślenia. Za parę minut wszedł do pokoju Sven Breman i nawet nie witając się z Kaczanowskim powiedział:

— Obrzydzenie mnie bierze, kiedy patrzę jak morderca Gunhild spokojnie sobie siedzi w knajpie i zażera się różnymi frykasami niszcząc przy tym szlachetne trunki. Kiedy go pan zaaresztuje?

— Kogo?

— Przecież nie tego przystojnego przewodnika czy wesołego waluciarza. Pan dobrze wie, że mówię o Perssonie.

— Pan Persson ma murowane alibi. W krytycznym czasie siedział wraz z całym swoim towarzystwem przy stoliku. Jadł melbę i pił kawę.

— Nie znam pańskich akt, ale trzymam zakład, że to „murowane” alibi opiera się wyłącznie na zeznaniach pozostałej czwórki. Niech pan nie myśli, że Szwedzi są tak szlachetnym narodem, iż zawsze mówią prawdę. Potrafią dobrze łąć. Zwłaszcza, jeśli idzie o zeznania podatkowe. A tutaj dobrało się wyjątkowe towarzystwo. Osterman uzależniony od zamówień Perssona, sekretarz przemysłowca najłatwiejszy do przekupienia nawet nie pieniędzmi, a tylko obietnicą awansu. Żona Ostermana, która tak musi tańczyć, jak mąż jej zagra. No i wreszcie piękna Margareta, sekretarka Ostermana. Ta także nie chciałaby się narazić swojemu pracodawcy. W dodatku marzy jej się awans na przyszlą panią Persson. Ci ludzie, krętacze finansowi, którzy dawno powinni siedzieć w szwedzkim więzieniu oraz zależne od nich pionki mieliby zeznawać prawdę, aby obciążyć jednego z nich?

— Widzę, że niezbyt pan lubi własnych kapitalistów.

— Jestem — podkreślił szwedzki dziennikarz — członkiem Partii

Liberalnej. Uznaję prawo do rozwoju prywatnego handlu i przemysłu. Sądę także, że upaństwowienie całego handlu i przemysłu jest błędem. Człowiek prywatny zawsze będzie produkował taniej i lepiej. Nie dopuści do rozwoju biurokracji i rozmnażania się różnych leni i nieuków na stanowiskach dyrektorskich. Ale nienawidzę wszelkiej nieuczciwości i wyzysku. A pana Perssona znam głównie od tej najgorszej strony. Osterman także nie lepszy. Czy pan wie, pułkowniku, że oni tutaj, w Zakopanem, bawią się za pieniądze ukradzione państwu? Co tutaj wydadzą, odpisuje się im z podatków jako koszta handlowe i reprezentacyjne. Dzięki takim jak oni, skarb państwa boryka się z trudnościami, inflacja rośnie, a bogaci stają się coraz bogatsi. Nie przeczę, są w Szwecji uczciwi kupcy i przemysłowcy. Jest ich znacznie więcej niż kanciarzy. Ale tych uczciwych nie znajdzie pan dzisiaj w „Kasprowym”. Podobno pan się tam dzisiaj wybiera?

— Skąd pan wie? — szczerze zdziwił się podpułkownik.

— Przypadek. Po prostu, kiedy do was szedłem, pana pomocnik wsiadał do samochodu i polecił: „Do Kasprowego”. Resztę, łatwo już odgadnąć.

— Tak. Rzeczywiście zamierzam tam pojechać.

— Rozumiem i dam panu pułkownikowi jedną dobrą radę. Jeżeli pan chce z moich rodaków wycisnąć prawdę, musi pan ich solidnie postraszyć. W obliczu własnego niebezpieczeństwa, solidarność tej bandy pryśnie, jak kieliszek rzucony o ścianę.

— Być może.

— Przyjemnie — roześmiał się „król reporterów” — kiedy dwaj ludzie porozumiewają się bez zbędnych słów. Ale chciałbym o jeszcze jedną rzecz zapytać pana pułkownika.

— Jeśli to będzie bez szkody dla śledztwa...

— Na pewno. Czy Gunhild Persson nie miała na ciele żadnych innych obrażeń? Śladów duszenia? Mała ranka po zastrzyku?

— Przeprowadzono szczegółową sekcję zwłok. Poza tym uderzeniem w prawą skroń, które spowodowało złamanie kości ciemieniowej i natychmiastowy zgon, nie wykryto żadnych innych powodów śmierci.

— Tak — przyznał Sven Breman — to klasyczny cios karate. Ale przyznam się, pułkowniku, że to mi coraz bardziej nie pasuje do sprawy.

— Wszyscy, których podejrzewaliśmy, łącznie z panem Perssonem, są praworęczni. A sam pan stwierdził, że ten karateka musiał być mańkutem.

— Z tego się nie wycofuję. Jeśli karateka, to tylko mańkut.

— Jeśli karateka? — zapytał Kaczanowski.

— Właśnie. Ciągle mi się zdaje, że należy szukać innego

rozwiązania zagadki.

Za Szwedem zamknęły się drzwi. Kaczanowski był pełen podziwu dla dziennikarza. Ten człowiek nie czytał akt śledztwa. Nie miał do nich dostępu. Do tego, co wiedział, doszedł własnymi sposobami i własną intuicją. A jednak... Przecież podpułkownik już od pewnego czasu starał się odpowiedzieć na zadawane sobie pytanie: — Czy tylko karate? Czy w tym założeniu nie tkwi podstawowy błąd?

Obaj oficerowie milicji zjawili się punktualnie o czwartej po południu w hotelu „Kasprowy”, gdzie piątka Szwedów czekała na nich. Po przywitaniach, Kaczanowski poprosił wszystkich do małej czytelnicy czasopism znajdującej się tuż koło kawiarni. Czytelnia została przez porucznika specjalnie zarezerwowana na to spotkanie. Dziwne, ale żaden ze Szwedów słówkiem nie napomknął o przyspieszeniu terminu wyjazdu. Byli milczący i jakby trochę przestraszeni.

— Proszę państwa — zaczął podpułkownik — nasze śledztwo zbliża się ku końcowi. Nawet dzisiaj mógłbym zaaresztować mordercę. Brak mi jednak kilku drobnych dowodów, które muszą być dokładnie zbadane. Pobyt państwa w „Kasprowym” dobiega końca. Najdalej za trzy, cztery dni być może część z was będzie mogła wyjechać. Ale tylko część.

Nikt nie przerywał, zaś Kaczanowski ciągnął dalej.

— Każde z państwa przed złożeniem zeznań zostało przeze mnie pouczone, że polskie przepisy prawne surowo karzą za fałszywe zeznania. Chciałbym do tego dodać, że nasz kodeks karny w artykule dwieście pięćdziesiątym drugim przewiduje karę więzienia do lat pięciu dla tych osób, które utrudniają prowadzenie śledztwa i ukrywają przestępcę. Ten artykuł dosłownie brzmi: „Kto utrudnia lub udaremnia postępowanie karne, pomagając sprawcy przestępstwa uniknąć odpowiedzialności karnej, w szczególności kto sprawcę ukrywa, zaciera ślady przestępstwa albo odbywa za skazanego karę, podlega karze pozbawienia wolności do lat pięciu.”

I tym razem nikt nie zabrał głosu.

— W tej chwili nie chcę nikomu z was stawiać żadnych zarzutów. Gotów jestem uznać, że o pewnych sprawach nie powiedzieliście wskutek zdenerwowania czy zapomnienia. A chciałbym wyjaśnić, że polska jurysdykcja zawsze uważa za okoliczność łagodzącą dobrowolne przyznanie się sprawcy jeszcze przed jego zatrzymaniem przez władze.

Słuchano tych słów w milczeniu. Twarze poważne, nieprzeniknione. Nie padło żadne pytanie.

— A teraz chciałbym państwu opowiedzieć jedną ciekawostkę przyrodniczą. Mamy w Polsce pewien gatunek mrówek. Malutkie, ciemne. Nazywają się „mrówkami faraona”. Podobno dlatego, że znaleziono je w Egipcie w piramidzie faraona Chefrena. Nie jestem

przyrodnikiem, nie wiem, ile w tej legendzie jest prawdy. Czy rzeczywiście mrówki faraona przywędrowały do nas z Afryki, z Egiptu czy też z innych stron świata. Faktem jest, że jeszcze piętnaście lat temu te małe owady były w Polsce zupełnie nieznane, a dzisiaj w wielu miastach, zwłaszcza w Warszawie, stały się plagą trudną do wytopienia. Dzięki swoim mikroskopijnym rozmiarom, to są chyba najmniejsze mrówki na świecie, dostają się do mieszkań przez najmniejsze szpary. Są bardzo sprytnie. Zakładają swoje gniazda w najrozmaitszych, trudno dostępnych miejscach, gdzie nawet trucizna w aerozolu nie może dotrzeć. Walka z tymi stworzonkami jest ciężka i długa. Bodaj najlepszym sposobem jest wysypywanie na ich drogach kwasu bornego. Nie lubią zapachu tego kwasu i dobrowolnie wynoszą się z takiego mieszkania.

— Mamy i w Zakopanem te mrówki — powiedział porucznik nieco zdziwiony, bo nie rozumiał, do czego jego szef zmierza.

— Tak. Mrówki faraona szybko rozmnożyły się w całej Polsce. Słyszałem, że także pojawiły się w wielu innych krajach. Nie są od nich wolne zarówno Niemcy, jak i Francja. Zawędrowały także na europejskie tereny Związku Radzieckiego, no i naturalnie na Bałkany. Jest to mrówka domowa, żyjąca wyłącznie w pomieszczeniach zamieszkałych przez ludzi. Ciekawe, że w pustym, niezamieszkałym domu, mrówki faraona nigdy się nie zadomowia, chociażby tam miały w bród żywności. Zresztą nie są one wybredne w wyszukiwaniu żeru. Mogą się odżywiać nawet drewnem czy tynkiem. Były już wypadki, że potrafiły w domach mieszkalnych zjeść cały strop i doprowadzić do zawalenia się budynku.

— Zaobserwowano ogromnie interesujący i jak dotychczas zupełnie nie wytłumaczony fakt — opowiadał dalej podpułkownik. — Jeśli w danej okolicy, w danym budynku czy choćby tylko w mieszkaniu ma się zdarzyć jakaś katastrofa, na przykład grozi powódź, czy też za parę dni wybuchnie pożar lub dojdzie do innego nieszczęścia, mrówki faraona nagle znikają z zagrożonego terenu. To bardzo dziwne, ale prawdziwe. Przed kilku laty straszne trzęsienie ziemi nawiedziło Bukareszt. Były tysiące zabitych i rannych. W gruzach legła duża część miasta. Zaobserwowano, że z całego Bukaresztu mrówki faraona wyniosły się co najmniej na dwa tygodnie przed katastrofą. Wróciły po przeszło miesiącu, kiedy ziemia zupełnie się uspokoiła. To jeszcze można by jakoś wytłumaczyć. Widocznie te stworzonka posiadają jakiś bardzo czuły sejsmograf, który ich ostrzega przed trzęsieniem ziemi dużo wcześniej niż to mogą uczynić aparaty konstruowane ludzką ręką. Ale są inne, bardziej zaskakujące fakty. Oto w domu, w którym mieszkam w Warszawie, wybuchł w jednym z mieszkań, niegroźny zresztą, pożar. Dziewczyna wychodząc z tego mieszkania zostawiła w

popielniczce nie zgaszonego papierosa. Od niego zajął się jakiś papier pozostawiony w tej popielniczce. Następnie zapalił się obrus leżący na stole i dalej pożar rozprzestrzenił się bez żadnych przeszkód. Na szczęście jakiś przechodzień zauważył dym wydobywający się z okna i zaalarmował straż ogniową. Ta przyjechała i ugasiła pożogę. Ocalała reszta mieszkania. Spłonął doszczętnie jeden pokój. I co państwo na to powiecie? Tydzień wcześniej mrówki faraona znikły z całej kamienicy. Widocznie znalazły jakieś lepsze lokum, bo już do nas nie powróciły. Nauka nie jest w stanie wytłumaczyć tego instynktu mrówek faraona, pozwalającego im uniknąć rozlicznych niebezpieczeństw. To są po prostu zjawiska z dziedziny parapsychologii, uchylające się od zarejestrowania naszymi pięcioma zmysłami.

— Ciekawe — mruknął Ragnar Osterman.

— Byłoby dobrze, aby ludzie także mieli choć małą cząstkę tego instynktu, jaki mają mrówki faraona. Żeby umieli, kiedy grozi im namacalne niebezpieczeństwo, uniknąć przykrości i zagrożenia. Na przykład procesu o składanie fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa. Ludzie, którzy razem wsiedli na statek nie muszą nim jechać tak długo, aż ten statek rozbije się na skałach. Byłby szaleńcem ten podróżnik, który widząc, że okręt niechybnie w najbliższym czasie zatonie, nie wysiadł w porcie czy choćby nie wskoczył do łodzi ratunkowej. Taka łódź ratunkowa zawsze czeka na podróżnych.

Zapanowało ciężkie milczenie. Podpułkownik celowo go nie przerywał. Dopił swoją kawę i podnosząc się z fotela zakończył zebranie.

— Dziękuję państwu — powiedział — żeście mnie tak pilnie wysłuchali. Mam nadzieję, że się rozumiemy. Co do mnie, cały jutrzejszy dzień spędzę w Komendzie Miejskiej MO. Muszę do końca przemyśleć pewne problemy. A pojutrze aresztuję zabójcę Gunhild Persson. Do widzenia państwu — na tym ostatnim zdaniu Kaczanowski położył specjalny akcent.

— Ale pan pułkownik napędził kota tym Szwedom — cieszył się porucznik, kiedy obaj oficerowie wracali z „Kasprowego” — Czy o tych mrówkach faraona to prawda?

Janusz Kaczanowski uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Obserwowałem bacznie całe towarzystwo — ciągnął dalej Stanisław Motyka — żaden z nich nie zmienił wyrazu twarzy, żadna kobieta nie poruszyła się na fotelu. Gdyby sam papież do nich mówił, nie słuchaliby bardziej uważnie.

— Oni są ewangelikami. Nie uznają papieża — sprostował podpułkownik.

— A kiedy pan powiedział, że pojutrze zabójca Gunhild będzie zaaresztowany, Rolf Persson zbladł. Tak mu się ręce trzęsły, że musiał

odstawić filiżankę z kawą, boby się wylała.

— A wy, poruczniku, znowu wracacie do swojej ulubionej koncepcji, że Persson jest mordercą własnej żony?

— A nie jest nim?

— Przestudujcie ponownie akta — podpułkownik był w doskonałym humorze — może dojdziecie do innych wniosków.

— Pan pułkownik chyba blefował mówiąc, że pojutrze zaaresztuje przestępcę? Ale oni w to święcie wierzą. Chciałbym wiedzieć, o czym teraz rozmawiają.

— Na pewno natychmiast po naszym wyjściu rozeszli się do swoich pokojów. Mają nad czym myśleć. Zdaję sobie sprawę, przed jak trudną decyzją postawiłem każdego z nich. A co do tego czy blefuję, odpowiadam krótko — nie. Pojutrze pojedę do „Kasprowego” i zaaresztuję zabójcę pani Gunhild.

— Pan, pułkowniku wie, kto to jest?

— Tak. Wiem.

— To dlaczego już dzisiaj nie zaaresztował pan, Perssona?

— Wy znowu swoje. Powiedzenie „dobry furman zawsze nawraca” stosuje się może do furmanów, ale nie do oficerów milicji. Nie zaaresztowałem dzisiaj przestępcy, bo chociaż wiem, kto nim jest, jeszcze nie potrafiłbym mu tego dowieść.

— A za dwa dni?

— Za dwa dni całą prawdę będziemy mieli jak na dłoni. Zresztą chciałem sprawcy zostawić tę szansę, o której wspomniałem na spotkaniu.

— Jestem pewien, że Szwedzi pękną.

— Zaczekajmy z tym do jutra — podpułkownik zacytował w odpowiedzi słowa popularnej piosenki.

— Jutro będą stali w kolejce przed naszymi drzwiami. Trzymam zakład, że pierwszy przyjdzie Marek Daniec. Kiedy wychodziliśmy z tamtego pokoju, zrobił taki ruch, jak gdyby chciał pójść za nami. Nawet wstał z fotela.

— Nie zakładałam się. Z dwóch zakładających się zawsze jeden jest oszustem, bo zna prawdę. Drugi zaś głupcem, bo jej nie zna i pomimo to zakłada się.

— Daniec będzie pierwszym. Jego zeznania przygwożdżą Rolfa Perssona. Czuję to przez skórę.

Janusz Kaczanowski serdecznie się uśmieł z uporu swojego młodego pomocnika.

— W jaki sposób pan pułkownik doszedł do tego, kto zabił Gunhild?

— W ten sam, w jaki i wam proponowałem. Przez czytanie akt

śledztwa.

— Czytałem je tak długo, że znam na pamięć. Zauważyłem przecież nieścisłości i sprzeczności w zeznaniach świadków.

— Wasze spostrzeżenie było bardzo ważne — przyznał podpułkownik — między innymi dzięki niemu wiem, kto jest zabójcą, choć powtarzam, teraz nie mógłbym mu tego udowodnić. Ale ja także pokazałem wam fotografię zwłok. Te dwa fakty zestawione razem plus gruntowne ich przemyślenie dają rozwiązanie zagadki.

— Oglądałem tę fotografię z pięćdziesiąt razy. Nad wszystkim myślałem całymi godzinami. Do niczego nie doszedłem.

— Tylko dlatego, że sobie z góry wybieraliście, poruczniku, kolejnych morderców. Najpierw Franka Karate, później Andrzeja Szaflara, a w końcu Rolfa Perssona.

— W to, aby zabił Franek, od początku nie bardzo wierzyłem.

— Ale raczej dlatego, że to jest pański szkolny kolega.

— A Szaflar także nie bardzo mi pasował. Nawet po znalezieniu tej bransoletki w jego biurku.

— Za to jeśli chodzi o Perssona, to już poszliście na całość — zażartował podpułkownik.

— A to nie on?

— Jeżeli nie potraficie rozszyfrować tej sprawy, którą sami sobie w pewnym stopniu skomplikowaliśmy, poczekajcie dwa dni. A może tylko jeden dzień? Sądzę, że ten drugi termin jest bardziej realny.

— Będę się przez te dwa dni cholernie męczył.

— Ułatwię wam zadanie przez podanie dalszych danych. Pamiętacie, jak zginęła Gunhild?

— Miałbym o tym zapomnieć! Cios w prawą skroń, zadany przez karatekę mańkuta.

— Doskonale. A teraz zestawcie wszystko razem: ten cios karate, sprzeczności w zeznaniach świadków znajdujących się na sali restauracyjnej w krytycznym momencie i to zdjęcie martwej kobiety w damskiej toalecie. Teraz trochę pogłównkować i już macie całą prawdę. Powtarzam, prawdę, ale nie dowody. Na nie musimy poczekać. Ale będziemy je jutro mieli. Liczę na to, że „mrówki faraona” przyjdą do nas. One zawsze uciekają z domu, w który ma uderzyć grom.

Rozdział XII

Rolf Persson przyszedł pierwszy

Obaj oficerowie milicji, podpułkownik Janusz Kaczanowski i porucznik Stanisław Motyka, już przed ósmą rano byli w budynku komendy miejskiej MO w Zakopanem. Porucznik zastanawiał się, czy Szwedzi się zjawią i który z nich przyjdzie pierwszy. Podpułkownik spokojnie przeglądał poranną prasę i półsłówkami odpowiadał młodszemu koledze. Nie zaspokoił jego ciekawości.

— Idzie Persson! — w pewnej chwili zawołał Motyka. — Jednak się załamał! Na pewno woli dobrowolnie przyznać się do zbrodni, niż czekać do jutra, do momentu aresztowania. Byłem pewien, że to on i że przyjdzie pierwszy.

— Wczoraj — spokojnie odpowiedział podpułkownik — chcieliście się, poruczniku, zakładać ze mną, że pierwszy przyjdzie tutaj Marek Daniec.

— Ale jednak nie omyliłem się co do osoby mordercy.

Podpułkownik nic nie odpowiedział, bo właśnie drzwi się otworzyły i wszedł szwedzki przemysłowiec. Kaczanowski powitał go uprzejmie i wskazał krzesło stojące przed biurkiem, podsunął papierosy i zaproponował kawę. Porucznika zdziwiło takie przyjmowanie „mordercy”, ale nie odezwał się. Szwed zapalił papierosa, wymówił się jednak od kawy.

— Pan pułkownik zapewne domyśla się, w jakim celu tutaj przyszedłem. Proszę mnie także traktować jak te małe mrówki z piramidy Chefrena. Ale nie tylko. Przyszedłem także, aby ratować własną głowę. Zdaję sobie jednak sprawę, że to, co powiem, wcale mnie nie uniewinni w waszych oczach. Ale zapewniam pana, że tym razem będę mówił całą prawdę.

— Słucham pana — podpułkownik spokojnie przyjął tę deklarację — poruczniku, proszę prowadzić protokół przesłuchania świadka.

— Zacznę od Sztokholmu. Wspominałem, że nasze małżeństwo z Gunhild było bardzo złe. Wina chyba leżała po obu stronach. Bogata dziedziczka milionowej fortuny kupiła sobie ładnego, ale biednego jak mysz kościelna chłopaka. Często też dawała mu do zrozumienia, że jest zależny od każdego jej kaprysu. A chłopak także nie myślał o miłości, lecz o zdobyciu pieniędzy i zrobieniu kariery. Rzeczywiście, zostałem generalnym dyrektorem wielkiego koncernu. Ale nadal nie mam nic. Testament starego Thorstena Berggrena zatrzasnął kasę pancerną przed moim nosem. Jeżeli wyleciałbym z tej posady, a to w

każdej chwili mógł sprawić kaprys Gunhild, zostając z powrotem niczym. Bo chociaż prowadzę ten koncern bardzo dobrze, podwoilem obroty, to jednak przy tych układach, jakie panują w Szwecji, żaden wielki przemysłowiec nie zaoferowałby mi jakiegokolwiek przyzwoitszego zajęcia. Byłbym po prostu człowiekiem wyrzuconym za burtę. Mógłbym najwyżej liczyć na jakąś posadę państwową i to niezbyt wysokiego szczebla. A przecież przez te minione lata przyzwyczailem się do pewnej stopy życiowej, posiadania i wydawania pieniędzy. A na dobitek zakochałem się.

Podpułkownik słuchał w milczeniu.

— Wyratować mnie z tej matni mógł jedynie rozwód i to z winy Gunhild. Ułożyłem więc plan podsunięcia jej jakiegoś przystojnego chłopaka, żeby się zakochała i zaczęła mnie zdradzać. Wtenczas straciłaby tę przewagę nade mną, jaką jej dawały akcje, którymi mogła rozporządzać. Nie traciłaby przynależnej do tych akcji dywidendy, ale głosami na walnym zebraniu akcjonariuszy to ja bym rozporządzał. Tak to chytrze przemyślał mój teść.

— Aż do pełnoletności syna?

— Aż do momentu, kiedy syn będzie zdolny i będzie chciał objąć zarząd koncernu. To jeszcze dość daleka przyszłość. Wybrałem Polskę, bo wiedziałem, że Polacy mają wielkie powodzenie u naszych dziewcząt. W ten sposób doszliśmy do Andrzeja Szaflara i mojego z nim układu. Jednakże przewodnik najwidoczniej uznał, że wystarczy mu te siedemset dolarów, które ode mnie dostał tytułem zadatku i wcale nie kwapił się z wykonaniem powierzonego mu zadania.

— A może po prostu zakochał się w Gunhild?

— Gdybym o tym wiedział, cała sprawa dałaby się rozwiązać za pomocą układów między nami. To byłoby najlepsze wyjście. Jaki byłem głupi, że o tym nie pomyślałem. Ale tego już się nie odwróci. To wszystko, co teraz powiedziałem, jest tłem do wydarzeń, jakie rozegrały się tamtego tragicznego wieczoru.

— Jak to było naprawdę?

— Jak zwykle Gunhild poszła tańczyć z Andrzejem. Wróciła i siedziała przez pewien czas przy stoliku. Potem Szaflar znowu się zjawił i znowu ją poprosił. Po skończonej muzyce żona nie powróciła. Kiedy znowu zagrali, także nie widziałem jej na parkiecie. Wtedy właśnie poszedłem do barku na drinka z Margaretą. Upłynęło co najmniej dwadzieścia minut, może pół godziny. Orkiestra zdażyła parę razy zagrać, a Gunhild ani Szaflara nie było widać. Pomyślałem, że jednak Polak spełnił obietnicę i zabrał Gunhild do swojego mieszkania. Zostawiłem Margaretę przy barku i zszedłem na dół, aby sprawdzić czy ich okrycia są w szatni. Znałem przecież kolorową kurtkę Szaflara i wiedziałem, gdzie wisi płaszcz żony. Kiedy znalazłem się w holu,

zobaczyłem Gunhild siedzącą na jednym z foteli.

— Samą czy z Andrzejem Szaflarem?

— Siedziała sama i wydawało mi się, że przed tym płakała, bo starannie wycierała oczy. Przy twarzy miała prawą rękę, w której trzymała chusteczkę. Od razu zauważyłem brak złotej bransoletki. Gunhild ten klejnot nosiła na prawej ręce, bo na lewej znajdował się zegarek.

— Pan rozmawiał z żoną?

— Podeszedłem do niej i zapytałem: „Gdzie twoja bransoletka? Zgubiłaś ją?” Ona spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie, że się przestraszyłem. Powiedziała:

„Wiem wszystko. Tyś mu płacił, aby był podły. Ja mu zapłaciłam, że jest taki szlachetny. A ze sobą porozmawiamy w Sztokholmie. Na najbliższym posiedzeniu rady nadzorczej koncernu”. We mnie jakby piorun strzelił. Na pewno w tamtej chwili życzyłem jej śmierci, ale przysięgam, nawet jej nie dotknąłem. A ona wstała z fotela, przeszła koło mnie jak gdybym był powietrzem i zeszła schodami na dół.

— Pan poszedł za nią?

— Nie. Stałem jak słup soli. Dobrze przecież zrozumiałem. To był mój koniec. Tylko się powiesić albo strzelić sobie w łeb. Doskonale znałem Gunhild i wiedziałem, że o jakimkolwiek porozumieniu z nią nie może być mowy. W radzie nadzorczej koncernu zasiadali poza Gunhild jej najbliżsi krewni, bo wszystkie akcje są w posiadaniu jednej rodziny. Stary Thorsten Berggren miał bezwzględną ich większość. Tymi głosami, każda akcja jeden głos, Gunhild mogła swobodnie rozporządzać. Tamci krewni, nie powiem, lubili mnie. Robiłem im najrozmaitsze grzeczności. Opłacałem całą ich służbę, ich samochody były na etacie koncernu. Wysyłałem ich za granicę jako reprezentantów firmy, aby mogli za darmo spędzać urlopy. Ale co z tego, że mnie lubili? Wiedziałem, że nikt otwarcie nie wystąpi w mojej obronie. Nikt nie będzie chciał narazić się Gunhild.

— Chyba pan jednak trochę przesadził z tą swoją katastrofą. Jako naczelny dyrektor miał pan bardzo wysokie pobory. Na pewno jakieś poważne oszczędności.

— Pobory nominalne były bardzo wysokie. To prawda. Ale podatki zabierały z tego przeszło siedemdziesiąt procent. A resztę wydawałem. Przyznaję, że to w mojej sytuacji było głupotą. Byłem zbyt pewny siebie. Spore pieniądze przegrałem w karty. Ruletka to także kosztowna zabawa. Nie jestem bez grosza. Ale tracąc moje stanowisko, nie mam żadnych perspektyw na przyszłość.

— Czy po Gunhild ktoś jeszcze zszedł na dół do toalet?

— Na pewno nie.

— Ani mężczyzna, ani kobieta? Niech pan sobie dobrze przypomni?

— Na pewno nikt. Przy szatni było sporo osób, które wyszły z kawiarni, ale na dół nie zeszła ani jedna z nich.

— A pan?

— Ja, kiedy wreszcie trochę oprzytomniałem po ciosie, jaki mnie spotkał, jak pijany poszedłem na górę. Kiedy wracałem do naszego stolika, zaczepił mnie jakiś Austriak, którego poznałem, bo także mieszkał w „Kasprowym”. Ale o czym rozmawialiśmy, nie pamiętam ani słowa. Dużo wysiłku kosztowało mnie zachowanie spokoju, aby nasze towarzystwo nie widziało, jak bardzo jestem zdenerwowany. Piłem koniak i kawę.

— Czy orkiestra wtedy grała, czy już poszła na kolację?

— Chyba przestała grać, kiedy usiadłem przy stoliku. Ale nie pamiętam. Byłem w takim stanie, że różne szczegóły po prostu nie trafiały do mojej świadomości. Niewiele jednak czasu upłynęło, kiedy Marek Daniec zerwał się nagle z miejsca i przetłumaczył, że jakaś dziewczyna krzyczy, iż w toalecie leży zamordowana kobieta. Ponieważ Gunhild nie wróciła do nas, pobiegliśmy na dół. Szatniarz nikogo nie dopuszczał do schodów. Wkrótce zjawiała się milicja z panem porucznikiem.

— Pan zszedł ze mną na dół — dodał porucznik.

— Tak. Przyznaję, że kiedy zobaczyłem Gunhild martwą na podłodze, nie wiedziałem, czy się martwić, czy też cieszyć. Ale przede wszystkim ogarnęło mnie przerażenie. Zrozumiałem, że prędzej czy później prowadzący śledztwo dogrzebią się do mojej sytuacji zarówno małżeńskiej, jak i finansowej. Jeżeli nie znajdą innego sprawcy, mnie postawią zarzut zamordowania żony.

— Pan sugerował milicji zbrodnię połączoną ze zrabowaniem złotej bransoletki. Przecież pan wiedział z ust żony, że ten klejnot podarowała Andrzejowi Szaflarowi.

— Tak. Przyznaję, że świadomie wprowadziłem władze śledcze w błąd. Chodziło mi o zyskanie na czasie. Żeby móc przemyśleć spokojnie, co robić dalej.

— I do czego pan doszedł?

— Że nie należy zmieniać tych zeznań. Niech milicja nadal szuka bransoletki i zabójcy.

— Pan się orientował, że w ten sposób pan rzuca podejrzenie na Andrzeja Szaflara.

— Byłem pewien, że potrafi on schować zarówno bransoletkę, jak i dolary tak, aby nikt ich nie potrafił znaleźć. Ale Szaflar okazał się zupełnym niezdara. Liczyłem także, że zdołamy wyjechać do Szwecji.

— Żeby uciec od polskiej milicji?

— Nie uważałem tego za ucieczkę. Przecież byłem człowiekiem niewinnym popełnienia tej zbrodni i tylko obawiałem się, że mnie oskarżą i skazą niewinnego, bo pozory przemawiały przeciwko mnie. Liczyłem się z aresztowaniem. Kiedy zobaczyłem w rękach pana pułkownika ten klejnot, byłem pewien, że przyjechaliście po mnie.

— Jest pan jednak na wolności.

— Gdyby udało mi się wyjechać do Szwecji, natychmiast poinformowałbym polską ambasadę, że Gunhild podarowała tę bransoletkę Andrzejowi Szaflarowi. Moim zdaniem Szaflar w ogóle był wolny od podejrzeń. Gdybyście nie znaleźli u niego tego klejnotu i gdyby tak głupio nie znikł z Zakopanego, nic nie moglibyście mu zrobić. Miał przecież alibi. W chwili śmierci Gunhild nie było go w lokalu. On sam postawił się w dwuznacznej sytuacji nie umiejąc schować biżuterii i pieniędzy, tak że wpadły w wasze ręce.

— Artykuł dwieście czterdziesty siódmy polskiego kodeksu karnego za fałszywe zeznania przewiduje karę pozbawienia wolności do lat pięciu. Był pan o tym uprzedzony, kiedy go przesłuchiwałem. A pomimo to świadomie wprowadzał pan nas w błąd. Pan podpisał te fałszywe zeznania.

— Jestem gotów ponieść konsekwencję mojego czynu. Także gotów jestem wynagrodzić panu Andrzejowi Szaflarowi te szkody materialne i moralne, jakie przeze mnie poniósł.

— Nie przypuszczam, aby Szaflar wniósł z tego tytułu jakieś pretensje. Mogę także pana pocieszyć, że sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wymierzenia, jeżeli świadek dobrowolnie sprostuje fałszywe zeznania przed rozstrzygnięciem sprawy, a tak właśnie pan uczynił.

— Dziękuję panu.

— Czy pana żona zawsze nosiła takie pantofelki na wysokich obcasach?

— Zawsze. Jak na Szwedkę była ona dość niska, chociaż u was uchodziłaby za osobę o średnim wzroście. Usiłowała to nadrobić obuwiem. Sprowadzała je sobie z Paryża, gdzie robiono te buty na zamówienie.

— Czy żona jeździła na nartach albo uprawiała jakieś inne sporty?

— Raczej nie. Nie ma wprawdzie Szweda, który by nie miał nart na nogach, ale od lat Gunhild tym się nie entuzjazmowała. Grała trochę w tenisa, bo to jest modne. Ale raczej chodziło jej o pokazanie się od czasu do czasu na kortach w wytwornym towarzystwie, niż o samą grę czy sport. Natomiast taniec był pasją jej życia. Kiedy widziałem, jak oni z tym Szaflarem tańczą, byłem pewien, że mój plan powiedzie się w stu procentach. A tymczasem sam spaskudziłem wszystko.

— No cóż — podsumował podpułkownik — sędzę, że na tym możemy skończyć to przesłuchanie.

— Przysięgam, że powiedziałem prawdę.

— W tym pokoju wielu ludzi przysięgało. I bardzo wielu fałszywie. Ale ja wierzę, że tym razem powiedział pan prawdę. Może nie całą, ale wyłącznie prawdę.

— Wiem. To, co powiedziałem, wcale nie wyjaśnia zagadki śmierci Gunhild. Ja na tej śmierci odniosłem korzyść. Moje zeznania obciążają mnie jeszcze bardziej niż poprzednie fałszywe twierdzenia. Pan pułkownik uwierzył w to, co zostało zapisane teraz w protokole, ale pan nadal nie wierzy, że nie jestem mordercą własnej żony.

— Przecież nie postawiłem panu pytania, czy pan się przyznaje do zabójstwa Gunhild Persson przez zadanie jej ciosu w prawą skroń, co spowodowało natychmiastowy zgon denatki. Gdybym nadal podejrzewał pana, a szczerze przyznaję, były takie momenty, to pytanie na pewno by tu padło.

— Pan mnie zaaresztuje?

— Nie. Po podpisaniu protokołu, który właśnie porucznik Motyka wykańcza, jest pan wolny i może pan już dzisiaj zamawiać na pojutrze bilety do Warszawy bądź od razu do Sztokholmu. Formalności związane z wydaniem ciała są także załatwione.

— Jesteśmy tu samochodami i nie ma potrzeby zamawiania biletów.

— Tym lepiej. Pozostaje zatem sprawa transportu zwłok. Ale pan Marek Daniec potrafi się z tym uporać.

— To może moglibyśmy wyjechać jutro? Mam kilka rozmów w Warszawie. Nawiązałem z waszymi przedstawicielami handlowymi obiecujące kontakty.

— Jutro niemożliwe. Jutro nastąpi zaareztowanie sprawcy zabójstwa. Ogromnie mi przykro, ale jeszcze was muszę zatrzymać. Dopiero pojutrze będziecie mogli wyjechać.

— Pan pułkownik go wypuścił? — dziwił się porucznik, kiedy za Szwedem zamknęły się drzwi.

— A co miałem z nim zrobić?

— Po tych jego zeznaniach nabrałem pewności, że on jest zabójcą. Po co czekać do jutra? Sam się podłożył. To jasne. Żona zeszła na dół do toalety. On polazł za nią. Zobaczył, że na dole nikogo nie ma i uderzył. Nie przeczę, mógł działać w uniesieniu. Mógł mieć w chwili popełniania zbrodni zmniejszoną poczytalność. To wszystko sąd rozpatrzy. Biegli będą się wymądrzali, adwokaci, a stać go na najlepszych w Polsce, będą go wybraniiali jak tylko można. Niemniej, to jest zabójca.

— Oj poruczniku, poruczniku — śmiał się podpułkownik — szkoda, że tu nigdzie nie ma młotka. Dałbym go wam, żebyście sobie tego Perssona wybili wreszcie z głowy. Tylko dlatego nie wiecie, kto zabił Gunhild, że ciągle sugerujecie się dyrektorem koncernu i tym, że na tej śmierci on skorzystał.

— Ja się zabiję! Pan pułkownik ciągle ze mnie żarty stroi.

— Wcale nie żartuję. Powtarzam, Rolf Persson nie jest najbardziej świetlaną postacią w Szwecji. Ta śmierć była dla niego ratunkiem. Ale on nie jest jej sprawcą.

— A kto?

Podpułkownik nie chciał jednak odpowiedzieć na to pytanie.

— Pan pułkownik wczoraj mówił o tym ciosie karate twierdząc, że to także klucz do rozwiązania zagadki. A tymczasem wszyscy, których mogliśmy podejrzewać o dokonanie tego morderstwa i także wszyscy inni świadkowie są praworęczni. Nie ma wśród nich ani jednego mańkuta.

— Właśnie w tym tkwi istota sprawy — pułkownik widział, że jego młodego pomocnika ciekawość aż pali, ale nie chciał mu ułatwić odgadnięcia zagadki.

— Doktor Świątek wyraźnie stwierdził, że cios karate musiał być zadany przez mańkuta. A przecież nasz lekarz zna się na tym. Sam jest karateką. Zresztą Sven Breman także potwierdził tę opinię. Wydaje się, że można im wierzyć bez zastrzeżeń.

— Jeśli chodzi o znajomość walki karate, na pewno.

— Im dalej, tym mniej rozumiem.

— Widzicie, poruczniku — podpułkownikowi zrobiło się żal młodego człowieka — protokół oględzin zwłok jest dokumentem urzędowym, sporządzonym przez biegłego, w naszym wypadku przez doktora Świątka. Tego dokumentu zakwestionować nie można.

— Dobrze znam to świadectwo.

— Myśmy go nie tylko nie zakwestionowali, ale poszliśmy dużo dalej. Przyjeliśmy za pewnik to, co doktor Świątek mówił, czego jednak nie napisał w swoim protokole.

— O czym nie napisał?

— Doktor Świątek zgodnie z przeprowadzoną sekcją zwłok stwierdził, że powodem śmierci Gunhild Persson było uderzenie w prawą skroń. Spowodowało ono złamanie kości ciemieniowej i natychmiastowy zgon.

— To jest w protokole.

— Tak. Ale doktor Świątek nigdzie nie napisał, że był to cios karate zadany przez mańkuta. Wyraził jedynie takie przypuszczenie jako znawca tej dyscypliny sportu, bądź tego sposobu walki. A myśmy to

wzięli za pewnik i wiele naszych wysiłków poświęciliśmy na szukanie karateki. Po prostu zasugerowaliśmy się słowami znanego nam, doskonałego lekarza i sportowca. A prowadzącemu śledztwo nie wolno się niczym sugerować.

— Pan pułkownik uważa, że to nie uderzenie karate zabiło Gunhild Persson? — porucznik był zupełnie zbity z tropu.

Kaczanowski nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Marek Daniec.

Rozdział XIII

Dobry sekretarz widzi wszystko

— Spodziewaliśmy się pana — podpułkownik powitał młodego człowieka. — Porucznik Motyka chciał się założyć, że pan przyjdzie pierwszy, bo spodziewamy się także i innych szwedzkich gości.

— No to porucznik wygrał — sekretarz najwidoczniej nie wiedział o tym, że przed nim gościł w tym pokoju generalny dyrektor koncernu.

— Przynajmniej nie będzie kłopotów ze sporządzaniem protokołu w języku angielskim.

— To prawda — zgodził się Marek Daniec — mówię dobrze po angielsku, ale z pisaniem mam kłopoty. Robię sporo błędów. A co do moich współtowarzyszy, sądzę, że zjawią się tutaj prawie w komplecie. Razem łgaliśmy, razem teraz musimy to odszczekiwać.

— Postawił pan sprawę bardzo jasno.

— Co tu ukrywać, kiedy pan pułkownik już nas rozszyfrował. Okrętonie, trzeba z niego wysiadać, póki czas.

Po krótkim spisaniu personaliów, Marek Daniec złożył następujące oświadczenie:

— Chciałbym uzupełnić i sprostować uprzednie zeznania. O niektórych faktach przypomniałem sobie dopiero później. Wtedy, kiedy byłem pierwszy raz przesłuchiwany, znajdowałem się jeszcze pod wpływem szoku spowodowanego tragiczną śmiercią żony mojego chlebowawcy.

„Bardzo sprytnie, pomyślał podpułkownik, ten młody człowiek zajdzie wysoko. Umie zręcznymi słowami zabezpieczyć się od zarzutu fałszywych zeznań.”

— Proszę, niech pan nam opowie szczegółowo, co panu wiadomo o tej sprawie.

— Mam zacząć od tego wieczora, kiedy pani Gunhild zginęła?

— Nie. Zacznijmy wcześniej. Jak doszło do przyjazdu do Zakopanego i jakie było tło tego przyjazdu?

— Pracuję u pana Perssona w charakterze jego sekretarza przeszło trzy lata. Jest ze mnie zadowolony, co znalazło swój wyraz w moich rosnących poborach. Miał także do mnie coraz większe zaufanie. Niejednokrotnie powierzał mi zadania, które normalnie znacznie przekraczały kompetencje sekretarza. Znałem oczywiście testament starego Berggrena i orientowałem się w stosunkach domowych mojego szefa.

— I pozadomowych? — dorzucił Kaczanowski.

— Pozadomowych także.

— Proszę, niech pan mówi.

— Pewnego dnia pan Persson zwrócił się do mnie z dziwną propozycją. Że jestem młody, znam na pewno sporo młodych ludzi. Chciał, abym mu wynalazł przystojnego chłopaka, który potrafiłby uwieść Gunhild. Wtedy z rozwodem nie będzie kłopotów. Plan był sprytny, ale wyraziłem zastrzeżenie, że na mniejscu, w Szwecji, na pewno się nie uda. Nigdy nie lubiłem specjalnie żony mojego pryncypała, ale nie mogłem jej odmówić pewnego sprytu i bystrości. Młody człowiek, nagle zjawiający się w ich towarzystwie i uderzający do Gunhild, byłby przez nią natychmiast rozszyfrowany. Zresztą Szwedzi nie potrafią uwodzić dziewczyn. W Skandynawii raczej one są stroną czynną.

— Tak powstał pomysł przyjazdu do Zakopanego?

— Uważałem, że takie spotkanie musi mieć charakter zupełnie przypadkowy. Oczywiście tym przypadkiem my byśmy kierowali. Zaproponowałem więc wyjazd do Zakopanego. Znam dobrze Zakopane, znam atmosferę, jaka tutaj panuje, no i znam Polaków. Przecież jestem Polakiem z obywatelstwem szwedzkim. Ani jedna kropla krwi Wikingów nie płynie w moich żyłach. Wiedziałem, że Polacy na pewno będą chętnie nadskakiwać przystojnej Szwedce. Właśnie tutaj w Zakopanem najłatwiej będzie znaleźć uwodziciela Gunhild. Pan Persson zaakceptował mój punkt widzenia i znaleźliśmy się pod Giewontem. Uważałem, że zdarzenia potoczą się normalnym torem. Gunhild zakocha się w jakimś Polaku. On może w niej także. Pieniądze, jakie ona posiadała, a pomimo testamentu ojca rozporządzała sporą prywatną fortuną, spadkiem po swojej matce, na pewno nie szkodzą moim planom. Tym bardziej, że Polacy mają w Szwecji opinię bardzo dobrych mężów a Polki żon.

— Więc pan...

— Najzwyczajniej — przerwał Marek Daniec — chciałem w Polsce wydać za mąż żonę mojego dyrektora. Uważałem, że to byłoby dla nich najlepsze i najmniej bolesne wyjście. Tak moralnie, jak i materialnie. Całą sprawę zepsuł sam Rolf Persson.

— Dlaczego?

— Zupełnie przypadkowo trafiłem na Andrzeja Szaflara. Zobaczyłem w Dolinie Kościeliskiej bardzo przystojnego przewodnika tatrzańskiego z grupką wczasowiczów. Postanowiłem sprawdzić, czy nie byłby on dobrym kandydatem do realizacji moich planów. Poprosiłem go o dołączenie naszej grupki do jego wycieczki. Zgodził się bez wahania. Tego samego dnia zasięgnąłem o nim opinii. Dowiedziałem się, że jest rozwiedziony, żyje samotnie, cieszy się dobrą

marką w całym Zakopanem. A na dodatek od razu spostrzegłem, że bardzo się spodobał pani Gunhild, a ona mu także.

Był co prawda o kilka lat od niej młodszy, ale to nie rzucało się w oczy. Zresztą, cóż to za przeszkoda dzisiaj?

— Czy pan mówił Szaflarowi o planach związanych z jego osobą?

— Naturalnie, że nie. Od razu bym go spłoszył. Sprawy układały się jak najlepiej. Już na trzeci dzień widać było, że Gunhild wpadła na dobre, a i Andrzej jest na najlepszej drodze do tego. Gdyby nie Persson, Gunhild by żyła i teraz byłby czas na rozwiązanie kwestii materialnych z korzyścią dla obojga rozwodzących się małżonków. To przecież było do załatwienia przy obopólnej zgodzie. Mojemu szefowi zależało jedynie na utrzymaniu się na swoim stanowisku. Do majątku po starym Berggrenie nie mógł rościć najmniejszych pretensji. A gdyby Gunhild mu odpaliła z milion koron, co dla niej nie było specjalnym problemem, czułby się najzupełniej szczęśliwy. A ona z Szaflarem na pewno tak samo. Ale Persson nie wytrzymał. Musiał się wtrącić.

— W jaki sposób?

— Jak każdy nowobogacki uważał, że pieniędzmi można załatwić wszystko. Umówił się z Szaflarem na poufną rozmowę. Zrobił to bez poradzenia się ze mną. Nigdy bym do tego nie dopuścił. W czasie tej rozmowy Persson po chamsku wyłożył kawę na ławę. Niech się Szaflar prześpi z jego żoną, on za to zapłaci dwa tysiące dolarów. Dał nawet zaliczkę siedemset dolarów. Kiedy pochwalił się przede mną swoimi posunięciami, aż się za głowę złapałem. Wiedziałem, że sprawa jest przegrana.

— Powiedział pan o tym szefowi?

— Jeszcze czego! — zdziwił się Marek Daniec. — U nas wytykanie błędów zwierzchnikowi jest niezdrowe. Można szybko rozstać się z posadą, a o drugą coraz trudniej. Robiłem więc dobrą minę do złej gry. Persson także wymyślił, że to ja sfotografuję tę parkę wchodzącą do domu, gdzie mieszka Andrzej Szaflar. Musiałem się na to zgodzić.

— Czy Persson obiecał panu coś za to?

— Mój szef jest zbyt sprytny, aby wyraźnie coś komuś konkretnego obiecać. W Sztokholmie, kiedy omawialiśmy całą sprawę, zapewnił mnie, że kiedy dostanie rozwód z winy żony, potrafi się odwdziżyć. Ale ta jego wdzięczność mogła się także wyrazić wręczeniem mi wypowiedzenia w ostatnim dniu miesiąca. Co prawda, w Warszawie, w czasie rozmów z waszymi przedstawicielstwami handlowymi, kiedy padł projekt założenia w Polsce składu konsygnacyjnego i oddziału koncernu, Persson zaznaczył, że jeśli pertraktacje skończą się pomyślnie, ja będę tutaj jego przedstawicielem. Ale jak na razie były to luźne orientacyjne rozmowy. Mieliśmy je kontynuować wracając z Zakopanego i później w Szwecji.

— Pan jednak rozmawiał z Szaflarem, kiedy on już otrzymał pieniądze od Perssona.

— Naturalnie. Dostałem od szefa polecenie wykonania zdjęć, musiałem się więc dowiadywać, kiedy je będę mógł zrobić.

— I co?

— Jak przewidywałem, kiedy Andrzej dowiedział się w jakie szambo chce go mój miły szefunio wpakować, natychmiast go odrzuciło od Gunhild. Chłopak miał jednak sporo długów i postanowił wykantować Perssona na tę sumę, jaką dostał tytułem zaliczki. Moim zdaniem miał stuprocentową rację. Ze świniami trzeba postępować po świńsku. Panie pułkowniku, proszę tego nie ujmować dosłownie w waszym protokole. W ogóle bardzo proszę o nie umieszczanie w nim moich opinii o dyrektorze.

— Dobrze — zgodził się Janusz Kaczanowski — zaprotokołujemy tylko podawane przez pana fakty.

— Szaflar przyjął prostą, ale dobrą taktykę. Udawał, że bardzo się stara zdobyć względy Gunhild, ale nie może przełamać jej oporu. Wiadomo, w tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Na wycieczkach zabawiał Gunhild rozmową, trochę z nią flirtował. Na dansingu w „Nosalu” obtańcowywał dziewczynę i ulatniał się. Sądzę, że pani Gunhild pojęła jego grę i dostosowała się do jej reguł. W ten sposób Andrzej na jakiegokolwiek zarzuty Perssona mógł zawsze powiedzieć „starałem się, ale nic z tego nie wyszło”. O zwrocie pieniędzy nie mogło być mowy. Zresztą mój szef na ten temat nawet by słówka nie pisnął, aby rzecz się nie wydała przed jego żoną. Wtedy Gunhild wyrzuciłaby Rolfa z posady na pierwszym zebraniu rady nadzorczej. Przecież rozporządzała tam bezwzględną większością głosów. Zresztą cóż to dla Perssona znaczyło te siedemset dolarów? I tak by je jakoś wpakował w koszta handlowe koncernu. Do takich finansowych machlojek na szkodę skarbu państwa on był niezastąpiony.

— Teraz proszę nam szczegółowo opowiedzieć — zażądał podpułkownik — jaki był przebieg tamtego tragicznego wieczoru w „Nosalu”?

— Jak zwykle przyjechaliśmy do lokalu gdzieś około godziny ósmej wieczorem. Jeździliśmy tam codziennie. To był pomysł pani Gunhild. Lubiała tańczyć i tam najwygodniej jej było spotykać się z Szaflarem. Stolik mieliśmy stale zarezerwowany. Kelnerzy czekali na zamówienia. Wiedzieli, że dostaną wysokie napiwki. Już nie bardzo pamiętam, co nam podano na kolację. Jakieś przekąski i chyba pstragi. Orkiestra grała. W czasie kolacji zjawił się Szaflar. Pan Persson zaprosił go do naszego stolika i częstował. Andrzej wymawiał się jak mógł, wreszcie wypił kieliszek koniaku. Kiedy muzyka znowu zaczęła grać, Persson natychmiast wypchnął żonę i Szaflara na parkiet. To było takie

niezręczne! Ślepy by się domyślił całej intrygi. Żeby zatuszować niedźwiedziowość szefa, natychmiast poprosiłem Margaretę, zaś Ostermanowie tańczyli ze sobą. Potem Szaflar odprowadził Gunhild na miejsce i gdzieś znikł. Ja chyba jeszcze raz czy dwa razy zatańczyłem z Inga Osterman, a później siedziałem przy stoliku.

— A inni?

— Gunhild nie tańczyła, najwidoczniej czekała na Szaflara, on zaś długo nie przychodził. Persson w ogóle nie lubi tańczyć, i tym razem nie zrobił wyjątku. Margareta dotrzymywała mu towarzysztwa. Pan Osterman także nie jest ani wybitnym tancerzem, ani specjalnym amatorem tego rodzaju zabawy.

— W jakim to się mniej więcej działo czasie?

— Od naszego przyścia, to jest około ósmej wieczorem aż do po dziewiątej. Potem Andrzej znowu się zjawił i poprosił panią Gunhild. W parę minut później mój szef zaproponował pani Andersson małą wyprawę do barku. Przy stoliku zostaliśmy we trójkę, Ostermanowie i ja. Kiedy muzycy zrobili krótką przerwę, pani Gunhild już nie wróciła do naszego stołu.

— A Persson i Margareta?

— Urzędowali w barku. Ponieważ siedziałem twarzą w tamtą stronę, to ich widziałem. Potem orkiestra znowu zagrała coś do tańca, ale Gunhild i Szaflara na parkiecie nie zauważyłem. Również, kiedy muzycy grali ostatnie utwory przed przerwą na kolację, tej pary tańczącej nie widziałem.

— A para przy barku?

— Tańczący mi ją zasłaniali. Zresztą nie zwracałem na nich uwagi, bo byłem zajęty rozmową z Ostermanami. Pani Inga Osterman jest bardzo sympatyczną kobietą. Bez pretensji i bez pozowania na milionerkę. Zupełne przeciwieństwo Gunhild, która lubiła się popisywać swoim bogactwem.

— Co było dalej?

— Na krótko przed przerwą zobaczyłem pana Perssona. Znajdował się niedaleko naszego stolika i rozmawiał z pewnym Austriakiem. Zamienił z nim parę słów i dosiadł się do nas. Persson był zdenerwowany. Nic nie mówiąc nalał sobie kolejno dwa pełne kieliszki koniaku i wychylił je jednym haustem. Potem także łapczywie wypił stojącą przy jego nakryciu już na wpół wystygłą kawę. Powiedział do mnie, że jest zmęczony i źle się czuje. Zaproponowałem, aby uregulować rachunek i wrócić do „Kasprowego”, ale on się na to nie zgodził i twierdził, że ten mały kryzys powinien zaraz przejść.

— Pani Andersson wróciła do stołu razem z Perssonem?

— Nie. Przyszła nieco później. Za jakieś trzy, cztery minuty. Trudno

mi określić dokładny czas, ponieważ tego nie sprawdzałem. Robiła wyrzuty. Perssonowi, że sam się ulotnił i zostawił ją w barku. Bardzo się tym drobnym incydentem zdenerwowała i nawet doszło do małej awantury. Aż pani Osterman musiała interweniować. Opowiadała, że ktoś ją siedzącą samotnie przy barku wziął za „dewizówkę” i zrobił jej niedwuznaczną propozycję. Byłem zdziwiony tym wybuchem, bo to raczej spokojna i opanowana dziewczyna. A tym bardziej nie powinna się narażać mojemu szefowi. Przecież ta cała sprawa rozwodowa wynikła przede wszystkim z jej powodu. Persson zupełnie zgłupiał na punkcie tej dziewczyny, a ona, jak to się mówi, „szła na całość”.

— Czy pani Gunhild wiedziała o tym?

— Może się domyślała. Ze zrozumiałych względów, ciągle ten testament i zależność Perssona od żony, bardzo się z tym kryli. Ja nie byłem wtajemniczony w sprawy tego układu. Tutaj w Zakopanem Persson udawał, że to lekki, niewinny flircik i tak to przyjmowaliśmy. Nigdy na ten temat nie było najmniejszych komentarzy czy żarcików.

— Co było dalej?

— Kiedy orkiestra przestała grać, usłyszeliśmy jak jakaś pani krzyczała na sali, że w toalecie leży zamordowana kobieta. Przetłumaczyłem te słowa na szwedzki. A że pani Gunhild nie było z nami co najmniej od pół godziny, powiedziałem, że pójde sprawdzic, co tam naprawdę się stało. Persson także wstał i poszedł ze mną. Wydaje mi się, że nie był zbyt zaskoczony tym wypadkiem. Mniej się zdenerwował śmiercią żony, niż można się było tego spodziewać. Kiedy przyszedł z barku, był w znacznie gorszym stanie.

— Tak pan myśli?

— Ja nic nie myślę — odpowiedział Marek Daniec — ja tylko odpowiadam na pytanie pana pułkownika, jaki był przebieg tamtego wieczoru. Nie będę przecież oskarżał swojego szefa o zamordowanie żony.

— Jak to się stało — zapytał Kaczanowski — że wasze pierwsze zeznania brzmiały prawie jednomyślnie. Twierdziliście, że co najmniej na pół godziny przed wykryciem zbrodni siedzieliście w piątce przy stoliku?

— Pan porucznik tamtego wieczoru spisał nasze personalia i polecił nam przyjść do komendy następnego dnia. Ktoś z nas, nie pamiętam już kto, ale chyba Ragnar Osterman zauważył, że najlepiej będzie właśnie w ten sposób opowiadać całą historię. Oszczędzi to nam nie kończącej się serii przesłuchań i wyjaśnień. Zresztą ta wersja nie różniła się zbyt wiele od prawdy. Nasza trójka, ja i Ostermanowie, siedzieliśmy cały czas przy stole, zaś Persson i Margareta także byli na sali przy barku i wrócili przed wypadkiem.

— Raczej przed wykryciem zabójstwa — poprawił podpułkownik —

tak będzie ściślej. Ani pan, ani my nie wiemy dokładnie, o której godzinie zginęła pani Gunhild.

— Właśnie to miałem na myśli — zgodził się Marek Daniec.

— Czy prowadziliście jakieś dyskusje na ten temat?

— Nie. Po prostu przy śniadaniu ktoś powiedział: „W czasie przesłuchania najlepiej mówić, że siedzieliśmy przy stoliku przez ostatnie pół godziny”. Nikt nie zaprotestował i tak już zostało. Ale nie mogę na pewno stwierdzić, że to był Osterman. Wiem tylko, że z taką inicjatywą nie wystąpił mój zwierzchnik.

Marek Daniec podpisał protokół i opuścił pokój.

— To wyraźna zмова o złożeniu fałszywych zeznań. Można za to pociągnąć do odpowiedzialności. Drogo ich to może kosztować.

— O tym to już będzie decydował prokurator. Jak na razie, te ich małe matactwa nie zaszkodziły specjalnie śledztwu. A że teraz je prostują, więc zbytek szkody nie ponieśliśmy.

— Zeznania Marka Dańca obciążają Rolfa Perssona.

— To prawda — zgodził się podpułkownik.

— To już nie poszlaki, ale wyraźny dowód, że Persson jest mordercą. Zostawił Margaretę przy barku, sam zeszedł na dół i zabił Gunhild. To się doskonale zgadza z czasem zbrodni.

— Znowu muszę was poprawić — podpułkownik bawił się zapalczywością swojego pomocnika — to zaledwie poszlaka. Poważna, ale poszlaka. A drugi błąd, ciągle pan używa słowa „morderstwo”. Nasz kodeks karny zna tylko pojęcie „zabójstwo”. Natomiast nasz język potoczny odróżnia aż dwa pojęcia: morderstwo to zawsze zbrodnia umyślna, a zabójstwo może być i nieumyślne. Kierowca, który wpadł na przechodnia i zabił go, jest zabójcą, ale nie mordercą, bo nie chciał tego człowieka zabić.

— Tutaj to rozróżnienie jest niepotrzebne. Na pewno mamy do czynienia z morderstwem. A nasze śledztwo coraz wyraźniej wskazuje na jego sprawcę.

— A ja jestem tego coraz mniej pewien i mogę to po przesłuchaniu Marka Dańca wyraźnie stwierdzić. Te zeznania dostarczyły mi nowych dowodów. Dotychczas wiedziałem, kto zabił Gunhild Persson, teraz mam już wprawdzie nie dowód, ale bardzo poważną poszlakę. No, ale zaczekajmy na resztę naszych „klientów”. Mam nadzieję, że ich zeznania wyjaśnią sprawę ostatecznie.

Rozdział XIV

Jedna mała mrówka faraona

Inga Osterman zjawiała się w komendzie miejskiej MO dobrze po godzinie dwunastej. Szwedka nie wykazywała ani zdenerwowania, ani przestachu. Spokojnie wysłuchiwała pouczeń podpułkownika, że za fałszywe zeznania grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności i jeszcze spokojniej przyznała, że na poprzednich przesłuchaniach nie powiedziała prawdy.

— Dlaczego?

— To są bardzo skomplikowane powody.

— Może jednak pani je nam wyjaśni.

— Zacznę od tego, że niezbyt lubiłam Gunhild Persson i specjalnie nie zależało mi na zdemaskowaniu jej zabójcy. Ja jestem kobietą prostą. Mój ojciec był kolejarzem, a później, kiedy w Sztokholmie uruchomili pierwszą linię metra, tam się przeniósł do pracy. Po skończeniu szkoły pracowałam jako skromna urzędniczka na poczcie i wcale nie marzyłam o zrobieniu wielkiej kariery. Jeszcze w szkole jedna z koleżanek namówiła mnie do pójścia do klubu wiosłarskiego. Przez kilka lat uprawiałam ten sport. Wiosłowałam na dwójce podwójnej i tam poznałam mojego przyszłego męża Ragnara Ostermana, który był członkiem zarządu klubu. Początkowo w ogóle nie wiedziałam, że rodzina Ostermanów jest właścicielami stalowni. Jesteśmy dużo ubożsi od Berggrenów. Nie należymy do biedaków, ale z fortuną takich rodzin jak między innymi Berggrenowie nie możemy się równać. Ta huta stali nie jest zbyt wielkim zakładem. Akcje są częściowo w posiadaniu rodziny Ostermanów, a częściowo w obcych rękach. Mąż ma zaledwie około piętnastu procent tych akcji. Na dobitkę recesja panująca w Europie najostrzej bodaj uderzyła w przemysł hutniczy, który dzisiaj pracuje najwyżej dwiema trzecimi swoich mocy. Tak samo jest i u nas. Produkujemy stale wysokogatunkowe i nierdzewne. Naszym głównym odbiorcą jest koncern „Szwedzkie Zakłady Łożysk Kulkowych”, w którym wielkorządcą jest Rolf Persson. Dlatego nie w naszym interesie leży pogarszanie stosunków z generalnym dyrektorem koncernu.

— To jednak w niczym nie usprawiedliwia składania fałszywych zeznań.

— Zdaję sobie z tego sprawę — pogodnie przyznała pani Inga — ale początkowo nie wyglądało to tak groźnie. Wiedzieliśmy, że zamordowanej Gunhild zrabowano bransoletkę. A więc mordercą był

jakiś złodziej. Na pewno nikt z nas, Szwedów. Twierdzenie, że razem siedzieliśmy przy stole przez ostatnie pół godziny nie miało na celu ukrywania przestępcy, a jedynie ułatwienie sobie życia i oszczędzenia fatygi ciągłych przesłuchań oraz wyjaśnień. Dopiero później, kiedy zobaczyłam w rękach pana pułkownika tę ohydną bransoletkę, zrozumiałam, że sprawa jest znacznie groźniejsza niż mi się wydawało. Wszyscy milczeli, to i ja milczałam. Tym razem już z jasnych powodów, aby się nie narazić Rolfowi. Kiedy jednak wysłuchałam pańskiego ciekawego wykładu o zwyczajach mrówek faraona i kiedy przekonałam się, że milicja wie o wiele więcej, niż to nam się zdaje, wtedy zdecydowałam się. Jedna mała mrówka faraona postanowiła opuścić dom, w który jutro ma trafić piorun.

— Słucham panią.

— Jak już zaznaczyłam, nie lubiłam specjalnie pani Gunhild. Nie przepadałam także za Rolfem. Ja się nie sprzedawałam dla pieniędzy. Zakochałam się w Ragnarze, jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, wychowujemy naszych dwóch synów. Nie obwieszam się biżuterią jak bożenarodzeniowa choinka. Musimy z Perssonami utrzymywać dobre stosunki i na tym koniec. Ostatecznie taką samą stal, jak nasza, on może kupić gdzie indziej. Kiedy Rolf zwrócił się do męża, aby ten przyjął na sekretarkę Margaretę Andersson, Ragnar nie mógł odmówić. Także musiał się zgodzić na wspólny wypad do Zakopanego i na zabranie z nami właśnie Margot. Zresztą muszę przyznać, że Tatry są przepiękne i nasz pobyt tutaj był przyjemny. Dużo chodziliśmy w góry. Oboje z mężem staramy się zachować resztki naszej dawnej formy sportowej. Nie uszło naszej uwagi, że Gunhild spodobał się ten polski przewodnik. Zresztą miły i przystojny mężczyzna. Zauważyliśmy także, że Rolfowi odpowiada taka sytuacja. Wiedzieliśmy dlaczego. Testament Thorstena Berggrena nie był i dla nas tajemnicą. Tak to wyglądało aż do tego tragicznego wieczoru.

— To nas najbardziej interesuje.

— Siedzieliśmy przy stole we trójkę. My z Markiem. Gunhild poszła tańczyć z Szaflarem i do stolika nie wróciła. Rolf wraz z Margaretą powędrowali do barku. Rolf lubił whisky, której z naszego towarzystwa nikt nie pił, a którą mógł dostać w barku. Mąż mój nie pali, ja palę mało, ale właśnie miałam ochotę na papierosa. Niestety, zapomniałam swoich w „Kasprowym”. Wstałam od stolika i poszłam na dół, aby kupić paczkę od szatniarza.

— Kiedy to było?

— Tak się złożyło, że akurat spojrzałam na zegarek, zanim wstałam od stolika. Była równo za piętnaście minut dziesiąta.

— Czy orkiestra wtedy grała?

— Tak. Grała. Musiałam obchodzić parkiet naokoło.

— Zauważyła pani Perssona i Margaretę przy barku?

— Na wysokim stolku przed barkiem siedziała Margareta Andersson. Rolf tam nie było. Natomiast zobaczyłam go w holu. Na fotelu siedziała Gunhild, a on stał przed nią. Tyłem do mnie przechodzącej. Po minie Gunhild widziałam, że musieli się znowu kłócić. Usłyszałam jak Gunhild mówiła do męża „zapłaciłam mu za jego szlachetność” czy coś podobnego.

— A dalej?

— Nie obchodziły mnie ich kłótnie. Tam do nieporozumień dochodziło prawie codziennie. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać ich rozmowy. Przypadkowo usłyszałam jedno zdanie, bo musiałam koło nich przejść. Nie zauważyli mnie. Podeszłam do szatniarza, wzięłam paczkę papierosów i wtedy widziałam, jak Margot właśnie schodzi w dół do toalety. Z papierosami wróciłam na górę, Marek i mój mąż tak byli pochłonięci rozmową o wynikach ostatnich wyborów do Rigstagu, że nawet nie zauważyli mojej krótkiej nieobecności.

— Co było dalej?

— Po kilku minutach wrócił Rolf Persson. Był bardzo zdenerwowany. Pił koniak kieliszek za kieliszkiem i nie odzywał się do nikogo. Niedługo po nim przyszła i Margot. Zrobiła Rolfowi awanturę, że ją samą zostawił przy barze. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego jest taka zdenerwowana. Persson słuchał tych wymówek i w ogóle się do niej nie odzywał. Jakby niczego nie słyszał i nikogo nie widział. Zaraz potem Marek nam przetłumaczył, że jakaś kobieta leży zamordowana w toalecie. Marek z Perssonem tam poszli.

— To wszystko?

— Początkowo pod wpływem szoku wywołanego wiadomością o śmierci Gunhild zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z wagi moich spostrzeżeń. Zresztą myślałam, że to jest morderstwo rabunkowe. Już to panu pułkownikowi wyjaśniłam.

— A potem?

— A później milczałam świadomie. Powiedziałam przecież, dlaczego nie możemy się narażać Perssonowi.

— Ukrywała pani zabójcę.

— Dzisiaj widzę to wyraźnie. Wtedy miałam pewne złudzenia.

— Kto z was zaproponował, abyście zapewnili sobie nawzajem alibi?

— To Ragnar się z tym wyrwał. A poparł go Marek Daniec. Ale wtedy myśleliśmy, że Gunhild zginęła z powodu tej bransoletki.

— Nie wszyscy tak myśleli. Byli wśród was przecież i tacy, którzy znali całą prawdę lub choćby jej część.

— Ale ani ja, ani Ragnar tej prawdy nie znaleźliśmy. Wtedy nie mieliśmy intencji ukrywania kogoś spośród nas.

— To przyszło dopiero później.

— Ragnar, kiedy usłyszał od pana pułkownika, że bransoletka się odnalazła i że nie ona była przyczyną śmierci Gunhild przypuszczał, że zabójcą jest Persson. Rozmawiał ze mną na ten temat i radził się, jak postąpić. Czy nie przyjść do was i podzielić się swoimi wątpliwościami. Ponieważ ja wiedziałam więcej, poradziłam mu, aby milczał, bo Rolfowi niczego nie udowodnią, a my się jemu śmiertelnie narazimy. Przekonałam go.

— To bardzo ładnie z pani strony — uśmiechnął się podpułkownik — że pani usiłuje wziąć całą winę na siebie.

— Po prostu on nie widział Margarety schodzącej na dół do toalety.

— Czy Persson mógł ją zobaczyć?

— Nie. Przecież stał tyłem do szatni, a schody na dół są tuż przy szatni.

— A pani Gunhild?

— Ona by mogła widzieć. Ale tak była zajęta kłótnią, że i mnie nie zauważyła, chociaż przeszłam koło niej o najwyżej półtora metra. Szafka z papierosami znajduje się po przeciwnej stronie szatni niż schody. Właśnie bliżej tej części holu siedziała Gunhild. Mogłabym nawet wskazać, na którym fotelu.

— To raczej nie będzie potrzebne.

— Co pan teraz robi z małą mrówką faraona? — Inga Osterman nie traciła rezonu.

— W ogóle nie wiem, co z wami zrobić?

— Jutro pan aresztuje zabójcę Gunhild Persson?

— To jest mój obowiązek. Powiedziałem wam to już wczoraj.

— Mnie też?

— Chyba nie będzie tak źle — uśmiechnął się podpułkownik — wprawdzie pani na to całkowicie zasłużyła. Ale porozumiem się z prokuratorem i może uda mi się przekonać go, że pani wyraziła skruchę i naprawiła swoje winy. A przede wszystkim złożyła pani bardzo ważne zeznania. Rozstrzygające o wynikach śledztwa. Mówią, że skrucza przebija niebiosą. Może więc znajdzie łaskę i wybaczenie także w prokuraturze. Pani zeznania mają tak wielką wagę, że prokurator będzie chciał ją osobiście przesłuchać.

— Powtórzę jedynie to, co tu dzisiaj powiedziałam. Mówiłam szczerą prawdę. Nic już nie ukryłam. Mogę na to przysiąc. To samo powtórzę, jeśli będzie potrzeba i w sądzie.

— Przesłuchiwałem was wszystkich — wyjaśnił podpułkownik — w języku angielskim. Także protokoły milicyjne zostały sporządzone po angielsku i przetłumaczone następnie na polski. To jest pewna nieformalność, bo przepisy wymagają wezwania tłumacza przy

przesłuchiwaniu osoby nie władającej polskim. Takiego tłumacza z języka szwedzkiego w Zakopanem nie ma. Ale kiedy będziecie zeznawali u prokuratora, wtedy cała procedura odbędzie się zgodnie z artykułem 159 kodeksu postępowania karnego.

— Nie mam żadnych zastrzeżeń, co do sposobu przesłuchania mnie — stwierdziła pani Osterman.

— Poruczniku, skończyliście pisać protokół?

— Już kończę.

— A nie narobiliście zbyt dużo błędów w pisowni angielskiej?

— Chyba nie. Jeszcze w szkole zawsze byłem silniejszy w pisaniu niż w mowie.

— No to przeczytajcie nam, coście tam uwiecznili. A potem niech pani Osterman sama przestudiuje i podpisze, i na końcu, i na dole każdej strony.

— Czy jestem wolna?

— Tak jest. Do widzenia pani i dziękujemy za ważne zeznania.

— A zatem Margareta! — zawołał porucznik ledwie za Szwedką zamknęły się drzwi. — Jak ona zręcznie się maskowała.

— Maskowała?

— Niczym nigdy się nie zdradziła, że jest leworęczna. Obserwowałem ją uważnie, bo i mnie czasami nachodziły wątpliwości, że jeżeli nie Persson, to jeszcze tylko ona miała interes w usunięciu Gunhild z grona żywych. Ale że ona zna karate, tego nawet „król reporterów” nie przewidział, chociaż tak się przechwalał, że wszystko wie o naszych Szwedach. U nas w Polsce kobiety podobno uprawiają judo, ale żeby karate? O tym nigdy nie słyszałem.

— Ona na pewno nie zna karate — stwierdził krótko podpułkownik.

— Więc to nie ona zabiła Gunhild?

Janusz Kaczanowski nie zdążył odpowiedzieć, kiedy do pokoju wszedł Sven Breman z nieodłącznym niedopałkiem papierosa w ustach. Jak zwykle nie przywitał się z obecnymi w gabinecie, lecz z daleka kiwnął im ręką.

— Winszuję, pułkowniku. Widzę, że moi rodacy stoją w ogonku, aby zeznać prawdę. Musiał pan im dać dobrą nauczkę. Siedziałem w swoim pokoju i obserwowałem w jakiej kolejności tutaj się zjawiali. I czy wszyscy wychodzą z tego budynku. Przyznam się, że widok Perssona opuszczającego komendę trochę mnie zdziwił. Było już trzy osoby i tyleż ich stąd wyszło. Stąd wniosek, że zabójca jeszcze nie przyszedł.

— Mam nadzieję, że jednak przyjdzie. Życzę mu tego z całego serca.

— Ale pan przed tym wiedział, kim on jest. Prawda?

— Tak, wiedziałem.

— Kolorowa fotografia? Ta, której jedną odbitkę pułkownik mi łaskawie podarował. Czy tak?

— Przed panem nic się nie ukryje — w głosie podpułkownika słychać było szczere uznanie.

— A jednak popełniłem poważny błąd. Aż do wczoraj byłem przekonany, że to Persson. Ten zsunięty ze stopy pantofelek uszedł mojej uwagi.

— Persson doskonale pasował do tej zbrodni. Ta śmierć wybawiała go z bardzo poważnych kłopotów. I zjawiała się jak na jego zawołanie. Ja także długo uważałem go za kandydata na ławę oskarżonych. Tego samego zdania był także i mój pomocnik. W końcu jednak rozwiązanie całej sprawy okazało się zupełnie inne. Długo błądziliśmy po omacku. Że wyszliśmy z mroku, to między innymi zasługa porucznika Motyki, który pierwszy spostrzegł, że zeznania pańskich rodaków są zbyt piękne, aby mogły być prawdziwe. Ale i pan, redaktorze, także przyezynił się dozamącenia obrazu.

— Przyznaję — roześmiał się dziennikarz — moja wina. Ja sam także tym sobie zaszkodziłem. Nieraz pewnych faktów nie można tłumaczyć w najprostszy sposób. Nawet jeśli się jest niezłym karateką. Jutro pan zaaresztuje zabójcę?

— Jeśli dziś nie przyjdzie.

— Jutro nadam sensację, która wstrząśnie Sztokholmem. A może nawet zdąży dzisiaj? Idę do swojego pokoju hotelowego, aby przez okno obserwować wejście do komendy milicji. Trochę mi żal tej dziewczyny.

— Mnie też.

— Wasze prawa są bardziej surowe niż szwedzkie. W Sztokholmie udałoby się jej wykręcić jakimś małym wyrokiem.

— Nasz sąd na pewno nie będzie okrutny, a jedynie sprawiedliwy.

— Persson stanie na głowie, aby dziewczynie zapewnić jak najlepszą obronę.

— Przypuszczam. Sprawa jednak nie jest zbyt skomplikowana i sądzę, że wyrok nie będzie surowy.

— Będzie aresztowana?

— My, milicja, tylko ją zatrzymamy. Postanowienie o tymczasowym aresztowaniu wydaje prokurator po osobistym przesłuchaniu podejrzanego.

Szwed machnął ręką.

— Wasze przepisy postępowania karnego niewiele mnie obchodzą. Wiem też, że formalnie wszystko będzie w porządku. Tylko mówię, że mi jej żal. No, ale idę do hotelu na swój punkt obserwacyjny. Chciałbym móc jutro wyjechać. Czekają na mnie inne, także ciekawe sprawy.

Rozdział XV

Który kończy historię wycieczki ze Sztokholmu

Mijały godziny. Nikt więcej w pokoju oficerów milicji się nie zjawiał. Porucznik Stanisław Motyka tęsknie spoglądał na zegarek. Podpułkownik Kaczanowski spokojnie przeglądał i porządkował akta sprawy przygotowując je do przekazania prokuratorowi.

— Nie ma jej — zauważył porucznik — już nie przyjdzie.

— Powiedziałem wczoraj, że będę czekał cały dzisiejszy dzień. A jutro dokonam zatrzymania podejrzanego. Poczekam choćby do wieczora. Ale wy, poruczniku, możecie spokojnie iść na obiad. Nie ma sensu, abyśmy tu obaj głodni trzymali wartę.

— W takim razie pójdę, zjem coś i przyniosę także panu pułkownikowi.

Porucznik wyszedł, zdążył wrócić, Kaczanowski także zdążył zjeść posiłek przyniesiony mu przez usłużnego kolegę i nadal we dwóch czekali, chociaż podpułkownika zaczęły ogarniać wątpliwości.

— Szkoda — powiedział — dałem jej szansę. Niestety, nie chciała z niej skorzystać. A przecież mogłem ją zatrzymać już dwa dni wcześniej, chciałem mieć stuprocentową pewność, że się nie mylę.

— Może uciekła? — zmartwił się porucznik.

— Na pewno nie. Zdaje sobie chyba sprawę z beznadziejności takiego kroku.

— Granica blisko. W górach łatwo ją przekroczyć.

— Żeby natychmiast być złapanym przez władze czechosłowackie? Bez wizy, bez znajomości słowackiego czy czeskiego taka ucieczka nie ma najmniejszych szans powodzenia. Już raczej bałbym się próby samobójstwa, ale i to wykluczam. To twarda dziewczyna. Zresztą na pewno dobrze się orientuje, że zbyt wysoka kara jej nie grozi.

Dopiero przed samą czwartą po południu rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i do pokoju weszła Margareta Andersson.

— Przyszłam — powiedziała — dużo mnie to kształowało. Nie mogłam się na to zdobyć.

— Naprawdę bardzo dobrze pani zrobiła — zapewnił podpułkownik dziewczynę — jestem zadowolony, że zdobyła się pani na ten krok.

— Wiem, że trzeba to było zrobić od razu w tamten wieczór, ale zabrakło mi odwagi. Gdybyście kogokolwiek oskarżyli o tę zbrodnię, natychmiast bym się przyznała. Nikt by przeze mnie nie cierpiał. Bałam się przyznać i łudziłam się, że nigdy nie dojdziecie do

znalezienia winnego śmierci Gunhild, ale ja jej nie chciałam zabić.

— Wiem o tym i wierzę pani. Proszę, niech pani usiądzie. Może papierosa albo kawy? Rozumiem doskonale, że niełatwa to była decyzja, ale najgorsze ma pani za sobą. Proszę się uspokoić i szczerze nam opowiedzieć przebieg zdarzeń.

Margareta Andersson zaciągnęła się parę razy podanym jej papierosem i spokojnym głosem rozpoczęła swoje zeznania. Podała personalia i wyjaśniała:

— Pan pułkownik na pewno wie, że ja i Rolf Persson...

— Tak, wiem.

— To nic, że dużo starszy. Jego małżeństwo z Gunhild było od samego początku pomyłką. Kochałabym go nawet, gdyby był biedny.

Kaczanowski nie przerywał, chociaż nie wierzył w prawdziwość tych słów dziewczyny.

— Rolf nie mógł się rozwieść. W Szwecji otrzymanie rozwodu nie jest specjalnym problemem, jak gdzie indziej. Na przeszkodzie stał jednak testament ojca Gunhild. W wypadku rozwodu Rolf tracił wszystko. Toteż ułożył sobie, aby właśnie Gunhild była winną rozbicia małżeństwa. Mnie to nie podobało się od samego początku. Ten przewodnik jest bardzo sympatyczny i naprawdę wydawał się zakochany w Gunhild. Trzeba było pozostawić sprawę jej naturalnemu biegowi. Andrzej bardzo się Gunhild podobał. Tylko z nim tańczyła i rozmawiała. Ale Rolfowi było za pilno i wszystko zepsuł. Kiedy mi powiedział, że przyrzekł za to Szaflarowi dwa tysiące dolarów wiedziałam, że historia skończy się możliwie najgorzej dla nas. I tak się też stało, chociaż Rolf aż do końca łudził się, że postąpił dobrze.

— Jak to było tamtego wieczoru? — podpułkownik zadał tradycyjne pytanie.

— Jak zwykle. Przyjechaliśmy do restauracji, jedliśmy kolację, Gunhild tańczyła z Andrzejem. W pewnym momencie Rolfowi zachciało się whisky i poszliśmy do barku. Siedzieliśmy tam chyba z pół godziny. Może trochę krócej. Orkiestra parę razy zagrała, ludzie tańczyli. Gunhild nadal tańczyła z Andrzejem.

— Bardzo proszę, niech pani trochę wolniej mówi — odezwał się porucznik — nie nadażam z protokołowaniem. Niech pani powtórzy ostatnie zdanie.

— Gunhild nadal tańczyła z Andrzejem. Persson obserwował ich i w pewnym momencie zauważył, że wyszli z sali.

— W czasie kiedy orkiestra grała?

— Nie wiem. Ja na nich nie patrzyłam. W pewnym momencie Persson powiedział „Nie ma ich. Pójdę zobaczyć. Pewnie on ją teraz zabrał do siebie. Sprawdzę, czy płaszcz Gunhild jest w szatni. Zaczekaj

tu na mnie”. Siedziałam przez jakieś pięć minut, a może i dłużej. Jakiś pijany zaczął się do mnie przystawiać. Postanowiłam wrócić do stolika. Zapłaciłam za dwie whisky Rolfa i mój sok pomarańczowy. Ale nie wróciłam od razu do naszego stolika, lecz poszłam do toalety.

— Nikogo pani w holu nie zauważyła?

— Widziałam Rolfa i Gunhild. Ona siedziała, on stał przed nią, a sądząc z jej miny i gestów po prostu kłócili się.

— Widzieli panią?

— Chyba nie. Rolf stał do mnie tyłem. Ona zaś coś gwałtownie mówiła do niego.

— Nikogo innego pani tam nie widziała?

— Przy szatni było sporo ludzi, którzy odbierali swoje okrycia. Nikogo z nich nie znałam. Pewnie wyszli z kawiarni, którą zamykają wcześniej. Zeszłam na dół i zamknęłam się w kabinie. Kiedy ją opuściłam, zobaczyłam Gunhild stojącą przed umywalnią. Poprawiała sobie włosy, czy też malowała wargi. Ona także mnie zobaczyła. Odwróciła się i zaczęła krzyczeć „Ty mała źmijo! Nie udało ci się. Skończyły się twoje intrygi. Wiem już wszystko. Dostaniesz swojego Rolfa. Będziesz go utrzymywać. Bo ja się postaram, aby z głodu zdychał. A ciebie także Ragnar na zbitą twarz wyrzuci. Na moje żądanie”. Jeszcze coś wykrzykiwała, ale nie mogę powtórzyć. Była purpurowa z wściekłości. Podeszła do mnie blisko i chciała mnie uderzyć. Odepchnęłam ją. Ona nosiła pantofle na wysokich obcasach, cienkich jak szpileczki. Potknęła się na tych wysokich obcasach. Jedna stopa zsunęła jej się z pantofla. Przez chwilę usiłowała złapać równowagę. Próbowała chwycić się umywalki, ale śliska emalia wysunęła się jej z ręki i Gunhild padając uderzyła głową o kant tej umywalki. To było straszne. Leżała na kafelkach posadzki z szeroko otwartymi oczyma i wcale się nie ruszała. Pochyliłam się nad nią. Potem ją dotknęłam. Nie miałam wątpliwości. Gunhild nie żyła, a ja ją zabiłam. Nie wiem, dlaczego nie zemdlałam i nie padłam nieprzytomna koło niej.

Margot wyjęła chusteczkę i otarła oczy. Te łzy, podpułkownik to zauważył, były prawdziwe.

— Jakoś się opanowałam —mówiła dziewczyna — ale nie wiedziałam, co robić? Zupełnie straciłam głowę. Zdawało mi się, że ktoś schodzi ze schodów. Szybko wybiegłam z toalety. Na schodach nie było nikogo. Weszłam do holu i starałam się iść jak najspokojniej. Zdawało mi się, że każdy na mnie patrzy. Jakoś jednak przebyłam całą tę drogę przez mękę i dotarłam do naszego stołu. Mój cały strach zamienił się we wściekłość na Perssona. Gdyby nie jego głupota, nie doszłoby do tragedii. Gdyby nie zostawił mnie przy barku, także nie zdarzyło by się to nieszczęście. Zrobiłam mu piekielną awanturę. On

nie odezwał się ani słowem. Dopiero pani Osterman interweniowała i próbowała mnie uspokoić. Ale czy ja mogłam być spokojna? A potem znowu przeżywałam straszne chwile, kiedy odnaleziono Gunhild martwą. Przyszła milicja, rozpoczęło się śledztwo. Wtedy powinnam była się przyznać, ale stchórzyłam. To jest moja największa wina. Bo przecież nie chciałam śmierci Gunhild.

— Czy o tym wypadku pani rozmawiała z kimkolwiek?

— Nie. Rolfowi nie powiedziałam ani słowa, a on się niczego nie domyślał. Ogromnie się bał, że pan pułkownik jego zaaresztuje pod zarzutem tego przestępstwa. Sądzę, że Inga Osterman czegoś się domyślała. Dała mi to do zrozumienia pewnymi półsłówkami. Dzisiaj przy obiedzie pytała mnie, czy już byłam na milicji, czy też wolę zaczekać do jutra? Odpowiedziałam jej, że chcę jeszcze zjeść jeden dobry obiad, zanim do was przyjdę. Inga jest miłą dziewczyną i nie mówiła tego przez złośliwość, ale z chęcią zdopingowania mnie do kroku, który powinien być zrobiony dużo wcześniej.

— Dobrze, że chociaż dzisiaj pani przyszła. Lepiej późno niż wcale.

— Co mi grozi?

— Polskie prawo karne przewiduje za nieumyślne zabójstwo karę pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do pięciu lat. Jeżeli więc pani powiedziała prawdę...

— Nie skłamałam ani słowa! — gwałtownie przerwała Margareta Andersson.

— Wierzę pani. Jednak sąd oprze się przede wszystkim na opinii biegłych. Powtarzam, że jeśli sąd uzna, że przebieg wypadków był taki, jak to pani opisała, jestem przekonany, że wymiar kary będzie zbliżony do tej niższej granicy.

— Czy do momentu rozprawy mogłabym być zwolniona za kaucją?

— O tym zadecyduje prokurator, który panią przesłucha po przedstawieniu jej zarzutu popełnienia przestępstwa nieumyślnego zabójstwa.

— Pan mnie aresztuje?

— Zostanie pani zatrzymana do dyspozycji prokuratora. On wyda postanowienie, co do ewentualnego tymczasowego aresztu.

Koniec

o książce *Wycieczka ze Sztokholmu*

Majątkowe szwedzkie małżeństwo spędza czas w Zakopanem. Pewnego dnia kobieta zostaje odnaleziona martwa. Miejscowy oddział Milicji Obywatelskiej z podpułkownikiem Kaczanowskim na czele wszczyna śledztwo. W kręgu podejrzanych znajdują się mąż denatki, tutejszy cinkciarz, a także atrakcyjny przewodnik tatrzański. Proces dochodzenia do prawdy pozwala na zobrazowanie różnych grup społecznych oraz ukazanie klimatu Zakopanego w czasach PRL-u.